


Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



MARCIN ANDERSEN NEXÓ

MATKA

POWIEŚĆ
AUTORYZOWANY PRZEKŁAD Z DUŃSKIEGO
STEFANJI HETMANOWEJ

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

I.

Ktokolwiek, po przewędrowaniu duńskich wysp, stanie na południowo-wschodnim wybrzeżu Jutlandii, nie spostrzeże nawet, że znalazł się w innym kraju. Tutaj, zarówno jak tam, fiordy, wrzynają się w głąb lądu, lesiste stoki zasyłają nam uśmiechy, buk rozrasta się bujnie na kwietnym podłożu, tłusta gleba rodzi bogate, ciężkie owoce i kształtuje mieszkańców na swe podobieństwo; są dobrze odżywieni, dobroduszni, szczodrzy i serdeczni. Oblicza tych ludzi przypominają krajobraz pełen słońca i pogodnej łagodności; wyraz ten, czerstwy i dziecięco beztroski zachowują często aż do lat sędziwych.

Ale już po jednodniowej wędrówce w kierunku zachodnim, można zaobserwować, jak przyroda rozdziela swe dary coraz to oszczędniej, ażeby ich wreszcie, stopniowo, zupełnie poskąpić. Dostrzega się, jak bogactwo pszenicznej gleby, stopniowo przechodzi w skromne umiarkowanie, a wreszcie w nędzny ugór, wymagający ciężkiej pracy. A po następnym dniu wędrówki, staje się na jałowym gruncie, na którym już nic nie rośnie, lub wiedzie karłowaty żywot – na ostrym, białym piachu. Tutaj nawet najbardziej zahartowane, najmniej wymagające zwierzę robocze zdechłoby z głodu, gdyby nie pomoc morza.

Jest to jak gdyby przejście z promiennej strony życia na jego stronę cieniistą, poprzez wszystkie leżące pomiędzy tym etapy. Im dalej kroczymy w kierunku zachodnim, tym bardziej buki tracą na sile, ich pnie – na gładkości, ich listowie – na soczystości; gleba wymaga od chłopca cięższej pracy i daje mniejszy plon. Las coraz bardziej prześwieca, niby rzadziejące owłosienie z wielkimi łysinami; ostrokrzew rozrasta się niby strup, chwyta promienie słoneczne na swe sztywne liście i odbija ich rażącą biel.

Zaś buk, choć już i tak wykoszlawiony, skarłały i nędzny, nawet i w tej formie, tutaj musi zaniknąć.

Jednakże nasienie ludzkie jest wytrzymalsze, mimo wszystko żyje pełnią życia.

Te trochę lasu, który się jeszcze tu i ówdzie napotyka – to las mieszany. Pola bogate są w kamienie, tu i ówdzie przegładają piaski, A pomiędzy uprawną ziemią przynoszącą niezłe plony, leżą jałowe wrzosowiska, zapowiedź ugorów.

Resztki lasu stają się coraz niższe i niższe, przechodząc w zagajniki dębowe i jałowcowe; tu leży zachodnia granica lasów.

Obecnie, pomiędzy osiedlami spotyka się wielkie przestrzenie ziemi; rozległych połaci pól potrzeba, ażeby wyżywić jedną rodzinę, wszelako kurhany stają się coraz liczniejsze i liczniejsze. To właśnie jest typowy krajobraz zachodniej części kraju,

Skąpa i surowa przyroda położyła swe piętno na twarzach. Są ostre; usta mocno zaciśnięte, oblicza zamknięte i ściągłe. Żadnych miękkości ani okrągłości, tylko muskularne szczęki, mogące zemleć twarde chleb, oraz surowy naskórek, który przyzwyczajony jest stawić opór ostremu smaganiu zachodnich wichrów. Tu spotyka się mało uśmiechów, mało dobroduszności, ale za to dużo więcej charakteru. Lud, który na tym nędznym zachodzie uprawia neurodzajną ziemię, ma żelazo we krwi, a stal w ścięgnach.

Pomiędzy wschodem a zachodem, na rubieży lasów, zamieszkuje lud, który jednoczy hart zachodu z miękkością cech wschodu. Tutaj, gdzie glina i piasek ze zmiennym skutkiem walczą o opanowanie powierzchni, gdzie ciężka praca przynosi zaledwie umiarkowany plon – rozrzutność i wyrachowana oszczędność mogą istnieć obok siebie w tym samym człowieku. Tutaj spotyka się skłonność wschodnich wieśniaków do uczt i dobrego jedzenia, obok skromności i pracowitości chłopca z zachodu. Zupełnie młodzi, o czerwonych pełnych policzkach i pulchnych kształtach, o chwiejnym usposobieniu i radosnej beztrosce, przypominają najczę-

ściej wschód. Z wiekiem, następuje przesunięcie ku cechom zachodnim – praktyczny ożenek, praktyczne życie i praktyczna śmierć prawdziwego syna tej gleby.

Ale czasami bywa też inaczej.

Tutaj w głębi, na tak zwanych wyniosłościach, krajobraz nie podlega tak nagłym zmianom, jak tam na wschodnim wybrzeżu. Układa się falisto w szeroko rozłożone wzgórza, podobne wyspom, między którymi tworzą się torfowiska i rozlewiska, odsłaniając rozległy widok na wiele mil wokoło. Lasu nie widać nigdzie, jedynie tu i ówdzie – małe skupienia niskich zarośli.

Na skraju takiego pagórka – wielkości kilku mil kwadratowych, gdzie dziś znajduje się duża stacja kolejowa Bold, przed 25 laty leżała idylliczna wioska, tej samej nazwy. Wtedy Jutlandia nie posiadała jeszcze licznych kolejek podjazdowych, wiodących ze wschodniego wybrzeża w głąb kraju i znikających nagle bez śladu gdzieś we wrzosowiskach; to też wioska leżała całkowicie na uboczu od ruchów misyjnych, abstynenckich i oświatowych i wszystkich innych prądów, które wówczas kraj nurtowały; leżała na zboczu pagórka przykucnięta w zagłębieniu, gdzie glina wypiera piasek, i opanowała już pewną przestrzeń powierzchni, przestrzeń dostatecznie dużą, ażeby zapewnić mieszkańcom tej okolicy dobre utrzymanie.

II.

Wówczas jedyne połączenie ze światem stanowił gościniec. Wił się z daleka, niby biała wstęga, początkowo przez wrzosowiska, dalej wśród niskich chaszczów – stanowiących zachodnią granicę lasów. Gęste zarośla zaczynały się tuż przy ziemi, ale jeden krzak osłaniał drugi; stopniowo wznosiły się wyżej i przeradzały w las – sękatą, splątaną gmatwaninę karłowatych dębczaków. Droga wyłaniała się z lasu, jak słaba smuga świetlna, stawała się coraz szersza i szersza i biegła prosto, między wiejskimi ogródkami.

W sercu wioski stał biały kościółek, nie posiadający wieży; dzwon był zawieszony na przydrożnym klonie, a gdy powiał wiatr, postronek uderzał po twarzach przejezdnych. Naprzeciw kościoła, po drugiej stronie wiejskiej uliczki, znajdował się zajazd; kościół i zajazd pomagali sobie zgodnie skupiać mieszkańców wokół duszpasterza, którego zawsze można było spotkać w jednym z tych dwóch miejsc.

Za kościołem lśniła sadzawka, nad którą grupowały się czerwone zagrody, których dachy przegładają się w wodzie. Między sadzawką a każdym gospodarstwem leżała gnojówka; sadzawka była zasilana przez gnojówki, częściowo zaś także przez mały strumyczek, który brał początek gdzieś daleko, niewiadomo gdzie.

Wokół kościoła, zagród i karczmy leżały porozrzucane chaty wyrobników o zielono malowanych drzwiach i oknach i z ogródkami okolonymi krzakami porzeczek.

Wśród tego bezładu, stała gęsta grupa drzew, poprzez korony których przeświecały szczyty małego dworku. Od strony ulicy, wysoki, zapuszczony żywopłot zatrzymywał spojrzenie ciekawych; w rogu znajdowała się furtka a nad nią łuk z napisem: „Zacisz”. Z trzech pozostałych stron, domek osłonięty był drzewami i ciemnymi krzakami.

Furtka ta nie była otwierana w ciągu dwóch lat – od śmierci starego emerytowanego proboszcza, który przed wieloma laty wybudował sobie ten domek i wycofał się z kościoła, ażeby poświęcić się całkowicie karczmi oraz pielęgnowaniu ogrodu. Wesoły staruszek, którego dewizą było: „wedle stawu grobla”, dzięki tak miłemu ustosunkowaniu się do wszelkich wymagań życia, zdobył sobie wielki szacunek swych parafian i dożywszy 92 lat – przeniósł się na tamten świat, nieco wbrew swej woli. Dumny był z tego, że zawsze stał na czele swej gminy, a gdy ktoś mu robił wyrzuty z powodu swawoli w korzystaniu z darów życia, chwalił się, że mimo sędziwego wieku, posiada żelazne zdrowie i pytał czy taki tryb życia mu nie służy. Żadnych krewnych nie posiadał, a jego ostatnim wyczynem, już na łożu śmierci, było zaproszenie kilku starych kompanów na ostatniego skata, i przegranie domu do jednego z nich, starego wiejskiego rzeźnika. A kiedy zwłoki proboszcza zostały wyniesione, rzeźnik zamknął furtkę, pozwolił wszystkiemu zarosnąć i zaczął czekać na kupca.

Na końcu ogrodu „Zacisz” stał domek, w którym mieszkał wiejski szewc, zaś na facjacie siedział długi, błydy terminator i łątał juchtowe buty i naprawiał stare uprzęże. Chłopiec miał szczere spojrzenie i naiwny wyraz twarzy; był typowym dzieckiem przytułku, skąd właśnie został majstrowi przysłany. Nie miał żadnych wymagań i nikt się za nim nie ujmował; dlatego też ciągle pozostawał terminatorem i tylko łątał i naprawiał, chociaż pracował już szósty rok.

Od piątej rano do ósmej, dziewiątej wieczór, siedział i męczył się, ciesząc się myślą o tym wielkim dniu, kiedy zostanie dopuszczony do „nowej roboty”. Im będzie pilniejszy, tym dzień ten będzie bliższy, mawiał majster. I chłopiec w pocie czoła wyprawiał stare, sztywne skóry, myśląc o dniu, w którym zostanie czeladnikiem. Wtedy będzie nosił zegarek, i będzie żartował z dziewczętami, idąc przez wieś na robotę.

Od czasu do czasu, ucierał nos rękawem, prostował plecy i spoglądał na ogród „Zacisza”. Obserwował jak stary proboszcz spacerował tam codziennie przed południem, sapiąc ze zmęczenia lub kiedy pod wieczór wracał z karczmy chwiejnym krokiem i z uśmiechem na twarzy. Widział, jak przed dwoma laty, proboszcza wyniesiono, a rzeźnik zamknął i zarygłował furtkę. Od tego czasu ogród opustoszał; chłopiec nie dostrzegł tam więcej żywej duszy, choć śle dził nie wiedzieć jak bacznie. Ostatecznie oswoił się ze samotnością.

Domu nie opuszczał nigdy. Majster sam załatwiał wykonywanie miłych robót po okolicznych zagrodach, a jego pozostawiał przy warsztacie, gdzie pracy było w bród, nawet przy niedzieli. Od czasu do czasu, przychodzili do warsztatu ludzie, w różnych sprawach, i to stanowiło jego rozrywkę. Poza tym — tylko widok na ogród „Zacisza”. Jakże też on zarósł od śmierci starego proboszcza!

Widziany z góry mógł przypominać stary amfiteatr, który zniża się ze wszystkich stron ku środkowi. Pięknie to wyglądało w lecie, kiedy wszystko się zieleniło, począwszy od zewnętrznej szeregu topoli, aż do leszczyny i jarzębiny, do bzów i wiśni, aż do właściwego ogrodu z trawnikiem pośrodku. Tam i sam w ogrodzie rosły zagajniki czarnych i czerwonych porzeczek, oraz krzaki agrestu, tak wysokie, że sięgały człowiekowi do ramion i tak gęste, że wzrok nie mógł przeniknąć przez nie do ziemi. Zielono, zielono było tam wszędzie, i z pośród tego królestwa zieleni wyłaniało się „Zacisze”, samo omotane zielenią, z klemarysem i dzi kiem winem na szczycie i na froncie domu.

Przy bocznym wejściu znajduje się ganeczek. On również jest obrośnięty; okna i dach prawie giną pod gęstwą dzikich pnączy. Wszystko jest gęste i soczyste, giętkie i przytulne, jak bujna młodość. W poprzek ścieżek kwitnie błękitny barwinek z gęsto spletanymi grzędami poziomek, a dzika wiśnia pokrywa trawę śnieżnym deszczem. Pośrodku murawy, różowe stokrotki, niby koralowy naszyjnik, opasują pień skarłowaciałej jabłoni. Ale i ona otrzymała pocałunek letniego słońca i nabrała otuchy. Jak gdyby w przeczuciu rychłej śmierci, zebrała całą siłę, ażeby od stóp do głowy zatonać w powodzi różowych pączków. Drzewo to, jeszcze za życia starego proboszcza, miało być usunięte, ponieważ jednak rodziło obficie, obficie niż inne, przebaczone mu sędziwy wiek.

Przed gankiem stoją dwie lipy, których listowie jest tak soczyste, że z samego patrzenia można zostać wegetarianinem. Sięgają konarami obu otwartych okienek facjatki tak, że zielony odbłask słonecznego światła pada na nagie ściany pokoju gościnnego.

Tak więc, rokrocznie, terminator patrzył jak ogród zielenił się, zakwitał, owocował i obumierał. Chłopiec uciera nos, dąży do swego dalekiego celu i dziwi się, dlaczego ogród ma tak leżeć odłogiem, nie przynosząc nikomu pożytku. I zarówno jak on, dziwi się temu cała wieś, staje na palcach, ażeby przez wysoki żywopłot zapuścić wzrok w zaniedbany ogród, który mało po mało zaczyna nabierać tajemniczości. Proboszcz tam straszy; w jasne księżycowe noce, można go zobaczyć, jak spaceruje po swym ogrodzie i porządkuje go, jest nawet w ornacie; a nad ranem, ogród jest w zupełnym porządku, drzewa i krzewy są poobcinane i podlane, ścieżki wygracowane i zwiędłe liście usunięte z murawy. Ale wschód słońca niweczy jego widmowy trud i wszystko jest znów tak, jak było przedtem...

Na wiosnę trzeciego roku po śmierci starego proboszcza do szewskiego terminatora przenika wieść, że dworek został sprzedany. Tydzień po tygodniu, chłopiec, ze swego wyniosłego punktu obserwacyjnego, w napięciu śledzi ogród, aż pewnego dnia, wczesnym latem, furtka nareszcie zaskrzypiała. Chłopiec podnosi się ze stołka i spostrzega parobka, który zabiera się do kopania, grabienia i podcinania.

III

Po świeżo wygracowanych ścieżkach ogrodu „Zacisza” szła młoda dziewczyna, podskakując to na jednej, to na drugiej nodze. Ręce jej zwisały niedbale wzdłuż ciała, zaś z jej zachowania można było domyśleć się, że chętnie by poswawoliła, ale w tym otoczeniu nie czuła się jeszcze dość swobodnie.

Jej niebiesko-szare oczy były duże o pytającym wyrazie i odbijał się w nich cały podziw szesnastolatki dla życia. Delikatna nieśmiałość całej istoty przejawiała się w niespokojnie ciekawym spojrzeniu i na wpół otwartych ustach, gdy stanęła wobec tego wszystkiego obcego, w oczekiwaniu pełnym napięcia, gotowa w każdej chwili do ucieczki, jak młoda sarenka.

Dopiero poprzedniego dnia wieczorem przyjechały z matką do wsi wozem, śmiertelnie zmęczone długą i uciążliwą podróżą ze stolicy. Ale podniecenie nie pozwoliło jej spać, już o pierwszym brzasku, a skoro tylko zaczęło dzień, zerwała się – po raz pierwszy w życiu tak wcześnie. Matka spała jeszcze.

Dochodziła zaledwie piąta. Słońce znajdowało się zbyt nisko, ażeby przeniknąć, aż do ogrodu, ale oświetlało już komin i kładło się słabym lśnieniem w poprzek dachu. Młoda dziewczyna — na imię jej było Helga — przechyliła się daleko poza sztachety, ażeby dostrzec słońce. Przeszkadzała jej w tym stojąca przed nią szopa, a wyjść na drogę nie odważyła się.

Wokoło, w wyrobniczych chałupach palił się już ogień; dym z torfu i krowiego nawozu unosił się z kominów prostopadle w górę, opadał potem w lekkim powietrzu i, łechcąc w nosie, kładł się na ziemi, niby szary, słoneczny opar. Drzwi chat, po większej części, stały otworem, a na wpół ubrane kobiety, jedynie w spódnicach na szarym niebielonym płótnie, brały wodę ze studni albo wylewały zawartość jakiegoś naczynia do gnojówek... Gdzieniedzie ukazywał się mały chłopiec, w krótkiej koszulinie, i na bosaka, i znikał za jakimś węglem. Słońce załamywało się na jego płowych włosach i jędrnych nóżkach, kiedy wkrótce znów biegł z powrotem. Wokół piał koguty, zaś bydło które w nocy pozostało na dworze, porykiwało od strony pól, spoglądając ku wsi. Następnie dały się słyszeć z podwórek rozkazujące głosy chłopców i na drodze rozległ się głośny tętent, gdyż zaczęto wypędzać bydło na pastwisko. Było spragnione trawy i raczej biegło niż szło; zwisające wymiona kołysały się uderzając aż o nadbiodrza, a u brzemiennych krów kołysał się cały brzuch, niby worek, zawieszony między czterema palami. W stadzie tłoczyły się i popychały, aby zdobyć pierwsze miejsce, podniósłszy wysoko głowy, lub uderzając się wzajemnie rogami, w celu uzyskania większej wolnej przestrzeni. Za stadem bydła podniósł się obłok kurzu, jakiś czas trwał w powietrzu, poczym wolno rozwiął się po polach.

Na ścieżkach, prowadzących z chat na wiejską drogę, ukazywali się stopniowo kościści i krzywonodzy wyrobnicy. Zatrzymywali się, patrząc na Helgę, pochylali nieco głowy na prawo, dotykając palcami czapki i mówili „dzień dobry” lub „szczęść Boże”, poczym oddalali się ku folwarkom.

Helga wróciła do ogrodu i już nie czuła się tak obco. Zajrzała do sypialni, ażeby przekonać się, czy matka wstała. Ale ponieważ nie mogła nic dojrzeć, więc wróciła znów na ścieżkę, skrzyżowawszy ręce na plecach; zatrzymywała się to tu, to tam, pochylała nad krzakami porzeczek i schwyciwszy wargami zeszłoroczną jagodę, ściągnęła usta i wypluła ją.

Potem stanęła bez ruchu i wpatrzyła się przed siebie. Ale źrenice jej nic nie dostrzegały, nie wiedziała nic o sobie, ani otaczającym ją świecie. Ani jeden ruch nie zdradzał życia, jedynie spojrzenie zmieniło wyraz, przemknęło po nim wilgotne lśnienie i zebrało się w kącikach

oczu, w postaci dwóch łez. Potrząsnęła głową i roześmiała się. Skąd mogły się wziąć te łzy, nie myślała przecież o niczym smutnym – nie myślała w ogóle o niczym. Nie tęskniła też za niczym – za niczym, jak to bywało niekiedy.

Usłyszała czyjeś kroki na drodze, więc stanęła na palcach, ażeby móc wyjrzeć przez ogrodzenie. Okazało się jednak za wysokie, była więc zmuszona, chcąc cośkolwiek zobaczyć, wdrapać się na pień obalonego wiązu. Droga szła starsza kobieta; wysoko zakasała spódnicę i szła na bosaka, zamaszystym krokiem góralki. Nalane, czerwone policzki zwisały, zaś na pochylonych plecach, niosła zieloną konewkę oraz małe grabie. Przy każdym poruszeniu przedmioty te, uderzając o siebie, wydawały dźwięk, brzmiący prawie jak muzyka taneczna. Kobieta mamląła bezzębnymi wargami, mruczając coś do siebie, co miało oznaczać melodię.

Helga, przerażona, cofnęła się do ogrodu i schowała w grocie, która ukryta była za krzakami napoły pod ziemią. Siedziała tam przez chwilę, przeniknięta dreszczem trwogi, skulona w sobie, jak gdyby, chcąc ukryć się przed niesamowitym widokiem. Ale w końcu wyprostowała się, spoglądając ze skupioną powagą. Nie chciała przed niczym doznawać uczucia strachu, natomiast pragnęła nad wszystkim się zastanawiać. Mocno zacisnęła usta i ściągnęła brwi – tak czynił ojciec, kiedy się nad czymś głęboko namyślał.

Ładnie wyglądała, tak skupiając myśli. Szybko zapomniała o swych dociekaniach i zaczęła się ciekawie wszystkiemu przypatrywać, nachylając się ku przodowi tak bardzo, aż wielki pukiel włosów opadł jej na twarz; odrzuciła go, niecierpliwym ruchem głowy. Ciężkie włosy, zaplecione w długi warkocz, opadały jej na plecy, nadając wdzięczny wygląd jej silnej postaci. Przypominała kosa, który w zimie pod choinami skakał tu i ówdzie. Wargi miała pełne, a twarzyczkę miłą, okrągłą i świeżą. W wyrazie jej było coś nieruchomego, nietkniętego przez życie, ale już znaczonego tęsknym zapytaniem. Jakieś wielkie przeżycie ożywiłoby tę twarz i uduchowiło. A przeżycie to nie było chyba już zbyt odległe, przeświecało już jako przeczucie i zapowiedź z rysów i przedwcześnie rozwiniętych kształtów. Jeszcze przed rokiem, kiedy chodziła na lekcje do pastora, koleżanki przekomarzały się z nią, twierdząc, że pierś już jej się zaokrągliła.

Wtedy płakała ze wstydu, ale teraz to ją zaciekawiało i z pewnym niepokojem śledziła, czy piersi rozwijają się. Pragnęła upodobnić się do swej matki, której suknia tak pięknie opinała się na biuście. Uczucie dojrzewania napełniało ją żywą radością.

Zacząła gwizdać – obie z matką rywalizowały, która w tej sztuce zajdzie dalej. Gdyby można tylko było wydobyć odpowiednie tony; ale najczęściej wychodził z tego jedynie syk. Wparła nogi w wilgotną ziemię pieczary przytakując sobie w myślach. Od strony ganeczku rozległo się klaskanie w dłonie i ciepły altowy głos zawołał:

- Helgo-o-o!
- Ta-ak! – zabrzmiało w odpowiedzi.
- Przyjdź na herbatę.
- Do-o-brze! Dzie-ku-u-je!

Przemknęła pod lipami i dopadła drzwi, gdzie matka schwyciła ją w ramiona. Helga przestraszyła się i krzyknęła, ale po chwili sama wyśmiewała swój przestрах i przytuliła mocno liczko do miękkiej piersi matki.

- Mamo, czy to nie śmieszne? – spytała, gdy obie weszły do pokoju, objęte uściskiem.
- Co takiego, dziecko?
- Powiedz, jeżeli mam czterysta i dostaję cztery procent, to czy nie będę miała w przyszłym roku ośmiuset?

Matka uśmiechnęła się.

Jakże były do siebie podobne, kiedy patrzyło się na nie obie, siedzące przy stole! Ta sama świeża twarz, ta sama postać; tylko to, co u jednej było w dojrzałej pełni, u drugiej znajdowało się zaledwie w zaczynającym się, delikatnym rozkwicie. Z obu twarzy można było wyczytać radość życia, obie miały pogodę ducha, płynącą z pewnością, że oczekiwania ich się

ziszczą, jedynie z tą różnicą, że jedna czekała na coś, co znała, druga – na nieznane. Dlatego twarz starszej była spokojniejsza, niejako prześwietlona świadomością, i nie posiadała wnikliwie pytającego wyrazu – młodszej.

Obie były jednakowo wesołe, mówiły na wyścigi jedna przez drugą, piąte przez dziesiąte, jak to potrafią tylko młode, beztroskie kobiety. Nikt by nie uwierzył, że jedna jest świeżo upieczoną wdówką, a druga dzieckiem, które dopiero co straciło ojca.

IV.

Pani Berg, wdowa, straciła rodziców zanim dojrzała do zrozumienia, co to znaczy być sierotą. Zaczynała stara ciotka mieszkająca w Kopenhadze, wzięła ją do siebie, i u tej staruszki przeżyła spokojnie, choć ubogo, dzieciństwo i rozpoczęła wiek dziewczęcy, ani się spostrzegając kiedy. I pewnego dnia stała się młodą siedemnastoletnią panienką, ładną i dobrze zbudowaną.

Ciotka starała się na swój sposób wychować ją tak, ażeby stała się kiedyś dobrą, uległą żoną i gospodynią. Sama była wychowana podobnie i dobrze na tym wyszła, gdyż według jej zdania, zgodnie z najwyższą wolą Boga i prawami natury, mężczyzna był panem kobiety. Śledziła pilnie duchowy, zarówno jak cielesny, rozwój dziewczęcia i kiedy pewnego dnia uświadomiła sobie, że jej przybrana córka już jest dorosła, kazała dziewczynie stanąć przed sobą, zmierzyła wzrokiem, zbadła swymi chudymi palcami obwód talii, nacisnęła tu i ówdzie miękkie kształty i kiwnęła głową, zadowolona z wyniku.

– Lada dzień może się rozpocząć – mruknęła, raczej do siebie.

Dziewczyna patrzyła na nią pytającym wzrokiem.

– Ja, u Boga Ojca, nie byłam ani w przybliżeniu tak rozwinięta, kiedy musiałam wejść w małżeńskie łóżko. A także i potrzebnego rozumu tutaj nie brak.

– Czy mam wyjść za mąż? – spytała dziewczę, zażenowane.

– Nigdy nie wiadomo, co się może zdarzyć! Ta niezwykła rzecz już się trafiała, że młoda, ładna dziewczyna wychodziła za mąż, a nawet robiła znakomitą partię.

– Czy trzeba koniecznie starać się o to, żeby wyjść za mąż? – spytała przybrana córka, raczej dlatego, ażeby coś powiedzieć, nie będąc jednak absolutnie myśli tej niechętną.

– Porządna dziewczyna zawsze wychodzi za mąż, moje dziecko. Bo taki jest, widzisz, cel życia. Wino powinno być wypite, i kwiat zerwany, i ładne dziewczęta powinny wychodzić za mąż, mawiał zawsze mój nieboszczyk mąż, a ja jestem tego samego zdania.

I ciotka, razem z przybraną córką, poczyniły odpowiednie przygotowania, zbrojąc się na wszelką ewentualność.

Zanim jednak zajęły jakieś stanowisko wobec młodych ludzi, których można było brać pod uwagę, kandydat zjawił się z tej strony, z której żadna z nich nie mogła go oczekiwać.

Sześćdziesięcioletni kupiec Oscar Berg, przeżył życie w stanie kawalerskim, i mimo to prowadził się przyzwoicie – o ile ciotka zdołała się dowiedzieć. W każdym razie wszyscy zgadzali się na to, że pomiędzy kawalerami jest po prostu wyjątkiem, i wśród męskich członków lepszego towarzystwa kursowała gadka, że jest zgoła bezpłciowym. To też nikt nie mógł zrozumieć, dlaczego mu teraz wpadło na myśl, oficjalnie i otwarcie poślubić nieopierzoną młodkę, w dodatku biedną. Gdyby przynajmniej była bogata, można by to wytłumaczyć handlowym punktem widzenia. Albo, gdyby była starsza, mogłaby to być tęsknota do szczęścia domowego, której ofiarą padają starzy kawalerowie, prędzej lub później. Ale była to przecież zupełnie młodziutka, skromna i niedoświadczona dziewczyna.

Co do niej, żadne namowy nie były potrzebne, Opanowała ją nagle tęsknota każdej dorastającej kobiety do rządzenia swym własnym małym państwem, i pobyt u zacnej ale przesadnej ciotki, u której wszystko musiało się odbywać według pewnych określonych prawideł, choćby chodziło tylko o zdjęcie lub włożenie pończochy – dawno jej się sprzykrzyły. Przy tym marzyła o zbytku i przytulności, co nigdy nie było zaspokojone. To też codzienny popołudniowy spacer, pod rękę ze starym panem, wydawał jej się drobnym wynagrodzeniem za wszystkie te nowe suknie, wieczory teatralne i inne wspaniałości.

Ciotka natomiast, miała wiele wątpliwości i raczej była temu przeciwna. Należała jednak do starej szkoły i sądziła, że z młodymi dziewczętami można mówić tylko o porzeczkowej marmoladzie i przybraniu sukni; dlatego też przyczyny swych zarzutów zatrzymywała dla siebie. Z tego więc powodu młoda dziewczyna nie przywiązywała żadnej wagi do zastrzeżeń ciotki.

Tak więc ślub się odbył i wkrótce dziewczyna zrozumiała, że małżeństwo wymagało od niej innego, i o wiele większego poświęcenia niż spacer na promenadzie, I pewnej nocy znalazła się, w lekkim ubraniu i drżąc z zimna i strachu, przed drzwiami swej ciotki szarpiąc za sznur dzwonka. Ale – wobec tego, że nie była już młodą niewinną dziewczyną – stara pani wtajemniczyła ją tylko z pogodną stanowczością w obowiązki mężatki. Natychmiast przybraną córkę przyodziła, odprowadziła z powrotem i przekazała sześćdziesięcioletniemu, ogni-stemu i niemniej nieszczęśliwemu małżonkowi.

Młoda mężatka płakała, ale w końcu poddała się i oswoiła ze swym losem; i mało pomału, powróciła do swego pierwotnego, dziecinnego ujęcia stosunku, jako pewnego handlu zamiennego. Starła się go wyzyskać jak tylko mogła, i znaleźć dla siebie rewanż w strojach, małych podróżach i innych przyjemnościach; nie odczuwając przy tym żadnych wyrzutów sumienia.

Jednakże, pewnego dnia, gdy usłyszała, że istnieją dziewczęta, które oddają się za parę koron, przemknęło jej przez myśl, porównanie między nimi a nią. Ale do przeprowadzania porównań nie miała uzdolnień, i to również prześlizgnęło się po niej, zanim zdołało wywołać przykre wrażenie. Pozostawiło jedynie głębokie współczucie dla biednych, upośledzonych dziewcząt.

Środowisko, w którym się obracała też przyczyniało się do tego, ażeby to wrażenie złago-dzić. Jako mężatka, brała udział w wielu rzeczach, których jej odmawiano, jako młodej dziewczynie. Kiedy panowie po odejściu od stołu, udawali się do palarni, ażeby prowadzić tam rozmowy dozwolone tylko „w męskim gronie”, panie też się skupiały i poruszały tematy, które określano jako przeznaczone „dla małżonków w negliżu”. Mówiły bardzo otwarcie i nazywając rzeczy po imieniu – tylko nie, jak mężczyźni, o sobie, lecz – o nieobecnych. Dzięki tym rozmowom uświadomiła sobie, że „handel zamienny” w tej lub innej formie, był pod-walną większością małżeństw. Często stosunek taki przypominał jej własny, ale czasem małżonka była stroną kupującą, która trzymała sobie „pokojuowego pieska”. Istniały również związki, w których, zamiast zdobywać sobie prawa małżeńskie, wykupywano się od odpowiedzialnych obowiązków. Zdawała się dostrzegać, że kobiety wtedy bywały najwolniejsze, gdy zachodził jeden lub drugi z tych wypadków. We wzorowych małżeństwach, natomiast, kobieta była – raczej niewymagającą, obowiązkową służebną.

Gdy przekroczyła za ledwie rok osiemnasty – po rocznym pożyciu małżeńskim – urodziła dziewczynkę.

Ta maleńka, niezależna od niej istota, która z niej wyrosła, jak pączek wystrzela z rośliny, wydała jej się prawie zabawna – żywa zabawka, którą mogła się bawić, skoro była do tego usposobiona.

Nie była w możności odnosić się do dziecka poważnie. Nie mogła powiązać jego poczęcia z żadną, choćby tylko przelotną namiętnością; oznajmiło swoje istnienie tym, że zniekształciło jej postać, co nie mogło być zrównoważone nawet przez uczucie naturalnego związku.

Noszenie go w swym łonie było już dla niej męczarnią, gdyż czyniło ją brzydką i ociężałą, to też wydanie dziecka na świat przyniosło jej jak gdyby wyzwolenie. Dlatego czuła się winną w stosunku do niego, a chociaż czasem przyglądała mu się chętnie, wywierało na niej zwykle zabawne wrażenie. Kiedy indziej znów znajdowała, że jest obrzydliwe. Żadnego macierzyńskiego uczucia w stosunku do dziecka nie doznawała i fakt, że to ona właśnie wydała je na świat, wydał jej się raczej gwałtem sił wyższych.

Ani na chwilę nie przeszło jej przez myśl, że mała istotka wymaga najtroskliwszej opieki i pielęgnacji. Karmiła sama, jedynie na wyraźne życzenie męża, nie troszcząc się poza tym o

dziecko i pozostawiając je przeważnie służącym. Nie mogła zrozumieć, że mąż jej biegnie do niego co chwila, ażeby spojrzeć, czy się nie zmoczyło, czy nie jest zbyt mocno spowinięte i tym podobne, oraz, że bezustannie się dopytuje, kiedy dziecko było ostatnio karmione. Wydawało jej się wprost zabawnym, że, kiedy dziecko krzyczało, mąż wśród nocy zrywał się ze słodkiego snu, ażeby zbudzić nianię, która miała twardy sen – lub biegł do dziecinnego pokoju, ażeby przekonać się, czy dziewczyna nie zasnęła przypadkiem, trzymając dziecko na ręku.

Ale fakt istnienia na świecie małej miał również swoje przykre strony.

Od chwili, gdy ujrzała światło dzienne, ku niej skierowała się cała czułość starzejącego się mężczyzny. Dla swej małżonki dalej był miły i uprzedzający, ale nic ponadto. Zdawało się, że nieśmiały wobec kobiet, zatwardziały samotnik ożenił się jedynie dla nieprzepartej potrzeby odrodzenia się w dziecku, obecnie zaś, gdy to się udało, wszystkie jego myśli, dniem i nocą krążyły wkoło małej, istotki, która pojawiła się w przedostatniej godzinie, i w której jego gasnące życie miało znów się narodzić, ażeby trwać nadal. Zachowywał się w stosunku do dziecka jak tonący, który w ostatniej chwili chwyta pas ratunkowy i kurczowo go się trzyma. Ku wielkiej ucieście żony, dziecko stało się dla niego wszystkim, ona zaś, jako małżonka – niczym; obsypywał je swą miłością i posunął się nawet tak daleko, że odesłał nianię i sam spędzał przy dziecku całe noce, ażeby czuwać nad jego snem. Podobna istotka mogła tak łatwo zachorować i umrzeć, zanim by się kto obejrzał.

Ten obrót sprawy cieszył niezmiernie młodą kobietę. Obawiała się, że dziecko ograniczy jej radość istnienia, jak to miało miejsce w domach, które nazywała wzorowymi – mogło ją krępować w używaniu życia.

Ale nic z tego nie nastąpiło; mogła w tym samym stopniu, co przedtem, folgować swoim życzeniom, dziecko nie stanowiło w tym żadnego hamulca. Stary mąż nie czynił jej żadnych wyrzutów, że je zaniedbywała, przynajmniej z początku; później zdawało jej się, że nawet jak gdyby wolał trzymać ją z dala od dziecka.

Mała zdawała się rozumieć, kto ją darzył troskliwością. Ojciec był pierwszą osobą, na której zatrzymała się jej rozbudzona świadomość; on też rozkoszował się pierwszym uśmiechem poznania. Pił tę rozkosz i tego dnia był zupełnie oszołomiony radością, ku wielkiemu zdziwieniu żony. Oczywiście, że dziecko uśmiechało się do niego i było to bardzo śmieszne, że takie małe, głupiutkie stworzenie potrafiło już czynić różnice. Ale robić z tego zaraz takie wielkie rzeczy! – kogoś przecież musiało ostatecznie rozpoznać przede wszystkim. Później, dziecko trzymane przez nianię lub matkę, wyciągało do niego rączki. I śledziło za nim uważnie, gdziekolwiek się obrócił.

Kiedy dziecko wyrывało się do niego z ramion matki, starał się mieć taką minę, jak gdyby tego nie spostrzegał, gdyż nie chciał jej urazić, ale cała twarz promieniała cichą radością starca.

I trochę z tego, czego brakło małżonce weszło mu w krew i ciało. Posiadał instynktowne wyczucie, jak obchodzić się z dzieckiem, i prawie kobiecą zręczność. Do całkowitej możliwości zastąpienia matki brakowała mu jedynie zdolność karmienia. Na zebraniach towarzyskich, panie szeroko o tym rozprawiły i twierdziły zgodnie, że było to coś jedyne w swoim rodzaju.

– Co za piękny stosunek – ten sędziwy człowiek i to maleństwo.

– W nocy mówi przez sen o dziecku. Prawda, droga Anno? – Młoda kobieta potwierdzała uśmiechem.

– Tak, a kiedy służąca wychodzi z dzieckiem, można być pewnym, że spotka go się na pewno gdzieś w pobliżu. Właściwie, powinien oddalić nianię i sam starać się o to miejsce.

– Czy nie jest godną zazdrości, posiadając takiego męża? I niech pani tylko pomyśli, nigdy jej nie dotyka! – Mówiąca głaskała panią Annę Berg, która się mocno zarumieniła.

– Jak jej, przy tej sukni, do twarzy w rumieńcach! – I towarzystwo przyglądało jej się zmrużonymi oczami.

Kiedy mała Helga skończyła sześć lat, kupiec Berg istotnie przejął obowiązki bony i chodził z małą na spacer do Królewskiego Ogrodu. Był dostatecznie stary, ażeby nie potrzebować udawać zainteresowania dla biegu myśli dziecka. Dzieciństwo i wiek starczy spotykały się i rozumiały wzajemnie, łamał więc sobie głowę, ażeby na niekończące się pytania: dlaczego? jak to, ojcze? – móc sumiennie odpowiadać! Chodzili zawsze trzymając się za ręce.

Był to dla niego szczęśliwy okres. Ta mała, miękka rączka w jego dłoni. Te wielkie, jasne oczy... Nigdy żadne oczy nie patrzyły w jego, z wyrazem takiego zaufania, nigdy nie zaznał podobnej radości, jak ta. Mimo woli, i nie wiedząc o tym nawet, mówił ciągle o dziecku i jego wielu cudownych właściwościach, aż wreszcie stało się to dla otoczenia uciążliwe.

Ale dziecko i starzec, każde odrabiało własną drogę – on stawał się coraz bardziej podobny do dziecka, zaś dziewczynka podraślała. Zaczęła zwracać uwagę na matkę i podziwiać w niej damę. Coraz częściej opuszczała ojca dla matki, dotykała jej pięknych sukien, i chciała z nią wyjść, kiedy tamta wybierała się na przechadzkę.

Bolało go to, i robił nadzwyczajne wysiłki, ażeby utrzymać przewagę, którą już kiedyś posiadał. Ale matce pochlebiał podziw dziewczynki. Mała stopniowo tak podraślała, że pani Berg poczyniała się w niej odnajdywać i odkrywać w niej kobietę. Nabrała zainteresowania dla córki, tak jak starsze uczennice interesują się młodszymi, które je podziwiają i naśladują. Zaczęła zabierać córkę na spacer, ku wielkiej uciechu dziecka.

W miarę, jak Helga podraślała, między rodzicami powstał rodzaj współzawodnictwa, w którym stary człowiek walczył, jak gdyby chodziło o życie, w którym jednak bez wątpienia prędzej lub później musiał ulec. Dziewczynka wyrosła już z jego starczych gawęd, a chociaż bardzo była do niego przywiązana, sprzykrzyło jej się mieć go ciągle i wiecznie obok siebie. Już dawno nie szła z nim ręką w rękę, bo już „naprawdę nie wypadało”.

W rozpacz szukał w myślach jakiegoś wyjścia, jakiejś możliwości, ażeby ją zatrzymać. Ale nie widział żadnej drogi i po raz drugi chwycił go strach przed pustką życia, strach który kiedyś już pchnął go do przezwyciężenia kawalerskich nawyków i – wejścia w związki małżeńskie. Wprawdzie szło tam dziecko, które było kością jego kości, krwią jego krwi, ale jednak zdawało się, że nie zrobił ani kroku dalej – nie nosiło przecież w duszy jego odbicia.

Lecz zanim uświadomił sobie nieodwołalność porażki, złożyła go niemoc starca i umarł w wieku lat 75. Przebieg jego śmiertelnej walki był bardzo spokojny, jedynie w ostatniej chwili, gdy posłano po Helgę, ażeby złożyła na jego czole ostatni pocałunek – życie w nim zatliło raz jeszcze. Schwycił jej głowę i w szalonym, kurczowym strachu, ścisnął mocno jej szyję i włosy, jak gdyby tonął i w ten sposób pragnął utrzymać się na powierzchni. A gdy oswobodzono ją z jego zaciśniętych palców – już nie żył.

Ten drobny, przejściowy epizod tkwił mocniej we wspomnieniach Helgi niż wszystka miłość i troska ojca, i najsilniejszym uczuciem, po jego śmierci, było uczucie wyzwolenia.

A małżonka?...

Po tych wielu latach współżycia, po wszystkim, czym ją obdarzył, po całej jego życzliwości i troskliwości, tylko również to samo: wyzwolenie.

Więc znowu odzyskała swe życie! Kawałek był wycięty – kawałek młodości; jednakże oba końce mogły być do siebie przyciągnięte i zrosnąć się; tam gdzie było cięcie, zostanie tylko blizna. Dalej skutki nie sięgały. Chociaż, jednak... zostało się oszukana o kawałek młodości, o piętnaście lat młodości! Ale jako rekompensatę za to, zostawił majątek, który pozwolił matce i córce na spokojne i wygodne istnienie.

Przez rok żałoby trzymały się na uboczu, wykorzystując ten czas na przygotowania do konfirmacji; trzydziestodwuletnia wdowa i jej piętnastoletnia córka, dzięki codziennemu bliskiemu obcowaniu stały się dobrymi, nierozłącznymi przyjaciółkami, które ani chwili nie mogły obejść się bez siebie i które ze wszystkim sobie się zwierzały.

W dzień konfirmacji Helgi, obie młode kobiety udały się na grób starca.

I tam stały razem, matka i córka, nad prochami tego, który cel swój osiągnął, a jednak został pokonany. Ale one patrzyły poprzez grób, w życie, gdzie oczekiwali je młodzi ludzie i młode radości.

W powietrzu szumiała wiosna i śpiewała w ich sercach. Objęły się ramionami, śmiały się i w rozmowie wybiegały w przyszłość. Obie doszły do wniosku, że miasto jest nudne i że przydałoby im się przede wszystkim słońce i wiejskie powietrze.

– I śpiew ptasząt! – powiedziała Helga.

– I krowy! – rzekła matka.

– I nikt prócz nas obu, prawda?

– Tak, i mały, ładny ogródek.

Przy pomocy pośrednika kupiły „Zacisze”.

V.

Nazwa „Zacisze” została przekreślona i nad furtką widniał teraz napis, dużymi wesołymi literami: „Klatka szpaków”. Zmiana nazwy była przedmiotem daleko idących roztrząsań, gdyż obie miały niezliczone propozycje i takie nazwy jak „Promień słońca”, „Wesołość”, „Wiejska radość”, „Przytulność”, „Różana altana” – były, po kolei, wieczorem zatwierdzane i regularnie z rana znowu odrzucane. Nazwę „Klatka szpaków” wybrały ostatecznie z powodu licznych skrzynek, które stary pastor, w swoim czasie, przytwierdził dla szpaków; wszystkie skrzynki były zamieszkałe.

Kiedy przyjechały, miejsce to było tak zarośnięte, jak owi barbarzyńcy w odwiecznych czasach, którzy uważali sobie za honor nie strzyc włosów i brody. Teraz podcinano i karczowano, na ile tylko pozwalała pora roku. Zieleń tylko zyskała na tym, listowie stało się gęściejsze i wieńczyło bujnie drzwi i okna całkowicie kryjąc żółty kamień, z którego dom był zbudowany.

Matka i córka łatwo i prędko wżyły się w nowe otoczenie, i duszą, i ciałem oddały się wygodnej egzystencji, jaką sobie wymarzyły. Nie tęskniły za stolicą, czas im upływał mile i przyjemnie i rozkoszowały się wszystkim, zarówno wygodami jak brakami. Były jak gdyby stworzone do zażywania rozkoszy. Wszystko dawało im powód do śmiechu; nie działo się nic, co by nie wzbudzało w nich wesołości; ledwie spojrzały na siebie, już musiały się śmiać.

Całe dni spędzały przeważnie w ogrodzie, bawiły się w berka na murawie, pełły i oczyszczały ścieżki, lub siadywały pod lipami gawędząc. Wieczorem szły na spacer i obserwowały zachód słońca lub wędrowały przez wieś, przyglądając się barwnemu życiu w zagrodach i nad sadzawką. Fortepianu, w owym czasie, prawie nie dotykano; książkom działo się nie lepiej.

Trzeba było pewnego czasu, zanim mieszkańcy miejscowości do nich przywykli. Z początku, oglądano się za nimi i zbliżano ku sobie głowy, kiedy przechodziły; padały półgłose uwagi, brzmiące niezbyt pochlebnie. W tej okolicy instynktownie nienawidzono wszystkiego, co obce. Ale pomału, przyzwyczajono się do ich widoku; ich naturalny sposób bycia oraz dobry humor stopiły lodową skorupę, otaczającą serca ludzi, zaś resztki powściągliwości zmiękczyła ta okoliczność, że miały pieniądze, doskonały argument w oczach wesołych, lecz praktycznych mieszkańców. Okoliczni wieśniacy zaczęli stopniowo zapraszać je do siebie.

Pewnego południa zeszły do ogrodu, ażeby go uprzątnąć. Pani Berg operowała łopatą, panna Helga grabiła. Obie były rozgrzane słońcem i pracowały wolno, ociężałe.

– No, teraz naprawdę dosyć – rzekła Helga, kiedy doszły do ostatniej ścieżki, i rzuciła grabie na trawę.

– Naturalnie, trochę nieładu nie szkodzi, porządek wygląda przy nim tym wspanialej. Wiesz co?... Właściwie brak kogoś, kto by to wszystko potratował i zaśmiecił, gdy porządek został już zaprowadzony.

– Ach, masz na myśli psa czy też chłopca? Mogłabyś w takim razie wyjść za rządcę folwarku. On na pewno cię lubi i – ma takie duże nogi.

– Bajesz, mój głuptasku – rzekła pani Berg i śmiejąc się przytuliła do siebie córkę.

Pani Berg była zmuszona często córkę do siebie tulić. Było coś takiego, że pragnęła tego, nie będąc w możności zdać sobie sprawy, na czym to właściwie polegało. Tak słodko było czuć to młode ciało obok swego i słyszeć jak uderzenia młodego serca odpowiadają jej własnym. A przy tym doznawała nagle takiego uczucia żalości! Przypisywała to macierzyńskim radościom i troskom. Kto mógł wiedzieć jakie ramiona obejmować będą kiedyś to ukochane

ciało! Może to będzie starzejący się mąż, taki jak jej własny, a może taki, co przyjdzie do niej od innych i znów do innych odejdzie.

– Ach, gdybym była mężczyzną i mogła sama się w niej zakochać – myślała pani Berg i przyciskała i obejmowała córkę jeszcze mocniej.

Przechadzały się po ścieżkach, gawędząc. Helga objęła ramieniem kibić matki. Nagle pani Berg wykrzyknęła i wyrwała się. Helga połaskotała ją pod pachą. Teraz Helga uciekała, a matka ją goniła wokoło zarośli i różanego klombu. Wreszcie matka dała za wygraną i, zadyyszana, usiadła pod lipami. Helga podeszła, skradając się ostrożnie, zawirowała wokół lipy, napadła matkę od tyłu i zaczęła ją łechtać w szyję. – „Helgo! – jęknęła pani Berg, na wpół zduszona i cała w pąsach – „przestań wreszcie, słyszysz, słyszysz”? – Brzmiało to prawie jak krzyk przerażenia, Helga spojrzała na nią osłupiałym wzrokiem, przyciągnęła ogrodowe krzesło i usiadła koło matki.

Od strony zachodu zrobiły otwór w ogrodzeniu, ażeby móc spoglądać na pola. Przed tym otworem, pod rozrostłym krzakiem bzu, sporządziły sobie z deski ławkę, i tam siadywały często po zachodzie słońca, spoglądając na niebo i przysłuchując się dźwiękom, które rozbrzmiewały wieczorami we wsi.

Z miejsca, pod lipami gdzie się znajdowały w danej chwili, mogły przez otwór objąć wzrokiem pewną przestrzeń obszernych pól, należących do folwarku. Na niektórych rosło żółte żyto, na innych pasły się łaciaste cielęta, wymachując ogonami. Pomiędzy polami, wił się strumyczek, brzeżony szalejem. W odległości około tysiąca metrów, pola były ograniczone szeregiem dębowych gaików, połączonych długą groblą. Rosły tam pojedyncze drzewa, których płaskie korony zostały ukośnie ścięte przez zachodni wiatr, dzięki czemu wyglądały, jak gdyby trzymały nad sobą rozpostarty parasol. Gdzieś, wśród tych drzew, znajdowała się kukulka i bezustannie kukała.

Pani Berg patrzyła przed siebie rozmarzonym wzrokiem.

– Posłuchaj, kukulka – rzekła Helga.

– Tak, przygrywa innym ptakom do pracy i pozostawia im troskę o swoje małe, akurat tak samo jak poeci – odpowiedziała pani Berg; myślami była gdzie indziej.

– Jak poeci? – powtórzyła Helga, zamyślona. – Tak, ale... – i ona też pograżyła się w zadumie.

W cieniu było po prostu parno. Jedyne od czasu do czasu przeciągał, z poza płotu świeży powiew, przynosząc zmieszaną woń kwiatów i gnojówek.

Obie kobiety były bliskie drzemki. Nagle Helga wyprostowała się raptownie.

– Posłuchaj, on naprawdę znów gwizdże.

– Kto, moje dziecko? – Pani Berg otworzyła oczy do połowy.

– Szewski terminator naturalnie! Że też może być taki wesoły, pomimo to, że zawsze siedzi zamknięty i musi ciężko pracować.

– Widocznie niewiele od życia wymaga. – Młoda kobieta wymówiła ostatnie słowa, ziewając. – Ach prawda, co powiedział o twoich bucikach?

– Powinnaś widzieć, jak na nie patrzył. Na pewno nigdy jeszcze nie widział obuwia, zapinanego na guziki. Nie był pewien, czy potrafi je zreperować, bo majstra nie było w domu, a sam nie jest taki zdolny, powiedział. Pomyśl, nie być dość zdolnym, ażeby przyszyć kilka guzików.

– Na pewno się przeląkł takiego obuwia. Oni tutaj obawiają się wszystkiego, czego jeszcze nie widzieli.

– Później, gdy chciał coś powiedzieć okropnie się zaczerwienił. Można po prostu pękać ze śmiechu.

Matka przytaknęła ostatnim słowom i oczy jej wolniutko się zamknęły.

Gniazda szpaków na obrośniętej winem facjatce domu, pełne były piskląt, które bezustannie piszczały z głodu, a stare szpaki niezmordowanie latały między gniazdem a lasem, tam i z powrotem. Helga obserwowała ich wędrówki.

Jak szybko odbywały tę podróż; co chwila któryś powracał, z pełnym dziobem pokarmu. I za każdym razem gdy szpak zasłaniał wejście do gniazda, wewnątrz rozlegały się piski i krzyki. Od czasu do czasu, w otworze ukazywał się żółty dzióbek i chwycił powietrze. Pisklęta z pewnością były ciągle głodne, tak jak Helga. Był to pewnie skutek wiejskiego powietrza.

Właśnie pojawił się jeden szpak. Usiadł w otworze, najpierw ostrożnie obejrzał się wokół, potem pochylił się nad gniazdem. Rozległo się wiele piskliwych dźwięków, a ptak z pustym dziobem znów się wyprostował, następnie wskoczył do skrzyni i znów wrócił z niej z kawałkiem białego łąjna w dziobie. Zniknął z nim i opuścił je dopiero nad polami. Przyleciał jeszcze jeden szpak, i jeszcze jeden, i tak się działo od wczesnego rana. I wszystkie zachowywały się zupełnie jednakowo. Ale teraz przyfrunął jeden, który już nie odleciał, i następny też pozostał, i wkrótce zebrały się wszystkie. Godzina była piąta. Skąd szpaki mogły wiedzieć która jest godzina? Każdego popołudnia punktualnie o piątej, przerywały swą krzątaninę, sadowiły się w koronach lip i próbowały naśladować te wszystkie dźwięki, które zdołały pochwycić w powietrzu w ciągu dnia: wołanie kukułki, wabienie kuropatwy, i gwizd ptaków śpiewających. Wabiły kosa, który istotnie odpowiadał z zarośli długimi, miękkimi miłosnymi tonami, i próbowały naśladować osiem krótkich i dwa długie tony trznadla. Albo też zbierały się w wielkim jesionie nad sadzawką i odbywały tam wrzaskliwy wiec.

Helga chodziła wkoło pnia lipy, opierając się on jedną ręką – nudziła się. Gdyby tylko matka prędko zechciała się obudzić! Wreszcie schwyciła źdźbło trawy i przejechała nim po wargach matki. Pani Berg we śnie starała się kilkakrotnie pochwycić trawkę, ku wielkiej ucie-sze Helgi, i otworzyła oczy.

- Tak długo nie milczałaś przez całe swe życie, mamó.
- Nie, ale ty także!
- Nie chciałam przecież cię budzić.
- Budzić! Nie spałam, zdrzemnąłam się tylko trochę.
- Ale chrapałaś głośno.
- To chyba nieprawda? – krzyknęła pani Berg, z wyrazem komicznego przerażenia na ładnej twarzy.
- Czy nie będziemy niedługo jadły, jestem tak strasznie głodna.
- Zaraz, jeżeli chcesz! Więc jak było z tym chrapaniem?
- Hm... co będzie na kolację?
- Twoja ulubiona potrawa!
- To widocznie była krowa, która ryczała.

VI

Po kolacji znów siedziały pod lipami, omawiając, dokąd pójda na wieczorny spacer.

– Chodźmy gościńcem i popatrzmy na zachód słońca – zaproponowała Helga.

– Nie. Wiecznie ten zachód słońca, to mnie już nudzi. Lepiej chodźmy do wsi.

Furtka zaskrzypiała i przed domem stanął długi szewski terminator z bucikami Helgi zapinanymi na guziki.

– No i cóż, przezwyciężyliście trudności? – spytała pani domu.

– Tak. – Uśmiech dumy opromienił mu twarz.

– A zatem teraz macie fajerant?

– Nie.

– Nie? O której więc rano zaczynacie pracę?

– O wpół do piątej.

– Wielki Boże, ależ wasz majster musi być prawdziwym tyranem.

– Nie-e, nie bije mnie nigdy.

– Ach tak, rzeczywiście? To istotnie dobrze wam się dzieje. A nie macie ukochanej?

Zasłonił sobie twarz rękawem i zachichotał.

– Ależ, mammo! – zawołała Helga, śmiejąc się.

– No, cóż, nic w tym złego. Zjecie kartoflanych klusek?

Wymamrotał coś niewyraźnego zamiast odpowiedzi, a pani Berg weszła do domu, ażeby przynieść trochę klusek. Podczas całej rozmowy chłopak był czerwony jak ogień i nie patrzył na żadną z kobiet, ale gdy pani Berg oddaliła się odetchnął z ulgą. Skierował swe jasnoniebieskie, ufne oczy na Helgę i rzekł niepewnie, wskazując głową w kierunku pokojów:

– Musi być pięknie tam u was, wewnątrz.

– Oh, tak – odparła Helga, uśmiechając się.

– Tak, wam się dobrze dzieje – pewnie nie brak wam pieniędzy! – Było to widocznie pomysłane jako komplement. Helga, przez cały czas była bliska tego, żeby wybuchnąć śmiechem, a przy tej ostatniej uwadze musiała wbiec do domu, ażeby nie parsknąć chłopcu prosto w twarz. Kiedy, wraz z matką, wrócili z kluskami – już go nie było.

Wyszły przed furtkę, lecz musiały się cofnąć do ogrodu, bo właśnie spędzano bydło z pastwiska. Krowy były nażarte i kroczyły wolno, z wpółprzymkniętymi oczami. Ciężkie wymiona zwisały naprężone, a z niektórych ciekło mleko kroplami.

– Chodźmy do wsi, tam się przynajmniej widzi ludzi – rzekła pani Berg, i szły wolno za stadem.

Nad wioskową sadzawką wrzało życie. Pośrodku wody pływały gęsi i kaczki, trajkocząc na wyścigi. Dawały nurka pod wodę i przebierały czerwonymi płetwami po powierzchni, to znów wypływały z pod wody bijąc skrzydłami w powietrzu. Nisko stojące słońce odbijało się o wnętrza ich skrzydeł i biały odbłask drżał po ich obu stronach, na zaróżowionej powierzchni wody. Nad brzegiem bajora, bezładnej mieszaniny gliny i gnoju, klęczała na kamieniu wyrobница, piorąc kijanką bieliznę. Rozgniewany gęsior raz po raz przepływał koło niej, sapiąc, i usiłując uszczypnąć ją w gołe łydki.

Krowy, spuszczały się ku wodzie, brnąc krok za krokiem poprzez łąjno ku bajoru i muskając pyskami powierzchnię wody. Gdy woda dotykała brzucha, zatrzymywały się i chlipyły z namysłem i z rozkoszą, kładąc się ciemną plamą na obumarłą już powierzchnię wody. Z zagród wyłaniaли się bosonodzy chłopcy na starych, wynędzniałych szkapach. Wjeżdżali głęboko w wodę, a podczas gdy konie piły, starali się wzajemnie opryskiwać nogami.

Pani i panna Berg szły dalej poprzez wieś. Bydło, które tymczasem zostało uwiązane, poruszało się niecierpliwie w oborach, a przez podwórza biegły dziewczyny od udoju, w kłapiących chodakach, za nimi zaś uganiały trzy, cztery koty. Parobcy, wróciwszy dopiero co od robót w polu, zajęci byli wyprzęganiem. Gdzieś tam, wieśniak z biczem sprawował sąd nad swymi chłopakami.

Wysoko, przy murze kościelnym, matka i córka położyły się i spoglądały w dal przed siebie. Na wprost nich, w niewielkiej odległości, rozciągało się wielkie torfowisko, z drugiej strony grunt znowu się podnosił. Hen, daleko mogły śledzić trzęsawisko, – z jego lśniącymi okami rozlewisk i niezliczonymi wzniesieniami, – które stawało się coraz węższe i węższe i ginęło na północno-zachodzie, właśnie tam, gdzie zachodziło słońce, tak iż sprawiało wrażenie, jakoby biegło poprzez ognistą szczelinę, wprost do nieba. Siano już dawno zostało zwiezione, jeden jedyny wóz naładowany torfem, jeszcze się kołysał na chwiejnym gruncie. Zawodzące, jednostajne dźwięki wznosiły się z przed małych bajorek i kałuż, w których wiodło żywot tysiące żab.

Pani Berg leżała na wznak, z ramionami splecionymi na karku i wpatrywała się w głębokie, prawie fiołkowe niebo – nazywała ten sposób leżenia „perspektywą flądry”. Helga siedziała wyprostowana, wrywając żdźbła trawy i rzucając je w twarz matce.

– Oh, jak to musi boleć, takie uderzenie batem po bosych nogach! Czy dostawałaś takie bicie kiedyś, mamó?

– Nie... chociaż... nie, tego ci nie opowiem, Helgo.

– Ach, opowiedz jednak, Anno, dobrze? – Kiedy była bardzo czule usposobiona, nazywała matkę po imieniu.

– Dobrze, ale podczas tego, nie powinnaś mi się, przypatrywać, głuptasku. Zdarzyło się to jeszcze za mego pobytu u ciotki. Miałam wtedy dwanaście lat i opanowała mnie jakaś niewytłumaczona tęsknota za cielesnym bólem – ciotka nie biła mnie nigdy. Doprowadziłam zatem do tego mego kuzyna, żeby mnie wychłostał szpicrutą.

– Ale tylko przez suknię... – rzekła Helga z wahaniem.

– Nie, skądże!

– I bolało?

– Nie, nie od razu. Ale później miałam porządne sińce i wcale nie mogłam siedzieć. Mocno walił... bestia!

Pani Berg zatrzymała się i patrzyła nieruchomo przed siebie. – Najdziwniejsze zaś jest to, że potem zaczęłam o nim marzyć. Przedtem wprost go nie znosiłam. – Podniosła się i zasłoniła suknią nogi.

Nad torfowiskiem pobawiły się tu i ówdzie białe opary. Zbierało ich się coraz to więcej, zaczęły tworzyć długie smugi i w jednej chwili całe torfowisko zostało pokryte, jak gdyby białym morzem mgieł, tak, że wystawały zeń tylko pojedyncze wierzchołki drzew. Zmiana zaszła tak nagle i była tak całkowita, że obie kobiety wydały okrzyk podziwu.

Jednocześnie owionął je chłodny powiew, wstały więc, ażeby odejść, Z wiejskiej karczmy, po drugiej stronie drogi, dochodziły podniesione głosy i twarde uderzenia pięści w stół. Światło płonęło i przez nieosłonięte okna dostrzegało się wieśniaków i handlarzy końmi, grających w karty. Na zewnątrz stało kilka bryczek. Jedno skrzydło zajazdu było zbudowane w poprzek gościńca i z obu stron miało otwarte wrota, tak, że kto szedł drogą, musiał, chcąc nie chcąc, korzystać z tego przejścia. Kiedy obie kobiety przechodziły przez tę bramę, usłyszały szepty i chichoty i spostrzegły zarysy postaci chłopca i dziewczyny, którzy usunęli się w cień.

We wsi wszystko nosiło piętno przedświątecznego wieczoru. Była sobota, nie śpieszono się więc z udaniem na spoczynek, jak zwykle, gdy następnego dnia trzeba się w czas zrywać, żeby wyruszyć w pole. Parobcy, w koszulach, stali przed obejściami, oparci plecami o wrota, paląc fajki, dziewczyny wałęsały się po kilka tam i z powrotem, zagradzając całą drogę. Kiedy mijały parobków, ci zaczepiali je żartobliwie. Dziewczęta nie pozostawały dłużne w od-

powiedzi. Najwidoczniej chętne były zalotom, ale strzegły się przed uczynieniem pierwszego kroku. Wielokrotnie przechodziły obok nich, i zadawały się tym, że ta, która szła najbardziej na zewnątrz popychała inne ku parobkom.

– Która godzina, Andersie – zawołała jedna z dziewcząt do parobka, któremu gruby łańcuch od zegarka zwisał chełpliwie na brzuchu.

– Ta sama, co wczoraj o tej porze – odpowiedział, wśród hucznych śmiechów pozostałych.

Matka i córka wolno przeszły obok nich. W grupach ucichło, dopóki się nie oddaliły na pewną odległość. Wtedy usłyszały, jak jeden parobek pytał drugiego; „Która z nich lepiej ci się podoba, Lauridzie?” „Myślę, że chyba „odręczna kobyła” – brzmiała odpowiedź.

– Która z nas jest ta szczęśliwsza! – rzekła pani Berg. Roześmiały się.

Ponad stalową, a jednak lekko połyskującą taflą jeziora, przemykały bezszelestnie nietopere, uganiając się za owadami. W locie były podobne do jaskółek. Na tym kamieniu, na którym wyrobница prała bieliznę, siedział stary pastuch i mył sobie nogi. Z otwartej obory folwarku dochodziło do uszu przeżuwanie krów, których błogie samopoczucie manifestowało się długimi westchnieniami. Ciepły opar uderzał w nie szeroką falą.

We wrotach stał syn domu i rozmawiał z zarządcą. Zdjął kapelusz w sposób trochę małościastekowy, podszedł do nich i podał im rękę. Właściciele folwarku byli jednymi z pierwszych, którzy zaprosili do siebie panią Berg i jej córkę. Młodzieniec zaczął je zabawiać rozmową o pogodzie i widokach na urodzaje i opowiedział przy tym, że terminator szewski usiłował się powiesić, co mu się nie udało. Oczywiście otoczone były gęstą siecią drobnych zmarszczek, biegnących ku uszom i nosowi, i ten kto patrzył tylko na górną część twarzy, doznawał wrażenia, że człowiek ten zawsze się śmieje. Kiedy rozmawiał z mężczyznami, poruszał żywo głową i patrzył to tu to ówdzie, ale kiedy rozmawiał z kobietami, wświdrowywał swoje małe, kłujące oczka w ich źrenice.

Odprowadził je kawałek drogi i zaprosił na wycieczkę wozem, którą zamierzała urządzić następnego dnia młodzież wioskowa. Celem jej miał być bukowy las, leżący o milę na wschód. Pani Berg podziękowała, nie chciała jednak przyrzec na pewno.

– Niech mi pan powie, co znaczy właściwie „odręczna kobyła”? – spytała.

– Jest to ten koń, który w zaprzęgu idzie z prawej strony – odparł.

Przez twarz pani Berg przemknął nikły uśmiech zadowolenia.

– Więc to jednak ty, mamo.

– Tak, ale jest to zaszczyt trochę wątpliwy – odrzekła pani Berg.

Przez ciszę przedarły się do nich dźwięki harmonijki; dobiegały z drugiej strony wsi.

– Posłuchaj, muzyka – powiedziała Helga.

– To parobczaki i dziewczyny ze wsi tańczą na murawie przed kościołem; robią to każdej soboty, po sianokosach – objaśnił uprzejmy towarzysz, otwierając furtkę przed nimi. Powiedzieli sobie dobranoc, a on powtórzył swe zaproszenie na wycieczkę. Helga patrzyła w ślad za nim, gdy odchodził.

– Nie wiem, właściwie jest chyba paskudny a jednak jest w nim coś, co się podoba – powiedziała Helga, opuszczając spódnicę.

– Tak, ładny nie jest i właściwie miły też nie jest, chociaż, jak na tutejszego człowieka jest dosyć układny. Ale, jak mówisz słusznie, posiada coś pociągającego. Oczywiście, nie wzdycham do niego, zanadto przypomina mi subiekta, a przy tym jest taki mały.

– Sądzę, że i mnie się nie podoba. Ale muszę mu się wciąż przyglądać. A gdy patrzy na człowieka, ma się wrażenie, jak gdyby łaskotał palcem spód dłoni.

– Na pewno jest bardzo brutalny. Mówią, że ani jedna dziewczka nie odchodzi z folwarku bez dziecka. – Matka rozczesywała swe długie, ciemne włosy.

– Jakie twoje włosy są długie, mamo... w takim razie nie powinny tam przyjmować służby.

Helga stanęła na łóżku i jednym rzutem padła na pościel.

– Na pewno mu nigdy na dziewczętach nie zbywa.

– Jak cudownie chłodna jest ta pościel – rzekła Helga, naciągając kołdrę – po prostu człowieka ciarki przechodzą. – I przy ostatnich słowach, już spała.

VII.

Pani i panna Berg zmieniały się codziennie; raz jedna to znów druga wstawiała pierwsza i zajmowała się sprzątaniami. W niedzielę przypadała kolej na panią Berg; ubrana tylko w luźny szlafroczek obchodziła pokoje, zamiatała i ścierała kurze. Wszystkie okna od ogrodu były otwarte, ażeby świeże ranné powietrze przewiało całe mieszkanie. Na dworze świeciło słońce, a pokryte rosą liście, lśniły w jego promieniach.

Pod wpływem tego nastroju, pani Berg z cicha nuciła. Kiedy przypadkowo zwróciła się twarzą ku drzwiom, wydała krótki okrzyk. W ramie drzwi stał obszarpany i zabłocony po uszy człeczyna, który kłaniał się nisko, szurając nogami. Człowiek ten tanecznym krokiem wsunął się do pokoju i wymachując kapeluszem w wyciągniętej dłoni, znów zaszurał nogami: „Niech się pani nie obawia, na miłość Boską, droga paniusiu, przecież nie gryzę. Zresztą nazwisko moje — Lindtrup, Albinus Lindtrup, przez p... przez małe p... Stan i zajęcie: wędrowny rzemieślnik i straszliwie głodny”.

Pani Berg była całkowicie zbита z tropu.

„Dlaczego przychodzi pan tak wcześnie?” — chciała powiedzieć, ale w roztargnieniu powiedziała; „Dlaczego nie przyszedł pan wcześniej?”

— Proszę o przebaczenie, szanowna pani; nie mogłem przecież wiedzieć, że pani mnie oczekuje, przyszedłbym na pewno wcześniej, może mi pani wierzyć. A tak, musiałem się zadowolić matką Grun, która jest zresztą wcale niczego, ale co do czystości, nie! — tego nie można o niej powiedzieć. Gdyby może w pobliżu znalazła się jakaś szczotka, byłoby nietrudno udać się z nią na dwór i coś z tego tutaj zeskrobać.

Otrzymał szczotkę i wyszedł. Za każdym krokiem, krygował się i mizdrzył, wykonując rękami ruchy przesadnie eleganckie. Panią Berg zaczynał już bawić, to też śledziła go przez okno. Nogawki jego spodni były z tyłu całkowicie obszarpane i zwisały w długich strzępach, ale on zeskrobywał z nich błoto i czyścił z taką starannością, jak gdyby dotykał jedwabiu. Poprawił grubą, wełnianą szalik, schowany pod surdudem, przyglądał palcami włosy i brodę, spojrzał zezem na nos z obu stron i napluł na rękaw, czyszcząc go w ten sposób.

Pani Berg pośpieszyła obudzić Helgę, ażeby i ona zobaczyła gościa, zanim ten odejdzie. Gdy wróciła, znów stał we drzwiach i uśmiechając się, przechylał głowę. Jego oczy w czerwonych obwódkach, formalnie promieniały kokieterią: „To się chyba pani podoba, co? — rzekł, obracając się na wszystkie strony — „istotnie na Boga, było się kiedyś pięknym chłopcem. Pani pozwoli!... — jedną rękę oparł starannie na poręcz krzesła. — „Droga pani, jeżeli pani ma coś do roboty w kuchni, niech sobie panie nie przeszkadza, ja nic nie ukradnę. Chcę pani właśnie powiedzieć, że też pochodzę z dobrej rodziny.

— Zaraz mi się tak zdawało — rzekła pani Berg, której teraz zrobiło się jakoś raźniej.

— To świetnie! Coś podobnego nigdy nie da się ukryć, pod korcem; jest to głos krwi, mówię pani. Więc jeżeli pani...

Pani Berg zrozumiała aluzję i wyszła, ażeby przygotować kilka kanapek.

Kiedy znalazła się za drzwiami, przysunął się do małego koszyczka z przyborami do szycia. Grzebał w nim, dopóki nie znalazł kilku guzików, igieł, nici itp., które wziął. Igły wpiął w klapy surduta. Gdy Helga weszła wkrótce potem, siedział z nogami założonymi jedna na drugą, gwizdał i bębnił palcami po stole. Natychmiast zerwał się, szurnał obcasami i skłonił się z powagą. — Albinus Lindtrup — rzekł i spojrzał na nią z godnością. Podeszła doń i podała mu rękę. To mu dodało otuchy i zaczął zabawiać ją opowiadaniem o swoich podróżach. Od topografii przeszedł do historii, tematy go unosiły i dodawały natchnienia. Gdy weszła pani Berg z

posiłkiem, wstał, oparł się prawą ręką o stół, zaś lewą wyciągnął zapraszającym gestem w stronę panny Helgi. Właśnie dotarł do Christiana Drugiego i oczy miał pełne łez.

– Co się tyczy Dyvecke, dodam tylko, że jest to bardzo smutne. Krischan postępował jak szaleniec, musiał więc za to płacić, ale moja biedna, mała Dyvecke, cóż ona uczyniła? Proszę mi powiedzieć, co zawiniła? Albo na przykład Torę? Mała Torę? – Tutaj puścił wodze łzom, ale skoro w tej samej chwili spostrzegł gospodynię z talerzem pełnym kanapek, zdusił szloch i przez łzy uśmiechnął się do jadła.

– Czy mogę i ja przyczynić się do uświetnienia uczty? – powiedział jowialnie i wyjął z wewnętrznej kieszeni flaszkę z wódką.

– Czy dać panu szklanek? – spytała pani Berg.

– Nie, dziękuję; w gardle ma się najlepszą miarę, doświadczenie długich lat.

Wsuwał, jak gdyby przez miesiąc nie widział jadła, i przez cały czas milczał. Dopiero kiedy talerz był prawie próżny, podjął znów wątek przerwanej historii; ale teraz patrzył na wszystko z bardziej jasnego punktu widzenia. Uczucie sytości czyniło z niego optymistę.

– Żyła jeszcze jedna królowa, nazywała się Margareta; była to wspaniała kobieta. Nazywano ją królem „Bezportek”, gdyż żadne portki jej się nie trzymały. A kiedy razu pewnego dostała parę prawdziwych skórzanych spodni, których, nie mogła się pozbyć w naturalny sposób, usiadła na toczydle, które kazała kręcić swoim damom dworu. I – trzask, prask, proszę bardzo – już było po spodniach. Albowiem była zabójczo przebiegła. Wtedy żył także pewien król, zwał się Albrecht, i ta historia ze spodniami ogromnie mu przypadła do smaku. Pisze więc do niej: „Może byśmy oboje złożyli do kupy nasze kramy?” – A ona na to, jak na lato.

– Ależ ona go przecież wcale nie chciała – wtrąciła gorliwie panna Helga.

– Tak, tak, nie chciała? Bez wątpienia, może pani na to przysiąc, że chciała... i jeszcze jak! Ale, oczywiście, bywają rozmaite ujęcia, i skłaniam się przed opinią pani – nie powinna pani móc mówić źle o Albinusie Lindtrupie. Więc, pięknie dziękuję, łaskawa pani, dziękuję panienko. – Nie wstawał, dziękował tylko skinieniem ręki w stronę ich obu.

Pani Berg wzięła talerz z pozostałymi kanapkami. – Oh, czy mogę? – i prędko nakrył talerz ręką. – Byłoby ładnie, gdyby pani miała jeszcze więcej trudzić się dla biednego włóczęgi. – I włożył chleb do kieszeni. – Bywajcie, drogie dzieci! Teraz już odchodzi Lindtrup, wędrowny czeladnik, gdyby się znowu tak zdarzyło to – proszę bardzo. – Nasadził kapelusz na swoje trzy włoski i tanecznym krokiem opuścił pokój, podrygując jeszcze na ścieżce przed oknami.

Zaledwie znalazł się za drzwiami, panna Helga rzuciła się na krzesło i zaniósła się śmiechem. Ale nagle znów się pojawił, z kapeluszem pod pachą i najukładniejszą miną.

– Przepraszam, czy nie natknęła się pani na jakąś dwudziestopięciofenigówkę, która by wyglądała na moją własność?

Pani Berg dała kułaka Heldze, która wśród śmiechu nic nie słyszała. — Nic nie szkodzi, droga paniusiu, nic nie szkodzi. Nie pierwszy raz ma człowiek do czynienia z małymi dziewczynkami.

Pani domu dała mu pośpiesznie dwadzieścia pięć fenigów, aby się go prędzej pozbyć.

– Nie powinnaś śmiać się ludziom prosto w nos, moje dziecko – rzekła kiedy odszedł.

– Ale kiedy on był taki śmieszny; i miał dziurę zamiast brzucha, i co za chód!.. – Helga spróbowała ten chód naśladować.

VIII.

Już poprzedniego wieczoru, pani Berg stanowczo zdecydowała nie brać udziału, w wycieczce; jedynie przez grzeczność dała niepewną odpowiedź. Zrobiła to głównie z powodu Helgi; osobiście nie znosiła Aage Hermansena, syna właściciela folwarku i znajdowała, że Helga zbyt często się za nim ogląda. Aczkolwiek jego małe, kłujące, otoczone zmarszczkami, oczy nad nią nie miały żadnej władzy, to nie mogła przed sobą ukrywać, że ilekroć oczy te spoczywały na Heldze, czuła wewnętrzny niepokój; myśl, że, być może, musiałyby w charakterze teściowej całe życie mieć te oczy gdzieś w pobliżu siebie, napępiała ją wstrętem. Wtedy należałoby już raczej uważać prawie za lepsze to, co było najprostsze, czemu jednak chciała przeszkodzić za wszelką cenę; mianowicie Aage o ile by uświadomił sobie podziw Helgi dla siebie, wyzyskałby go, z jej szkodą. Pani Berg nie oszczędzała go, mówiła Heldze, nie owijając w bawełnę, jakim był, i że jedynie służące dają się ogłupić przez takiego człowieka. Ale, albo jej własna odraza nie była dość silna, albo też Helga nie ujmowała powagi sprawy. Słowa odbijały się od niej tak zadziwiająco, i wśród rozmowy na ten temat, zaczynała zawsze mówić o czym innym.

I własne wątpliwości pani Berg co do wycieczki coraz bardziej topniały. Piękna pogoda i widoki na spacer po lesie bukowym opętały ją, zaś wypadki poranne pobudziły jej „apetyt na ludzi”, jak to sama nazywała. I kiedy wóz drabiniasty zatrzymał się przed furką i jeden z chłopców wszedł, ażeby je zaprosić, ostatnia jej wątpliwość rozwiązała się, i – pojechały. Skoro, wśród śmiechów i żartów, udało im się wreszcie umieścić nogi w przeładowanym wozie, usłyszały dobrze znane uderzenie w skórę, dochodzące z góry facjatki – szewski chłopak siedział na swoim miejscu, harował pilnie, jak zwykle, i odprowadzał je tęsknym wzrokiem. Skinęły mu głową na pożegnanie, odjeżdżając.

Skręcili wkrótce z gościńca i mijali szereg domków wyrobników. Z wozu mogli widzieć niskie izby. W jednej siedział mężczyzna i chlupał mleko z ogromnej miski, obok stało gliniane naczynie ze szmalcem i pół bochenka żytniego chleba. Po drugiej stronie stołu, siedziała matka, jeszcze w nocnym kaftanie i iskała głowę dziecka. Kiedy wóz mijał chałupy, wszystkie twarze ukazywały się w oknach.

Aage Hermansen sam powoził i miał dosyć do roboty, chcąc utrzymać w cuglach swawolne konie, które opuszczały głowy i rozdymały chrapy, korzystając z każdej najmniejszej sposobności, ażeby drogę odbyć w podskokach. Wyglądał dobrze na koźle, z wyciągniętymi ramionami, trzymając mocno lejce, z uwagą skupioną całkowicie na tym, co robił. Pani Berg znajdowała, że był dziś więcej pociągający niż kiedykolwiek.

Obok niego siedziała dziewczyna lat około dwudziestu. Miała pełne kształty, niebieskie oczy, wyrażające oddanie, ciemne włosy i oliwkową cerę, o słabym różowym zabarwieniu, które zdradzało tłumioną namiętność. Wyraz twarzy był zmęczony, a raczej nawet – tępy. Nazywała się Karen Petersen i była córką wieśniaka, mieszkającego ponad wsią. Młodziemka zwykła była łączyć jej imię z synem właściciela folwarku, a chociaż dziewczyna była potajemnie zaręczona z synem gospodarza z sąsiedniej wsi, nie zaprzeczała tej gadaninie; zaprzeczanie w ogóle nie leżało w jej naturze.

Brat jej Jens, szesnastoletni wyrostek, siedział z tyłu na wozie, obok Helgi. I on również był pulchny, o owalu podobnym do siostry, Miał również jej oczy, tylko jaśniejsze. Twarz jego była świeża i rumiana, i w ogóle tryskał zdrowiem. Siedzieli z Helga bardzo blisko siebie, co wprawiało oboje w takie zmieszanie, że byli aż purpurowi i nie śmieli na siebie spojrzeć, starając się tylko możliwie trzymać od siebie z daleka. Aż do chwili, kiedy wóz się po-

tknął i wpadli na siebie z taką siłą, że aż zetknęli się policzkami. Oboje zaczerwienili się jeszcze bardziej, podczas gdy inni wybuchnęli głośnym śmiechem, i nagle do chóru dołączył się również jasny śmiech Helgi. Ostatecznie roześmiał się i chłopak, z początku był to powstrzymany chichot, stopniowo coraz głośniejszy, aż wreszcie-niepowstrzymany. I śmiał się jeszcze ciągle, gdy inni już dawno zapomnieli z czego się śmiano.

Okolica, przez którą jechali, była pagórkowata na przestrzeni dwóch mil kwadratowych. Z zachodu i północy ograniczały ją wielkie torfowiska, ze wschodu i południa – granicę stanowiły strumyki i rozległe łąki. Tymczasem dojechano do środka, a zarazem do najwyższego punktu „wyspy”, skąd rozciągał się rozległy widok na wszystkie strony; gdziekolwiek zwracało się oczy słały się urodzajne pola, przegradzane obejściami, domami i lasami, aż lekko sfalowana płaszczyzna znikwała w błękitnym oparze, który charakteryzował nizinę. A dalej wyłaniały się z oparów zalane słońcem, znowu inne obejścia, domy i lasy, tylko znacznie mniejsze, pomimo to, że zdawały się leżeć jak na dłoni. Była to kraina poza łąkami.

Znowu wyjechali na szeroki gościniec i szybko posuwali się naprzód. Niedaleko, przed sobą, spostrzegli postać kobiecą, która dreptała w tym samym kierunku, niosąc na zgarbionych plecach konewkę i grabie. – Mamo, to ona! – zawołała Helga. Kiedy się do niej zbliżyli, konie się spłoszyły i parły do rowu po drugiej stronie gościńca, wóz zakołysał się silnie i popędził przed siebie owiany obłokiem kurzu. Gdy woźnica wreszcie opanował konie, postać kobieca została daleko w tyle.

– Kto to jest? – spytała Helga.

– Ach, to jest „Marja Polewaczka” – odrzekł rumiany Jens. On i Helga zdołali się już przyjaźnić i starali się sobie wzajemnie deptać po nogach.

– A kto jest „Marja Polewaczka”? – zapytała pani Berg.

– To jest jedna pomyłona; nosi zawsze na plecach konewkę i grabie.

– Tak, i ojciec mówi, że ma je na sobie nawet w nocy i... nawet wtedy, kiedy idzie do pewnego miejsca – wybuchnęła mała opalona dziewczyna, o wybitnie zadartym nosku i bardzo piegowata.

Płaskostopy zarządca, jak go nazywała Helga, który dotychczas siedział milczący i tylko spoglądał badawczo swymi mądrymi oczami chłopca, kolejno, to na matkę, to znów na córkę, teraz podjął: „Znałem „Marję Polewaczkę” od swych najmłodszych lat; kiedy pasalem bydło na folwarku, była naprawdę śliczną dziewczyną, jak stworzoną do małżeństwa. Nie brakowało też konkurentów, pomimo to, że właściwie nic nie posiadała. Ale Marja pokazywała im wszystkim figę, albowiem, jak mówiono, miała pociąg do jednego parobka, służącego u jej ojca. Ale on jej nie chciał, chociaż był tylko prostym parobkiem a ona – córką gospodarza; on znów szatańsko pragnął jednej, która była znacznie starsza od niego, krzywa, i o której ludzie mówili, że lubiła pociągnąć z butelki. On zaś był jednym z najładniejszych parobczaków, jakich kiedykolwiek widziałem. Ale tak się nieraz dziwacznie składa, że wszyscy się mijają, a kto jest ostatni w szeregu ten pozostaje samotny.

Marja była tak pewna swego, co do Lauridsa, że zaraz zaczęła sobie tkać wyprawę, zdawało się, że nic ją to nie obchodzi, iż on nie chce, i spokojnie tkała dalej. Rodzice, zadowoleni, że nic z tego nie będzie, pozwolili jej tkać, myśląc, że to się i tak przyda, kiedy zjawi się ten właściwy. Ale ona nie chciała słyszeć o żadnym innym. Kiedy nadszedł dzień wesela Lauridsa, ojciec podszedł do Marji siedzącej przy warsztacie i rzekł: „zaprzestań, Laurids już jest żonaty”. Lecz Marja tylko się roześmiała i tkała dalej. Wtedy zaczęli podejrzewać, że u niej w głowie nie wszystko jest w porządku i zostawili ją w spokoju.

Minęło kilka lat i Laurids ze swoją żoną częściej się bili niż głaskali, co było do przewidzenia, Dzieci nie mieli, on zabawiał się poza domem doprowadzając sprawy do ostateczności i jedynym skutkiem tego małżeństwa było, że żona uczyniła zeń pijaka. Później żona umarła, a gdy Marja dowiedziała się o tym, spróbowała zbliżyć się do Lauridsa, po raz drugi.

I teraz on już chciał. Rodzice, naturalnie, nie dawali pozwolenia, ale Marja powiedziała, że jest w ciąży, i musieli ustąpić. Tak więc wyprawa jednak została zużyta.

Nie przypuszczano, ażeby Marji dobrze się działo. Wymyślał jej i chłostał ją, zdradzał ją również, i to tak, że wiedział o tym cały świat, a czasami i ona też.

Ale ona była zawsze wesoła i szczęśliwa, i kochała swego męża ponad wszelką miarę. Raz, po pijanemu, uderzył ją w głowę; została jej po tym pewna ułomność, ale kochała go niezmiennie dalej. A kiedy umarł w delirium, straciła po prostu rozum. Od tego czasu, chodzi zawsze z konewką i grabiami na ramieniu i, od wczesnego rana do późnego wieczora, nie myśli o niczym innym prócz grobu męża. Ale często nie może sobie przypomnieć, gdzie to jest – to podobno pozostałość po tym uderzeniu w głowę. Wtedy gracuje przydrożne kamienie i polewa je, zamiast mogiły. Wesoła jest jeszcze ciągle, gdyż zawsze śpiewa.

Właśnie przyjechali do wschodniego zbocza, porośłego lasem bukowym i tam się zatrzymali. Zarządca pożegnał się; chciał odwiedzić krewnych, zamieszkałych po drugiej stronie łąk.

Nabrali wielkiego apetytu, i podczas gdy parobcy wyprzęgali i zajmowali się końmi, dziewczęta wyładowały kobiałki z jadłem i poszły naprzód, ażeby wyszukać odpowiednie miejsce na obozowisko. Droga opuszczała się stromo w dół, po jednej stronie mając głębokie urwisko, i w formie wąwozu zapuszczała się w ciemność lasu – wjeżdżać tam młodymi końmi było niebezpiecznie. Las ciągnął się, niby długa smuga pod szerokimi, stromymi wzgórzami, tworząc łagodne przejście od wyżej położonych pól ku niskim łąkom.

Szli ścieżką, biegnącą brzegiem lasu. Miękka trawa była wilgotna, tu i ówdzie zroszona przezroczystym ponikiem, wyciekającym z niezliczonych źródełek, które tryskały ze zboczy. Tutaj było cudownie chłodno i tak cicho, że w pierwszej chwili ta cisza kładła się na piersi tego, kto przybywał z zewnątrz, i działała przytłaczająco; tylko od czasu do czasu rozbrzmiewał jakiś ptasi głos, harmonizujący zresztą doskonale z nastrojem lasu.

Wszędzie było zbyt wilgotno na siedzenie, skierowały się zatem ku łąkom. Tutaj las stawał się coraz niższy aż przechodził w zupełnie niskie zarośla. Na jednej z wielu kwiatnych polanek, które zarośla tworzyły na skraju lasu, rozłożyły się pod wielkim klonem.

Mała, piegowata dziewczyna z zadartym noskiem – na imię było jej Metta – wzięła się do nakrywania. Pani Berg i Helga chciały jej pomóc, ale wyglądało na to, że woli wszystko zrobić sama, a gdy jej pomimo to pomagały, – nie mogły jej dogodzić. Pochodziła z osiedla leżącego wśród torfowisk, to też postać jej nosiła już piętno ciężkiej pracy, aczkolwiek nie miała jeszcze szesnastu lat. Krzywe łokcie były takie spiczaste, że groziły przedziurawieniem rękawów sukni, twarde, niekobiecy zarys bioder i ramion, surowe i brzydkie ruchy – wszystko to nasuwało myśl o ciężkiej pracy.

Karen Petersen usiadła w cieniu pod krzakiem i złożywszy ręce na kolanach, patrzyła przed siebie, rozmarzonym wzrokiem. Pani Berg przechadzała się tam i z powrotem, tu i ówdzie obrywając listek i spoglądając na nią ukradkiem, z wyrazem żywego zaciekawienia. Wyraz ten zresztą nie opuszczał jej przez cały czas wycieczki. W dziewczynie było coś, co ją zajmowało. Wreszcie nie mogła dłużej wytrzymać, podeszła do niej i usiadła na trawie obok Karen.

– Czy stało się coś nie po myśli pani? — spytała współczująco.

Karen uniosła ciężkie powieki i uśmiechając się potrząsnęła głową.

– Uważam, że pani ma taką smutną minę!... Czy tu nie jest pięknie? Krzaki mają tak gęste liście, że pragnęłoby się w nie wtulić – naprawdę przypominają miękkie pierzyny. – Chociaż pani Berg nie zdawała sobie sprawy z tego, to raczej miękki, swobodny sposób leżenia Karen niż miękki zarys krzaków nasuwał myśl o łóżku i pierzynie. Karen znów spojrzała na nią, nie odpowiadając.

– Prawda? – wymówiła wreszcie pani Berg niecierpliwie.

– Oczywiście.

Pani Berg straciła pewność siebie. Krótkie odpowiedzi mogły wskazywać na to, że dziewczyna uważa, iż jej się naprzykrza. Jednakże w zachowaniu się jej nie było nic odstręczającego, a ociężałe, marzycielskie spojrzenie spoczywało na pani Berg z całym oddaniem, w chwilach kiedy odrywało się od ziemi. – „Co to być może? – myślała – czy oszczędność słów?” Trudno jej było w to uwierzyć; nie знаła z doświadczenia ani jednej kobiety, która by skąpiła słów. Ale dziewczyna mogła być w złym humorze, pomimo to, że temu zaprzeczała.

Pani Berg postanowiła sobie ją rozweselić i opowiedziała jej kilka zabawnych, drobnych faktów z życia towarzyskiego stolicy. Bawiło to Karen; ale nie uczyniło ją wymowniejszą; jednakże, pomalutką, udało się pani Berg wyciągnąć od niej jej historię, głównie przy pomocy pytań i krótkich odpowiedzi – jak się zdarzyło. Wypływało z tego, że była zaręczona z synem zamożnego gospodarza z drugiej strony torfowiska. Ale jego rodzice mieli dla chłopca szerokie plany i przeciwstawiali się temu związkowi, chociaż Karen była dobrą partią. Wbili sobie w głowę, że syn musi ożenić się z córką pastora.

Pani Berg zgadła, że tutaj właśnie leży powód jej smutku i jednocześnie spostrzegła, jak jej pytania rzucały na dziewczynę cień ciężkiej troski. Żałowała, że poruszyła ten temat i próbowała znów wszystko naprawić.

– Ale on pani sprzyja? To szczęście być tak kochaną – rzekła tonem podziwu. – To pewnie i pani go bardzo kocha?

– Tak. – Dwie wielkie łzy zawisły na ślicznych rzęsach Karen.

Pani Berg objęła ją ramieniem. – Wszystko będzie dobrze; rodzice nie ośmielą się doprowadzić do ostateczności. On jest pewnie piękny i silny? Jak właściwie wygląda?

Udało jej się doprowadzić Karen do tego, że go opisała, a nawet bardzo się przy tym ożywiła. Ale nagle od strony drogi rozległy się męskie głosy, dziewczyna zmieszana się i przestała mówić. Pani Berg zdawało się nawet, że zaczęła lekko drżeć.

Byli to chłopcy, wracający od koni, zabrano się więc do jedzenia.

Po śniadaniu, rozdzielono się na grupy – męską i żeńską – ażeby wykapać się w różnych miejscach rzeki. Kobiety wybrały miejsce w rzece, gdzie woda przez ciągłe podmywanie gruntu wydrążyła głęboką zatokę, i rozebrały się pod krzakami olszyny. Mała Metta, z osiedla nad torfowiskiem, nie chciała wejść do wody, twierdząc, ku wielkiemu rozbawieniu pani Berg i Helgi, że kąpiele są niezdrowe. Z wielką energią podtrzymywała swoje stanowisko. Wobec tego, polecono jej stać na straży i pilnować rzeczy.

Karen Petersen wstydziała się, siedziała więc skurczona, zakrywając się koszulą, do chwili, kiedy inne się oddaliły; wtedy odważyła się nieśmiało wejść do wody, ale rumieniec oblał jej nawet szyję i plecy. – Jak ta dziewczyna jest pięknie zbudowana! – krzyknęła pani Berg.

– Zachowuje się pani jak Zuzanna w kąpieli, niechże się pani zbliży; nawet na królewskim dworze mogłaby się pani pokazać – przywołała Karen i brodząc, poszła jej naprzeciw. Ujęła ją za rękę i pociągnęła za sobą.

Matka i córka pluskały rozbawione; próbowały pływać, popychały się wzajemnie, krzyczały i prześcigały w swawoli. Lśniące w słońcu kręgi wodne opływały ich białe ciała i błyszczące, drobne fale płały wkoło nich przekornie rozchodząc się na wszystkie strony, coraz bardziej i bardziej, aż cała powierzchnia wody, kołysała się i skrzyła w słońcu. Pani Berg i Helga opryskiwały również Karen, ażeby wciągnąć ją w tę zabawę, jednakże dziewczyna stała bez ruchu, nie reagując.

– No, teraz wychodzimy! – rzekła pani Berg zasapana. – Ale proszę posłuchać, Karen, nie powinna pani wiązać tak mocno swoich spódnic! Ma pani czerwone pręgi na ciele, to okropność! Niech spódnice opierają się na biodrach. Ma pani tak wspaniałe, szerokie biodra. Proszę pozwolić sobie pomóc. – I poprowadziła ją ku jej rzeczom.

Kiedy wróciły do obozowiska, znalazły już tam chłopców, wylegających się w trawie na grzbiecie, z czapkami nasuniętymi na oczy. Widocznie przygotowali się do poobiedniej drzemki.

– Gdy się jedzie na wycieczkę, to się nie śpi, załatwia się to w dzień powszedni. Teraz będziemy się bawić! Wszyscy na nogi! – zawołała pani Berg i klasnęła w dłonie. Parobczaki powstawali, jeden po drugim, z pewnym ociąganiem.

Było już późne popołudnie, i nie tak gorąco, postanowiono więc się bawić. Różne gry proponowano i wszystkie odrzucano, to z tego to z innego powodu; ostatecznie zdecydowano się na „Raz, dwa, trzy – ostatnia para przebiega”... Ale kto będzie „berkiem”?... Kto zechce? – Ja – odpowiedziała pani Berg i stanęła z dala na murawie.

Wkrótce wesoło biegano i łączono się w pary. Brat Karen, Jens zbliżył się do Helgi, ale uprzedził go syn właściciela folwarku; ze złości chłopiec wziął własną siostrę. Mała Metta upolowała sobie Piotra Hermansena, praktycznego chłopaczka, który wszystko przeliczał na pieniądze; był on kuzynem Aage. Ostatnią parę tworzyli dwaj nieśmiali młodzieńcy, synowie karczmarza. Nazywano ich „bliźniakami” i byli jednego wzrostu, pomimo roku różnicy.

– Raz, dwa, trzy! ostatnia para przybiega – zawołała pani Berg i klasnęła w dłonie. Bliźniaki miały długie nogi i pani Berg pozostała nadal „berkiem”.

–Raz, dwa, trzy... – tym razem obejrzała się – Nie, mam, to jest oszukaństwo – powiedziała Helga i przytrzymała ją mocno za suknię. Piotr i Metta przebiegli pędem po obu jej stronach; Metta biegła kolanami i łokciami, wyglądało, jak gdyby toczyła się po trawie, towarzyszył jej szelest licznych spódnic i lekki odór obory. Pani Berg nie gonila jej, zagniewana, że Helga ją zatrzymała. Tamta para jednak biegła dalej i przy zaroślach padła sobie w ramiona. Znowu rozległy się oklaski.

– Raz, dwa, trzy, ostatnia para! – była to Karen ze swym bratem, Karen biegła ociężale i niechętnie, z chwilowymi przestankami. Pani Berg mogłaby ją łatwo schwytać, miała jednak ochotę pomęczyć ją trochę i trochę się z nią przekomarzać. Irytowało ją, że ruchy Karen w biegu są tak mało młodzieńcze i doznawała pewnej przyjemności przyglądając się temu; czyniła to albo z kobiecej zazdrości, albo – co sobie sama wmawiała – ażeby ją wychować i nauczyć się ruszać. Jens wyprzedził siostrę i biegł jej naprzeciw z drugiej strony, zataczając wielki łuk; odrzucił głowę w tył i tupał mocno o ziemię, jak młody ogier. Kiedy chciał podbiec do siostry, pani Berg puściła się z całych sił im naprzeciw i lekko uderzyła go po ramieniu. W ten sposób przyszła kolej na Karen.

– Nigdy nikogo nie schwyta, jeżeli się trochę nie wysili – pomyślała pani Berg i śmiała się do siebie, że ją wciągnęła do walki.

– Raz, dwa... – Karen już biegła, zanim to wymówiła.

Tym razem biegł Aage i Helga, Pani Berg obserwowała ich, ażeby zobaczyć czy wytrzymają, prawie oczekiwała, że Aage pozwoli się schwytać. Ale Karen dalej pozostała „berkiem”.

Za drugim razem nie poszło jej lepiej, poczym rzuciła się w trawę i nie chciała więcej biegać. Brat ofiarował się ją zastąpić. Ale i jemu się nie powiodło; bliźniacy mu uciekli, Metta i Peter także. Musiał znosić różne docinki, zwłaszcza od pani Berg, która była rozczarowana.

Znów przyszła kolej na Helgę i Aage. Jens stał na czatach, spoglądając przez ramię. Z odgłosu kroków mógł miarkować, z której strony biegła Helga, zanim para pojawiła się na widowni – okazało się, że naprawdę zmienili miejsca. Jens nie śpieszył się nadmiernie, bacząc tylko by stale znajdować się między nimi; ale Aage wziął duże tempo, tak, że Jens musiał się wysilać. Cała trójka biegła w jednej linii, zbliżając się coraz bardziej do siebie, Jens kilkakrotnie mógł być schwytać Helgę, nie uczynił tego jednak i mimo woli doszło do walki między nim a Hermansenem. Nareszcie znaleźli się nad rowem, za którym ciągnęły się zarośla i Helga została odcięta od Aage. Jednakże jednym skokiem przesadził rów i wpadł w zarośla. Cokolwiek dalej zrobił to samo Jens – Helga stanęła i oglądała się zdziwiona; nie rozumiała tego biegu – odbywał się wbrew wszelkim prawidłom gry. Słyszało się w zaroślach trzask i szelest. Potem, cały kawał dalej, wyłonił się Aage; liczył na to, że Helga pobiegnie dalej. Biegł ku niej, dając znaki. „Biegnij, śpiesz się!” – wołali inni i Helga pomknęła mu naprze-

ciw, brzegiem rowu. Ale w chwili, gdy prawie już się zetknęli, Jens wypadł w długim skoku z zarośli, objął obiema rękami kibić Helgi i pocałował ją. Dopiero po uciesze innych zorientował się co uczynił; zmieszał się i zaczął biec. Galopował po murawie wkoło, niby koń cyrkowy, coraz gwałtowniej i gwałtowniej, wierzgał nogami, rżał i tupał. A im bardziej jego błazeństwa bawiły patrzących, tym bardziej się rozzuchwalał. Nagle rzucił się na trawę, zarył twarz w ziemię i uspokoił się.

Słońce zbliżało się do widnokregu i wszyscy zgadzali się na to, że należy zakończyć zabawę i rozejrzeć się wokoło, podczas gdy Metta zajmie się kolacją. Pani Berg i Helga poszły na przechadzkę skrajem lasu, ale wkrótce powróciły, a stopniowo wracali i inni. Brak było jeszcze tylko Karen i Aage Hennansena. Jens chciał udać się na poszukiwanie siostry. – Nie, zostaw! – powiedziała pani Berg i zaczęto jeść. Po upływie krótkiego czasu pojawiła się Karen; szła wolno, ze spuszczonej oczami, obrywając po drodze liście. Osunęła się na trawę obok pani Berg, Wkrótce potem nadszedł Aage. Był przy koniach; jeden się zerwał i tylko z wielkim trudem udało mu się go schwytać. Pani Berg obserwowała go; oczy mu świeciły, gdy mówił, i zdawało jej się, że mają głębszy wyraz niż zazwyczaj.

Wszyscy byli śmiertelnie zmęczeni i mieli tylko jedno pragnienie; wrócić do domu. Po kolacji skierowano się zaraz w stronę wozu. W pobliżu stał długi szewski chłopak; skoro tylko spostrzegł towarzystwo, zaraz wymknął się na gościniec.

– Historia o powieszeniu nie była kłamstwem, można łatwo dostrzec, że szyja mu się znacznie wydłużyła – rzekł Aage Hermansen, śmiejąc się i wskazując nań biczyskiem.

– Biedny chłopak! – powiedziała pani Berg – co go popchnęło do takiego czynu? Na pewno za dużo pracuje.

– Próbował to zrobić już dawniej – rzekł jeden z bliźniąt – wtedy chodziliśmy jeszcze do szkoły. Nie uczył się dobrze i nauczyciel walił go bez ustanku. Pewnego dnia spytał, czy może wyjść – i powiesił się w suszarni. Na to przyszła dziewczka i odcięła go, wtedy dostał za to od nauczyciela porządne cięgi.

Gdy ujechali kawałek, dogonili go. Stał na brzegu drogi i patrzył na nich błagalnie. Aage Hermansen zaciął konie. – Ach, niech pan pozwoli mi wsiąść – poprosiła pani Berg. Odparł, że to grzech w stosunku do koni, ale zatrzymał się i wyrostek wgramolił się na wóz. Pani Berg i Helga były jedyne, które z nim rozmawiały; wypytywały go, gdzie był, a tymczasem Helga przyglądała się ciekawie, czy nie dojrzy na jego szyi czerwonej pręgi. Ale z jego zammatowanych odpowiedzi trudno było czegoś się dowiedzieć. Wyglądało prawie na to, że wyszedł im naprzeciw. Dawało się to wywnioskować głównie z tego, że jazda z nimi sprawiała mu taką przyjemność; siedział, przez cały czas szczerząc zęby i patrząc, to na matkę to na córkę, wzrokiem wdzięcznego psa.

– To jakiś straszny dziwak – rzekła Helga, kiedy znalazły się już w swojej sypialni.

– Sądzisz, że on naprawdę uczynił tę długą drogę dla nas?

– Tak, na to wygląda. Może nowy wielbiciel; nie można się niczego zarzekać.

– Fe, wstydź się! Mnie jest wprost przykro.

– Nie jestem wcale pewna, czy on nie odczuwa małej słabości dla ciebie, moje dziecko. A może być wcale nie gorszym od wielu innych; a ja przysięgam, że kamieni nie będę kładła na drogę.

– Daj mi spokój z takim przekomarzaniem się, mamó. Myślisz, że jutro będzie pogoda?

– Zrobię co będę mogła... ale dlaczego o to pytasz?

– Ach, jutro zaczynają żniwa u Karen Petersen i... – Helga zasnęła nie kończąc zdania.

IX.

Jörgen Rag, terminator szewski, nie uchodził za mędrca, i nim też nie był. Był ufny i dawał się łatwo zwieść i od dzieciństwa cała wieś stroiła z niego żarty. Po większej części, nie zdawał sobie sprawy z tego, że go nabierano, ale nawet gdy to spostrzegł, zachowywał się tak, jak gdyby nic nie zaszło. Dzięki takim stosunkom, osiągnął wprawę w udawaniu i posiadał pewną zręczność w przedrzeźnianiu własnej głupoty, co miało ten skutek, że uważano go za zupełnego idiotę i odnoszono się doń ze współczuciem.

Był, jak to się mówi, dzieckiem miłości, Matka była ograniczoną kobietą, która ani chciała, ani potrafiła zarobić na chleb codzienny i dlatego w ciągu długich lat mieszkała w przytułku parafialnym. Tam zaszła w ciążę, od pewnego włóczęgi, który spędził w przytułku jedną czy dwie noce. Takich dzieci mieszkank przytułku było w parafii więcej, wobec tego, że zwłaszcza przy starym proboszczu, nie przestrzegano surowo tego, żeby mężczy i żeńscy pensjonariusze byli rozdzieleni.

W przytułku Jörgen był dla wszystkich popychadłem i dostawał częściej cięgi niż stawę, dlatego był też taki długi i chudy. Zaś ciągle kułaki i szturchańce, otrzymywane od najwczesniejszego dzieciństwa, uczyniły go jeszcze więcej nieśmiałym i lęklwym niż nim był z natury.

Po confirmacji wstąpił na naukę do szewca, na czas nieograniczony. Nie był ani pilny, ani żądny wiedzy, ale pewna ambicja, której nie odpowiadało zupełnie jego skromne uzdolnienie, była dla niego bodźcem i pobudzała do pracy.

Na razie, celem jego życia było zostać czeladnikiem. Już szósty rok pracował w tym zawodzie, ale teraz to już nie potrwa długo. Majster powtarzał to prawie codziennie, kiedy była robota, nad którą chłopak siadywał do północy. Wtedy kładł rękę na ramieniu wyrostka, tak że temu serce tajało, i mówił: „To dzielnie Jörgenie, to wyśmienicie; możemy wkrótce zacząć dawać ci coś nowego”. I pewnego pięknego dnia to zaniedbywanie go skończy się, gdyż zostanie czeladnikiem, a czeladnik zawsze znajdował uznanie.

Na tym punkcie koncentrowała się ambicja Jörgensa – pragnął mieć uznanie. Nie w ogóle – tak daleko marzenia jego nie sięgały – ale uznanie dziewcząt. Miał obecnie dwadzieścia lat i jego myśli i życzenia skierowane były ku dziewczętom; ale gdy pewnego sobotniego wieczoru okradł sam siebie o tę odrobinę snu i wymknął się na plac przed kościołem, ażeby wziąć udział w tańcach, dziewczuchy tylko chichotały i odsuwały się od niego. Był tylko terminatorem i nie mógł ich zaprosić do karczmy na wiśniak, jak parobczaki – nie miał przecież pieniędzy. Gdy tymczasem czeladnik zarabiał tyle, wiele chciał, nawet trzy, cztery marki tygodniowo bez strawy, a w miastach jeszcze więcej. Wtedy już bieda nie będzie mu kuchmistrem.

Pragnął mieć szeroką rękę, jak to widział u wojażerów, którzy majstrowi sprzedawali skóry. Wówczas miał zamiar brać dwumarkową monetę, rzucać ją na stół i udawać, że wcale nie wie, iż to jest dwumarkówka. I nie zamierzał obliczać się przy odbieraniu reszty, lecz po prostu, zgarnąć pieniądze do kieszeni. Wówczas dziewczki otworzyłyby wielkie oczy i przestałyby się tak cenić.

Ale wtedy nie myślałby wcale o dziewczkach, w każdym razie nie poważnie. Syn właściciela folwarku, ten, to potrafił; zawsze patrzył poprzez głowy dziewczek, a pomimo to pełzały przed nim w prochu. Dobrze im tak, tym zarozumiałym stworzeniom. Taka dziewczyna, która nic nie posiadała, była wystarczająco dobra dla parobka, ale nie dla wykwalifikowanego rzemieślnika. Czy jego własny majster nie zalecał się do bogatej wdowy po gospodarzu? A tam, na północ od torfowiska, organista musiał wysłać swą córkę z domu, bo wpuściła przez okno

zwyczajnego parobka! Fantazja Jörgensa unosiła go coraz bardziej w miarę, jak zbliżało się urzeczywistnienie jego wielkiego planu, aż wreszcie widział się już w duchu ożenionym z córką gospodarza lub organisty. Którą należało wybrać? – pozostało nierozstrzygnięte.

Podczas gdy siedział tam, na górze pogrążony po uszy w smole i szuwaksie i często osaczony natarczywymi marzeniami, śledził od rana do wieczora codzienne życie panny Helgi. Słyszał, jak otwierała okno sypialni, położone za obrosłym winem gankiem i wiedział, że teraz wstała; widział, jak, śpiewając i rozmawiając chodziła po pokoju, wiedział kiedy matka i córka były pokłócone, kiedy wychodziły i kiedy jadły, – ze swej wysokiej wartowni śledził ich wszystkie życiowe przyzwyczajenia.

Dzień po dniu nie widywał nikogo z okna swego więzienia, i widok tych dwóch kobiet działał nań osobliwie. Odnosiło się to szczególnie do panny Helgi.

Jeżeli od wczesnego rana czekał na tę chwilę, kiedy okno się otworzy – często przez długie godziny – i słyszał wreszcie jej wesoly, dźwięczny głos, wtedy krew spływała mu do serca, ażeby w następnym momencie jeszcze gwałtowniej opłynąć. Żyły na jego chudych rękach nabrzmiewały, a szyja tak pęczniała, że musiał rozpinać koszulę, ażeby się nie udusić. A gdy spostrzegał ją rano po raz pierwszy, robiło mu się tak ciemno przed oczami, że nie był w stanie wbić jednego kołka, ani wykonać ani jednego równego obróbka. Mimo woli, trzymał się mocno stołu i siedział spokojnie z zamkniętymi oczami, zaś w jego biednym mózgu wirowały najdziwniejsze chorobliwe wyobrażenia. Zawsze w grę wchodziły kobiety, a te ataki następowały wtedy zwłaszcza, kiedy siedział dłuższy czas w zamknięciu.

Nie pojmował ani tych ataków, ani ich przyczyny, ale szukał w rozpaczach dróg, ażeby pokonać ferment swej anemicznej krwi. Instynktownie znalazł środek i oniemiał ze zdziwienia. Niespodzianka ta wprowadziła go w szal, skakał po warsztacie i wydawał radosne wycia.

Ale później zrobiło mu się ciężko na sercu.

Siedział cichy i skurczony, starając się przy pomocy usilnej pracy, przezwyciężyć ciężar, który go tłoczył; jedna jedyna myśl zaczęła małą pomalą wyłuskiwać się z bezładu jego ociężałego mózgu; grzech. Pan Bóg widział, a On karał to ciężko – majaczyło mu się coś, jakby kara śmierci. Może zabije go piorun, albo...

Przejęty strachem, skurczył się w sobie i zaczął odmawiać „Ojcze nasz”, znowu i znowu, aż dopóki się nie upewnił, że niebezpieczeństwo zostało usunięte.

Gdy się uspokoił, znów zasiadł nad robotą i spoglądając na śliczną pannę Helgę, oblał się wstydem i spuścił głowę. Chyba mu wyczyta z twarzy, co to on jest za jeden, i gdy patrzył na nią, doznawał niejasnego uczucia, że zgrzeszył przeciwko tej ślicznej, anielsko czystej dziewczynie. Postanowił więc zrobić z niej swego ducha opiekuńczego i myśleć o niej wtedy, kiedy znów go opadnie pokusa. Po tym postanowieniu poczuł się znów wesołym i spokojnym.

Ale przyszedł nowy atak, po którym natychmiast nastąpiło dławiące zniechęcenie, i ataki te zaczęły się powtarzać, w coraz krótszych odstępach czasu. Nic nie pomagała myśl o Heldze – przeciwnie.

Zdawało mu się, że wszyscy mogą mu to wyczytać z twarzy, gdy będzie przechodził przez wieś, i przy tej myśli kolana się pod nim uginały. Znowu szukał ucieczki w „Ojcze nasz” i modlił się rano i wieczorem; w niedzielę chodził do kościoła – czego nigdy nie robił – i postanowił zwierzyć się proboszczowi. Ale kiedy miał udać się w drogę, odwaga go opuściła. Tak samo, kiedy atak się zbliżał, odmawiał „Ojcze nasz”, co na pewien czas pomagało. Lecz jednego dnia żądza schwytała go tuż po modlitwie; po tym fakcie popadł w najczarniejszą rozpacz.

Nawet przy swoim ograniczonym rozumie, uświadomił sobie, że okłamuje sam siebie, stosując wszystkie możliwe fortele ażeby zmniejszyć znaczenie tego czynu. Kiedy mijały spokojnie choćby dwa dni, ten okres czasu wydawał mu się znacznie dłuższy i lękał się, że jest na najlepszej drodze do przewyciężenia tej okropności. I to właśnie było kamieniem, o który potykał się znowu.

Gdy jednak odkrył to samooszukaństwo, postanowił prowadzić w stosunku do siebie ścisłą kontrolę. Na ramie okna porobił, na każdy dzień miesiąca, kreski ołówkiem, a w każdy zły dzień zamieniał te kreski na krzyżyki. To zajęcie pochłaniało go, prawie jak gdyby to była buchalteria, która się nie tyczyła jego. Pozostawił sprawę własnemu biegowi, bacząc pilnie, ażeby żadne oszustwo nie wplątało się do rachunku. I nie czuł skruchy; sama kontrola stanowiła, w pewnej mierze, usprawiedliwienie.

Po upływie miesiąca, obliczenia przejęły go zgrozą. Było tam o wiele więcej krzyżyków niż kresek, niektóre dni posiadały nawet dwa krzyżyki, a jeden – trzy. Zrobiło mu się ciemno przed oczami, wszystko rozprzęgało się pod jego wielką czaszką, poczuł się chory i wyczerpany i nagle doznał uczucia, że nie jest w stanie utrzymać się na nogach. Popadł w stan odrętwienia, które następuje po silnych cielesnych cierpieniach.

Pewnego ranka, kiedy majster leżał w łóżku, myśląc o dobrach bogatej wdowy i swym własnym dobrym interesie, i był całkowicie pochłonięty obliczaniem ich ogólnej wartości, usłyszał, że nad jego głową na poddaszu, coś szeleści. Zaczął nasłuchiwać. Wiedział, że chłopak już kiedyś próbował odebrać sobie życie i, że podobne próby po większej części bywają powtarzane, prawie zawsze w ten sam sposób. Nie mógł ukrywać przed sobą, że chłopiec był źle traktowany, dlatego też gdzieś w głębi jego duszy czaił się stale lekki strach, zwłaszcza, kiedy po ciemku wchodził na strych. Kiedy usłyszał szuranie krzesła a potem łoskot, jak gdyby się coś przewracało, zerwał się, zapalił światło i pobiegł na strych. Przybiegł akurat w porę, ażeby przeciąć naprężony rzemień, zanim chłopak się udusił. Był do głębi wstrząśnięty i poczuł, że w stosunkach chłopca konieczna jest jakaś zmiana. Nakazał mu surowo chodzić co niedzielę do kościoła, bez względu na ilość pracy w warsztacie.

X.

Powitanie ze strony pani Berg i Helgi tego niedzielnego ranka, kiedy jechały do lasu, stanowiło punkt zwrotny w beznadziejnym życiu Jörgena Rags. Było to w kilka dni po jego rozpaczliwej próbie samobójstwa; wstał bardzo wcześnie i pilnie pracował, ażeby skończyć przed pójściem do kościoła, smucąc się myślą, że nawet w niedzielę jest zmuszony wcześniej wstawać.

Od czasu do czasu przejmowała go zgroza na myśl, co go czeka, gdy wyjdzie na wiejską ulicę – pamiętał jeszcze co było ostatnim razem. Przed kościołem będą wszyscy mówić o nim i jego wskazywać, gdy będzie nadchodził. Ale z tego wiele sobie nie robił. Gorszi byli parobcy i dziewczuchy. Ci wyśmiewali go zasypując pytaniami, kiedy się z nimi spotykał, a gdy udawał, że nie słyszy, wtedy zatrzymywali go i wciągali do sieni, ażeby tam grubiańsko się z nim obchodzić. A wyrostki były najgorsze. Mogło im wpaść na myśl rzucać w niego kamieniami, kiedy przechodził; a jeżeli zaczynał biec, gonili go z krzykiem.

Wiedział, do najdrobniejszych szczegółów, jak zostanie przez nich potraktowany; gdy myślał o ich złośliwych figlach, był tym tak poruszony, że wprost nie mógł spokojnie usiedzieć. A gdy doszedł do tego punktu, kiedy chłopaki urządzają nań obławę, mimo woli kurczył nogi i robiło mu się na przemian zimno i gorąco.

O samym swym czynie nie myślał bynajmniej. Półmrok, w którym go popełnił, zasnuwał jeszcze jego umysł, nie przypominał sobie zatem już żadnych szczegółów zajścia. Pozostało mu jedynie jakieś dziwne uczucie wkoło szyi, tam gdzie dotykał jej kołnierz koszuli, oraz rodzaj ucisku gdzieś w głowie, jak gdyby ktoś dotykał mózgu pałką i nieustannie go naciskał. Ten ucisk odczuwał przez całe życie, raz słabiej, to znów mocniej; przeważnie słabiej, ale kiedy Jörgen czuł się wyczerpany, jak obecnie, doznawał wrażenia, jak gdyby ktoś skuwkę laski mocno opierał o jego głowę. Wtedy opuszczały go jego nieliczne myśli i wszystkie pragnienia i czuł, że popada w wielką pustkę.

Nikt nie będzie chciał się z nim zadawać, nawet wtedy, gdyby został czeladnikiem – ani nawet żadna służąca, a cóż dopiero córka gospodarza lub organisty! Czuł to i opanowało go uczucie najczarniejszego osamotnienia.

Wtedy spotkał się z ich miłym powitaniem, które było niby promień słońca, przenikający przez gęste ciemności. Oszołomiło go to całkowicie, jak człowieka nagłe światło błyskawicy – wszystko wirowało mu przed oczami. I wśród tej pełni światła, zdawało mu się, że rozpoznaje, iż nie mogą to być zwykli ludzie, lecz – anioły. Już dawniej słyszał o aniołach, które zstępowały do nieszczęśliwych i opuszczonych.

Skinęły mu głowę, chociaż wiedziały co uczynił i dlaczego; przecież wszyscy wiedzieli. Skinęły mu głowę – stało się to dlań jedynym dźwiękiem, kawałkiem melodii. Prostowało mu plecy, pracował z ochotą i był gotów z robotą, ale nie poszedł do kościoła, lecz powędrował na gościniec – one skinęły mu głowę. Szedł dalej w rozżarzone słońcu, rzucił się do rowu, gryzł trawę, śmiał się i płakał – one skinęły mu głowę. Przez cały czas widział przed sobą dwa oblicza o świeżych barwach, odcinające się na tle błękitnego nieba i białego pyłu drogi – oblicza które uśmiechały się doń przyjaźnie.

Szedł dalej, rzucał się na trawę i znów podnosił bez powodu i celu ale zawsze w tym samym kierunku, aż dopóki nie stanął przy ich wozie. Tam położył się i rozmyślał nad ich pozdrowieniem, przez cały dzień nie myślał o niczym innym, miał bezustannie przed oczyma ten ich ukłon i uśmiech.

A jeszcze ich uprzejmość na drodze powrotnej – było dosyć uciechy na wiele dni. Wszakże szczęście uczyniło go wymagającym, i teraz kiedy spacerowały po ogrodzie lub udawały

się na żniwa, a zapomniały czasem spojrzeć w górę – poruszał nieco swymi narzędziami, dopóki nie spojrzały i nie skinęły doń.

Najczęściej kłaniała mu się panna Helga, a może najwięcej uwagi zwracała na jej ukłon. W dzień i w nocy unosiła się w jego wyobraźni, a jego ograniczony mózg pracował. Ukochaną majstra była bogata wdowa po gospodarzu! A córka organisty, na północ od torfowiska wpuściła do siebie przez okno prostego parobka! A on sam będzie wkrótce czeladnikiem, majster mówił przecież o tym często „Jörgenie, to świetnie – mówił – wkrótce możemy zacząć szyc coś nowego”. Dlaczego panna Helga pozdrawiała go zawsze? Dlaczego właściwie? Po prostu go kochała.

Myśl ta wkrótce stała się dla niego pewnikiem i wydała mu się tak naturalna, że zrzucił do ogrodu różne drobnostki, które przeznaczył dla panny Helgi – grzebień, znaleziony na gościńcu, małe blaszane pudełeczko, kupione za 25 groszy, a zostawione kiedyś przez majstra na ladzie. Były to jedyne pieniądze, jakich Jörgen był posiadaczem, od wielu lat; wydanie ich wymagało więc dużej ofiary.

Myśli jego przybierały najfantastyczniejszy obrót, wyobrażał ją sobie w niebezpieczeństwie i przeleżał raz całą noc pod gankiem, przed jej drzwiami, chociaż zwykle nawet mysz wzbudzała w nim strach. Było to chłodnej nocy jesiennej. Czasami chwycił go strach, że ona nie jest pewna wzajemności i cierpi z tego powodu. Wtedy z zapalem kiwał jej głową, ona odpowiadała, i znów czuł się uspokojony. Myślał też o tym, ażeby zaproponować jej i matce, że w tajemnicy zreperuje jej obuwie skórą należącą do majstra; mogły by w ten sposób zaoszczędzić pieniądze.

Pewność, że jest wybrańcem krzepiła jego samopoczucie. I to, czego nie mogła dokonać modlitwa, strach i kontrola, tego dokonało jego nowe uczucie. Miłość dodała mu takiej pewności siebie, że zdołał zwalczyć swe ataki i mógł sobie powiedzieć pewnego dnia, że wytrzymał prawie trzy miesiące.

Tego dnia powziął wielkie postanowienie starania się o Helgę.

Wchodziło tu w grę jeszcze i inne uczucie. Zbliżało się Boże Narodzenie i im stawało się zimniej, tym rzadziej widywał Helgę. W ogrodzie nie przebywała już prawie wcale, musiał więc zadawałać się krótkimi momentami, kiedy widział gdy wychodziła wraz z matką. Dlatego też było mu coraz ciężiej utrzymać wiarę w siebie i czasami opanowywał go nieokreślony strach przed utratą Helgi.

Tego wieczoru stał przed furtką „Klatki szpaków”. Był umyty i uczesany, wystrojony w swój konfirmacyjny garnitur, który wprawdzie był przykrótki, jeżeli chodziło o nogawki i rękawy, poza tym jednak trzymał się dobrze. Poza spuszczone roletami paliło się światło i dochodził stamtąd śmiech Helgi. Skoro jednak zapukał do drzwi i stanął w oczekującej postawie, odwaga go odstała i gdy usłyszał zbliżające się kroki, wślizgnął się za krzak w ogrodzie. Drzwi zostały otwarte „To dziwne” – usłyszał słowa pani Berg i drzwi się zamknęły. Wtedy zakradł się na górę i wsunął do łóżka.

W pierwszym dniu Bożego Narodzenia udał się do pewnego mądrego wyrobnika, który umiał czytać, pisać, a także znał się na czarach, i wspólnymi siłami ułożyli list starającego się.

Kochana przyjaciółko!
Przyjemnie jest wędrować razem
Tym, których miłość złączyła na wieki.
Jeżeli kochasz mnie,
Ja także kocham cię,
I nie rozłączy nas nic,
Nawet śmierć, gdy nam zamknie powieki.

Nie biorę Cię jednak dla Twych pieniędzy, gdyż będę wkrótce czeladnikiem i będę miał swój dobry dochód. I nie powinnaś sobie nic z tego robić, że Jens Petersen odszedł, on ma dopiero siedemnaście lat, a ja mam dwadzieścia.

Więc wesoły domek sobie zbudujemy,
Będziemy zeń wychodzić i wchodzić będziemy
Twój głęboko ukochany
Jörgen Rag.

XI.

W pierwszy dzień Bożego Narodzenia pani Berg odwiedziła chaty wyrobników, przynosząc dzieciom paczki ze słodyczami. Helga skończyła swe ranne zajęcia i włączyła się po pokojach; nudziła się, jak zwykle wtedy, gdy matka wychodziła z domu.

Myślała o Jensie, bracie Karen Petersen, i rysy jej powlókł cień, którego tam dawniej nie było. Przez całą jesień, dzień w dzień byli razem, a ona pomagała mu w pracy. Zaś późną jesienią, kiedy już nie miał nic do roboty, przyszedł do „Klatki szpaków” i pomagał im doprowadzić ogród do porządku. Ale w listopadzie, rodzice wysłali go nagle na sąsiednie wyspy, do wyższej szkoły, jak to nazywali. Ludzie mówili, że „chodzą ze sobą”, ale nic sobie z tego nie robiła, bo go lubiła. Był dobrym towarzyszem, przepędzili ze sobą miłe chwile, a teraz odczuwa jego nieobecność.

Jak zwykle, gdy go wspominała, była poważnie nastrojona, i odczuwała potrzebę przytulenia policzka do poduszki i zamknięcia oczu, aby myśleć o nim w skupieniu. W ten sposób mogła go sobie najlepiej odtworzyć.

Na podłodze w sypialni leżał złożony list – widocznie został wrzucony przez okno. Podniosła go i obejrzała. Był bardzo brudny i zaklejony smołą. Zaadresowany był: „Do panienki”. Otworzyła go i czytała; stała chwilę w milczeniu patrząc przed siebie, nieruchomo, wreszcie zaczęła płakać. Rzuciła się w bawialni na sofę i łkała, ukrywając twarz w poduszkach, potem zesunęła się z kanapy na dywan pod stołem, i leżała tam, skurczona, z poduszką w ramionach, płacząc ciągle.

Zapukano, ale nie zwróciła na to uwagi. Zapukano jeszcze raz i wszedł wysoki, krzepki młodzieniec o pełnej wygolonej twarzy aktora i gestych, wijących się włosach. Przeszedł pierwszy pokój, rozglądając się z zaciekawieniem, trwało chwilę, zanim spostrzegł młodą dziewczynę, która na wpół się podniosła i przypatrywała mu się rozszerzonymi źrenicami, wilgotnymi od łez. Kiedy ją wreszcie zauważył, skłonił się głęboko, zmieszany, przeprosił ją i dyskretnie się wycofał.

Helga, wyłoniła się z pod stołu i śledziła go z ciekawością. Przed furtką, spotkał panią Berg, przywitał się, zamienił kilka słów i razem weszli do domu; Helga szybko pobiegła do sypialni i obmyła sobie oczy. Gdy wróciła, matka z nieznanym, siedziała w bawialni rozmawiając o podróży z Kopenhagi, która według zdania gospodyni była bardzo uciążliwa, mianowicie – w części przez Jutlandię, gdzie nie było kolei.

Pani Berg przedstawiła: pan Halvor Purgsenius, uczonec?... – i spojrzała nań przy tym ostatnim słowie. Uczynił skromny gest, oznaczający, że nie wypada mu nadawać sobie samemu tego tytułu. Helga podała mu rękę, nie patrząc nań – wstydziła się swego poprzedniego zachowania.

– Tak, łaskawa pani – ciągnął dalej – przyznaję, że ten rodzaj podróży jest cokolwiek męczący, ale pani ze swej strony musi mi przyznać, że jest on idylliczny. Cała poezja duńskich wysp ginie, kiedy się przez nie pędzi pociągiem. Żelazo, ten wspaniały symbol naszej bezwzględnej, wyzutej z poezji epoki, ogranicza nas, i niezmordowany pęd tamuje człowiekowi oddech; oddycha się i odnajduje siebie znowu dopiero tutaj, na wsi, gdzie się wsiada w dylżans zaprzężony w silne konie, jadąc od jednego postoju do drugiego. Zmienia się konie, bicz trzaska, i znów rusza się dalej; albo zamawia się pokój, ogryza się kości kurczaka, śpi się w górach pierzyn, skąd wyłuskuje nas z rana wiejska dziewczyna o rumianych policzkach Czy to nie tak, jak gdyby się było przeniesionym w dobre, stare czasy? Wiele romantyzmu tkwi w trąbce pocztowej w porównaniu z parową syreną.

Mówiąc, czynił szerokie gesty rękami, przy czym przyglądał się uważnie obu kobietom, gotów przerwać swe wywody przy ich pierwszym słowie. Głos miał miękki i dźwięczny o nieco krasomówczym zabarwieniu; całej postaci dodawało wdzięku lekkie tchnienie nieśmiałości.

Po dłuższej chwili, zaczął zabierać się do odejścia.

– Raz jeszcze proszę o wybaczenie za moje natręctwo. Przykro mi było dowiedzieć się w drodze tutaj, że najlepszy przyjaciel mego ojca już nie żyje. Cieszyłem się bardzo, że go poznam – i, mówiąc otwarcie, obiecywałem sobie z jego strony pomoc w zamierzonym przeze mnie zbadaniu tutejszych ksiąg kościelnych. Ojciec opowiadał mi tak wiele o staruszku, a według zeznań pocztyliona, musiał być z niego całkiem osobliwy egzemplarz duszpasterza. Jestem wdzięczny pani, że mi pozwoliła obejrzeć miejsce, w którym zakończył życie. Mój ojciec dowie się z zaciekawieniem jak tu stary proboszcz przemieszkował. „Zacisze” – tak zwał się ten zakątek, jak pani powiedziała? Piękne ognisko domowe dla zmęczonego wojownika, bojownika w Panu, który opuścił swój miecz. Pięknie dziękuję i nie śmiem dłużej panią absorbować; muszę wrócić do zajazdu i doprowadzić moje rzeczy do porządku. A propos zajazdu! Muszę pani uczynić zwierzenie: pobyt w zajeździe istotnie nie jest wygodny dla kogoś, kto przyzwyczajony jest do zacisznych czterech ścian. Trzeba uznać brak za cnotę, lub też życie w zajeździe uważać za jedną z tych złych stron, które są przyrodzone każdej rzeczy, nawet najlepszej na tym niedoskonałym świecie, a więc również i – romantyce.

Pożegnał się. Obie kobiety nie miałyby nic przeciwko temu, ażeby rozmowę kontynuować, ale jakoś nie wypadało zatrzymywać go. We drzwiach już pani Berg powzięła pewną myśl. – Czy nie miałby pan ochoty zamienić kiedyś szkieletu kury na szkielet gęsi? Mogłybyśmy wtedy jednocześnie dowiedzieć się, co słychać w stolicy. Ale jesteśmy wieśniaczkami, jadamy o pierwszej. – Pan Purgsenius przyjął zaproszenie z wdzięcznością.

Po jego odejściu, Helga dostała nagle nowego ataku płaczu i na pełne zdziwienia pytania matki, pokazała jej list. Pani Berg roześmiała się głośno z jego zabawnej treści; ale kiedy spostrzegła, że Helga traktuje to poważnie, sama spoważniała i próbowała ją pocieszyć. – Boże Wielki, czy to warto tak się tym przejmować? Ja też otrzymałam oświadczenia i to wtedy, kiedy bujałam między niebem a ziemią. Łatwo zgadniesz kto to był — Aage Hermansen, kiedyśmy zwozili zboże. Chciał mnie zdjąć z wozu, ale zamiast mnie postawić na ziemi, zatrzymał w ramionach i spytał, czy nie pragnęłabym być tak noszoną przez całe życie. Głupiec! Ale ja wskazałam tylko ręką dziewczynę, wiesz, tę, która musiała od nich odejść, i spytałam dlaczego ma taki ociężały chód. Grabiła właśnie na ściernisku. Wtedy zmieszany, puścił mnie. Jeszcze chyba na wyścigi będziemy ubiegały się o nasze szczęście.

Pani Berg siedziała na kanapie obok córki, gładząc jej policzek i obrzucając macierzyńskim, stroskanym spojrzeniem. Ale wśród pocieszeń wybuchnęła znowu śmiechem; obraz szewczyka, starającego się o jej córkę, wydał jej się niezwykle komiczny. Ostatecznie, Helga musiała przyłączyć się do tego śmiechu, i wkrótce siedziały obok siebie zadowolone i wyobrażały sobie, co by to było, gdyby jedna dostała Hermansena, a druga szewskiego chłopca.

Pani Berg była przekonana, że te konkury są żartem, i że za tym kryje się ktoś inny. Obydwie zgodziły się kontynuować tę zabawę. Następnego wieczoru, zamierzały urządzić małe zebranie i zaprosić na nie wszystkich, którzy w lecie brali udział w wycieczce wozem. Gospodyni zaproponowała, ażeby zaprosić również Jörgena, przedstawiając go jako swego przyszłego zięcia. Helga broniła się trochę przed występowaniem w roli narzeczonej Jörgena, ale ostatecznie przystała na ten żart.

Matka udała się do kuchni, a Helga, która już odzyskała dobry humor, w przystępie podświadomego pragnienia wyrażenia swej radości w jakiś plastyczny sposób – wdrapała się na poręcz sofy, a stamtąd na szafę, gdzie usiadła, śpiewając i bujając w powietrzu nogami. W tej pozycji zastał ją pan Purgsenius, kiedy się zjawił, około pierwszej.

– Należy przyznać – zauważył, śmiejąc się – że pani obejmuje całą skalę ludzkich uczuć. – Weszła pani domu i pan Purgsenius przeprosił, że nie przyszedł w wizytowym ubraniu. – Pani rozumie, gdy się jest w podróży...

Podczas jedzenia, gość opowiadał nowinki stołeczne. Był dobrze wprowadzony w środowisko teatralne, jak również w towarzystwo, do którego należała pani Berg; okazało się nawet, że mieli wielu wspólnych znajomych.

Pani Berg była niezwykle ożywiona. Mieszkała już trzy kwartały na wsi, nie uświadamiając sobie ani razu, że się nudzi; a jednak przez ten cały czas odczuwała tutaj jakieś braki – teraz dopiero to spostrzegła. Nie wiedząc wcale o tym, codziennie obywatela się bez czegoś; troszkę etykiety, troszkę flirtu, troszkę rycerskości, trochę dyskretnych aluzji, które czynią rozmowę tak pikantną, jednym słowem – bez wszystkiego co jest przyprawą i urokiem istnienia. Tutaj nie było miejsca na te rzeczy; ludzie albo byli niezręcznie nieśmiali, albo przesadnie natrętni, rozmowa toczyła się w rytmie drewnianych chodaków, była szczerą i „prosto z mostu”, zaś miejsce czelności zajmowała rubasność.

Gospodyni była zachwycona swoim gościem. Był zewnętrzną pobudką dla gwałtownej i niespodzianej reakcji przeciwko życiu tutaj, które ją dotychczas zadawała. Wywołał w niej wspomnienie wszystkich tych godnych pożądania przywilejów stolicy, i w kobiecej wdzięczności, chętnie wyposażała go samego w te pożądania godne zalety: był rycerski, dowcipny, dyskretny, dobrze ułożony. Choćby to drobne usprawiedliwienie się z powodu ubioru, czy nie działało orzeźwiająco, niby tchnienie z innego świata!

Pan Purgsenius był zajmującym towarzyszem. Potrafił jakąś znaną osobistość przedstawić w ten sposób, że widziało się ją przed sobą jak żywą, a jednocześnie jak gdyby w nowym oświetleniu. Aż do czasu kiedy się człowiek zorientował, że to nowe ujęcie ma źródło w osobie mówiącego, że zostało przez niego dokomponowane. Gra twarzy i głos były widocznie wyszkolone, w dodatku zdawał się doskonale obeznany z za kulisowymi sprawami teatru. Okoliczności te, jak również jego aktorski wygląd, kazały pani Berg przypuszczać przez chwilę, że był aktorem, tylko chciał to ukryć, z takiego lub innego powodu.

Nieźródlny był jego opis „pokoju gościnnego”, który mu przeznaczono w zajeździe. Pokój ten posiadał glinianą podłogę z głębokimi dziurami po szczurach, których ślady widniały również na stole i ramie okna. Drzwi, pozbawione klamki, zawiązywało się od wewnątrz na kawałek sznurka, umocowanego na gwoździu. – Na łóżku widnieje dobrze zachowane plastyczne odbicie włóczęgi, który tam ostatnio spał. Ale chyba najgorsze z tego wszystkiego to szczury. Już nawet mysz może mnie zapędzić... w mysią dziurę; ale wobec szczura doznaję uczucia prawdziwej grozy. Szczęście naprawdę, że rozchodzi się tu tylko o kilkudniowy pobyt.

– Mamy na górze dwa gościnne pokoje; skoro pan chce zrobić z nich użytek, są do pańskiego rozporządzenia. Zdaje mi się, że nie ma tam ani szczurów, ani myszy, a my ich nie używamy. Może więc pan z całym spokojem skorzysta z naszego zaproszenia – powiedziała pani Berg.

Pan Purgsenius bronił się bardzo stanowczo, twierdząc, że i tak już zaciągnął względem nich dług wdzięczności. I pani Berg poniechała tego tematu, aczkolwiek pragnęła, ażeby przyjął jej propozycję. Nie wypadało jednak nalegać dłużej.

Ale, odchodząc, odezwał się nagle; – Może powinienem jednak na te kilka dni skorzystać z pani grzeczności. Czuję się tu tak dobrze, że będę się musiał bardzo przewyciężyć, ażeby znów zadowolić się zajazdem.

– Z przyjemnością – powiedziała pani Berg, trochę zaskoczona.

Posłano po wyrobnicę Adelone, która wykonywała grubsze roboty, i pokoje zostały natychmiast doprowadzone do porządku. Jeszcze tego samego wieczoru gość objął je w posiadanie. Kobiety doznawały nowego, osobliwego uczucia, że nie są już same; siedziały przy lampie, i nasłuchiwały jego kroków na górze.

- No, mamy mężczyznę w domu – rzekła pani Berg.
- Tak, śmieszne uczucie.

XII.

W drugi dzień świąt Bożego Narodzenia, obie kobiety były bardzo zajęte przygotowaniem do przyjęcia. Z frontowego pokoju wszystko zostało usunięte, ażeby było miejsce na gry towarzyskie. Ściany i obrazy udekorowano choiłą, barwne pokrycia i dywany przymocowano w rogach i nad drzwiami, lampy osłonięte czerwoną i niebieską bibułą. Kobiety nie miały czasu na ugotowanie obiadu, poprosiły więc gościa ażeby, w drodze wyjątku, zjadł w karczmie; całe popołudnie gospodyni spędziła w kuchni na przygotowywaniu przyjęcia. Zamierzano częstować kanapkami, lemoniadą i zimnym ponczem, zaś pod wieczór – świątecznym ciastem. Pan Halvor zaproszony był również.

– Ależ to prawdziwe zaczarowane królestwo – zawołał, kiedy wieczorem zeszedł do pokojów, w których matka i córka czekały na gości.

– Oczekują panie prawdopodobnie wytwornego zgromadzenia?

Pani Berg uśmiechnęła się.

– Trochę młodzieży wiejskiej, obu chłopców z karczmy, jeżeli ich pan zna, kilku parobczaków oraz pomyłonego szewczyka.

Pan Halvor był do najwyższego stopnia zdziwiony.

Po jego twarzy przemknął wyraz niepewności, a wzrok jego oscylował między jedną a drugą kobietą.

– Zdaję się pojmować! Próba zetknięcia ze sobą różnych warstw i wyrównanie różnic stanowych, prawda? Istotnie wielka i piękna idea, i na pewno duża ofiara dla dam takiego stanowiska i wychowania.

– Bynajmniej – odpowiedziała pani Berg – przeciwnie, obiecujemy sobie po dzisiejszym wieczorze wiele przyjemności. I nie ma w tym chęci zacierania różnic społecznych, lecz tylko pragnienie widzenia u siebie różnych ludzi. My, kobiety nie mamy wyższych aspiracji. A poza tym jest to rodzaj rewanżu za wycieczkę, w której brałyśmy udział.

Pan Halvor pochylił się, z uśmiechem, który mówił, że trwał niezłomnie przy swoim zrozumieniu.

– Czyni to ideę tym piękniejszą, że ukrywa się nieśmiało pod maską powszedniości. Sądzę zresztą, że posiadam pewne dane, by dla czynu pani mieć niezbędne zrozumienie; sam czuję się najlepiej w towarzystwie ludzi prostych. W ludzkiej tkwi jeszcze coś pierwotnego, co w wyższych warstwach spotyka się rzadko – aromat ziemi, coś, co samo przypomina matkę ziemię. Tę pierwotność spostrzegłem też u pani i córki, i to mnie zaskoczyło.

Pani Berg znów chciała zaprotestować, ale właśnie na korytarzu dał się słyszeć szmer i jakaś ręka zaczęła po omacku szukać klamki. – To pewnie nasi goście nadchodzą – rzekła pani Berg i wyszła ażeby otworzyć drzwi na korytarz.

– Dobry wieczór, Jörgensie! Nie wierzę własnym oczom! Proszę, naciągnijcie znów swoje buty. Czy myśleliście, że wchodzić do meczetu? – Ale Jörgen prześlizgnął się obok pani domu, poza próg. – No, niech i tak będzie. Witaj Jörgenie, dziękujemy, że pomyśleliście o nas, samotnych kobietach?

Ocieżałym krokiem wszedł w skarpetkach do następnego pokoju, obtarł sobie nos grzbietem dłoni, poczym dopiero podał rękę panu Halvorowi, który dotknął jej akurat dwoma palcami, krzywiąc się z niesmakiem. – To jest Jörgen Rag, uczeń szewski, wkrótce – czeladnik – przedstawiła pani Berg. – Jörgen zrobił nam zaszczyt, starając się o Helgę!

– To bardzo po rycersku ze strony pana Jörgena – odparł pan Halvor i z zaciekawieniem przyglądał się szewskiemu chłopcu, stojącemu z wyrazem zachwyty na twarzy.

Goście gromadzili się i z pewnym trudem dawali się nakłaniać do zajmowania miejsc. Potem usiedli pod ścianami, na brzeżkach krzeseł i kanapy, w sztywnych pozach, nie wymawiając ani słowa. Czuli się przytłoczeni wytwornym otoczeniem, do którego nie byli przyzwyczajeni. Od czasu do czasu, ten lub ów, otwierał usta, ażeby przerwać milczenie, ale znów je mocno zaciskał oblewając się rumieńcem.

Pani Berg zagadywała to do jednego, to do drugiego, nie otrzymywała jednak prawie odpowiedzi, i wszelkie jej usiłowania przełamania zakłętego milczenia i zgromadzenia gości przy oświetlonym stole, spełzały na niczym. Trzymali się w półmroku, pod ścianami. Jedynie Aage Hermansen i Jörgen zdawali się nie być przytłoczeni. Jörgen siedział w głębokim fotelu, wyciągnąwszy na pokój swe długie nogi, z wyrazem szczęścia na twarzy, zaś Aage Hermansen krążył swobodnie, oglądając obrazy; wydawane od czasu do czasu gwizdnięcie, zdradzało, że jego pewność siebie nie była zupełnie szczerą.

Pani Berg była bliska rozpaczki. Nawet pan Purgsenius, który taką dobrą opinię miał o ludziach prostych, zdawał się nie czuć zbyt dobrze; milczał i oglądał obrazki w albumie. – Musi być coś nie w porządku w organizacji – myślała pani Berg – albo błąd leży we mnie samej. Może jedzenie rozwiąże im języki; w każdym razie jest to jedyne wyjście. Zaczęła robić przygotowania do kolacji.

Skoro tylko mała Metta z osiedla spostrzegła, że jest coś do roboty, nie mogła już usiedzieć spokojnie, zaczęła zbierać ze stołu i zniknęła w kuchni. W mgnieniu oka stół był nakryty.

Obliczenia pani Berg były słuszne. Sam widok jadła zaczął już wywierać swój wpływ. Goście byli zmuszeni do opuszczenia swych kątów i zebrania się wokół stołu, i stopniowo, w miarę jedzenia, zniknęło napięcie. – Zna się, dzięki Bogu, swoich ludzi – myślała, śmiejąc się wewnątrz.

Najdziwniejsze jednak było to, że jedzenie działało jeszcze bardziej podniecająco na pana Purgseniusa niż na innych. Wpadł w nastrój i zabawiał innych tym, że pozornie niechętny, zdradzał swą całkowitą nieznaną stosunków wiejskich. Cielęta nazywał „małymi krówkami” i nie dał się od tego odwieść, że woły są odmianą bydła rogatego, i urodziły się jako takie, tak samo jak krowy i byki. Śmiali się wszyscy, zwłaszcza „bliźniaki” z zajazdu; co chwila któryś z nich zadławił się kęsem jedzenia. – Widocznie był bardzo głodny – myślała pani Berg o panu Halvorze – może nie lubi nic z tego, co mu dawali w karczmie.

Po kolacji miały się zacząć gry towarzyskie, ale pan Purgsenius opowiadał właśnie wesołe historyjki ze swych studenckich czasów i skupiał na sobie ogólną uwagę. Wszystko słuchało z wybałuszonymi oczami i na wpółotwartymi ustami jego opowiadań o nocnych bijatykach i walkach ze stróżami nocnymi; w miejscach najciekawszych słyszało się krótkie, mimowolne wykrzykniki. Jedynie Aage Hermansen nie dał się porwać; cicho uśmiechał się do siebie i oceniał to bystrzej niż inni.

Pani Berg, dla której anegdota studenckie nie były niczym nowym, przysiadła się do Karen Petersen. – Czy Jens nie wrócił na Boże Narodzenie do domu? – spytała szeptem.

– Owszem, przyjechał w wieczór wigilijny.

– Dlaczego, na Boga, nie przyprawdziliście go ze sobą?

– Nie pozwolono mu, ojciec zabronił.

– Nie pozwolono?

– Nie, bo ojciec myśli, że on się kocha w Heldze.

– To pewnie dlatego wysłano go do szkoły? Ale co właściwie może wasz ojciec mieć przeciw Heldze?

– Ojciec chce, żeby Jens wziął Mettę.

– Tę tam, tę małą kościstą kobyłkę? Biedny Jens! Wasz ojciec naprawdę zapatrzył się w nią?

– Nie, ale ojciec Metty ma kawałek gruntu, który wżyna się klinem w naszą posiadłość i ojca zawsze to dręczyło, że nie mógł naprostować granicznej miedzy. Kiedy Jens ożeni się z Mettą i przejmie gospodarstwo, wtedy będzie można ten grunt dołączyć do naszego. Metta jest jedynym dzieckiem.

– Wasz ojciec nie będzie miał już wtedy wiele pociechy z tego, skoro już sam nie będzie prowadził gospodarstwa. Byłoby przecie o wiele prościej kupić ten grunt.

– Ojciec Metty nie chce go sprzedać za żadną cenę. Ojciec próbował nawet się procesować i zapłacił wiele pieniędzy adwokatowi, żeby dowiódł, że pole należy do niego. Ale się nie udało.

– Więc to jest ostatnie wyjście – powiedziała pani Berg, podnosząc się, i skierowała się ku innym gościom, ażeby przekonać się, czy rychło da się zaproponować jakąś grę. Tęskniła za zabawą i zetknięciem z innymi.

– Było już dawno po północy – usłyszała opowiadanie pana Halvora – i spoczywałem słodko w objęciach Morfeusza. Nagle budzę się, jeden z moich przyjaciół wpada do mego pokoju ze świecą w rękę i woła; „Pali się! Pali się!” Gdzie? – pytam, przestraszony, wyskakuję z łóżka i chwytam dzbanek z wodą. – W czerwonym nosie odźwiernego, – odpowiada mój przyjaciel. Naturalnie, wpadłem we wściekłość i wyrzuciłem go za drzwi.

Aage Hermansen potakiwał z głębokim zrozumieniem, a na twarzach wielu gości ukazał się specjalny wyraz, jak gdyby łamali sobie nad czymś głowę. – Ale co pan zrobił z kobietą? – wypaliła Metta nagle.

– Z kobietą?

– Tak, przecież pan mówił, że spoczywał w...?

Pan Halvor zwrócił się ku niej gniewnie; był czerwony jak rak i powstrzymywał się od wypowiedzenia czegoś przykrego.

– A teraz zaczynamy! — zawołała pani Berg jasnym głosem i klasnęła w dłonie.

– Bawimy się w krążący trzewik, prawda? – i rozglądała się po gromadce, ze swym spokojnym uśmiechem.

Udano się do przyległego pokoju, ustawiono w kółko, a jeden z „bliźniaków” stanął w środku. Stojący w kole tłoczyli się jeden na drugiego, trzymając ręce za plecami, a lekki domowy pantofelek wędrował z rąk do rąk, poza kręgiem. Chłopiec obracał się na wszystkie strony, w kółko, bacząc pilnie na każdy ruch. Nagle został uderzony w plecy; odwrócił się szybko i schwytał za ręce daną osobę, ale pantofelek powędrował już dalej. Rozbrzmiał ogólny śmiech.

Gra przybrała szybkie tempo i coraz to ktoś inny stawał w kole. Wieśniacy znali tę grę i niektórzy mieli dużą wprawę w zgadywaniu, gdzie w danej chwili znajdował się pantofelek. Trudniej szło panu Halvorowi i pannie Heldze, którzy, skoro raz dostali się do koła, prawie nie mogli się stamtąd wydostać. Pani domu było łatwiej; patrzyła zwykle ludziom prosto w oczy i na tym polegała jej przewaga.

Obracała się zwolna w kole i uśmiechała się. Otrzymała dosyć mocne uderzenie, musiała to być Helga. Ale dziewczyna dopiero co była w kole – pani Berg udawała więc, że nie zauważyła. Musnęła spojrzeniem Aage Hermansena, który dotychczas jeszcze nie był w kole i przybierał poważną minę. Przy następnym uderzeniu odwróciła się spokojnie przyglądając mu się. Jego małe, kłujące oczy jakoś szczególnie błysnęły, wświdrował się wzrokiem w spojrzenie pani Berg, jak gdyby chciał wypalić w niej jakąś myśl. Ale oczy jego pograżyły się w jej otwartym, spokojnym spojrzeniu, nie wywierając żadnego wrażenia. Dalej patrzyła mu w oczy, aż spostrzegła, że spojrzenie jego skierowało się lekko w dół; wtedy schwyła go za obie ręce – pantofelek był u niego.

On natomiast zaraz przychwycił Karen, która była zbyt powolna, ażeby puścić w ruch, trzewik. Uderzył ją pierwszy, a uderzenie było takie silne, że aż łzy stanęły jej w oczach. Pani

Berg spojrzała nań z wyrzutem. Przyszła kolej na Mette, która dostała ostrego klapsa od starszego z „bliźniaków”. – Au, ty świntuchu! – krzyknęła, nie wiedząc kto ją uderzył.

Stopniowo doszło do prawdziwych zawodów, kto najsilniej potrafi uderzyć. Pan Halvor miał już dosyć tego dobrego i wycofał się z koła; zaś nawet pani Berg i panna Helga, które z początku zaledwie ośmielano się dotknąć trzewikiem, nie zdołały wyjść z gry cało. Wobec tego, pani domu przerwała zabawę i zaproponowała inną, z fantami; ponieważ jednak wszyscy bardzo prędko pooddawali fanty – pomyślano o odpoczynku i wniesiono trunki.

Przy ponczu Helga, choć niechętnie, musiała usiąść przy Jörgenie, na kanapie. Wśród rozbawionego towarzystwa padały dowcipne uwagi na temat tej pary, a pan Halvor wygłosił żartobliwą mówkę, biorąc za podstawę przysłowie „szewcze, zostań przy swym szydle”; z którego udowodniał, – opierając się na tym, że większość historycznych bohaterów rekrutowała się ze szewskich szeregów – iż jest to jedno z najbardziej niemoralnych przysłów. Tak samo jak każdy żołnierz napoleoński nosił w tornistrze buławę marszałkowską, tak samo każdy terminator szewski nosi w sobie zarodek sławy. Na jej wyżyny może wznieść się, dzięki swym skłonnościom poetyckim, jak Hans Sachs, lub dzięki swym zdolnościom krytycznym, jak Gifford, albo przez miłość kobiety – jak Jörgen Rag. Z tych trzech, największym jest ten ostatni.

Po tej trochę przesadnej mowie, pito zdrowie młodej pary. Głębszy sens tej mowy nie dotarł do świadomości biesiadników, rozumiano jednak, że to wszystko jest żartem i śmiano się. Sam Jörgen szczyrzył głupkowato zęby – widziało się po nim, że coś kombinował. Aage Hermansen trącił go, chcąc, żeby odpowiedział na mowę. Ale Jörgen tylko dalej szczyrzył zęby i nagle objął pannę Helgę ramieniem. Zerwała się i wśród głośnych śmiechów, wybiegła. Pani Berg spostrzegła, że Karen unikała trącenia się kieliszkiem z Aage Hermansenem, który bezustannie starał się zwrócić na siebie jej uwagę.

– Dlaczego pani tak postępuje? – spytała gdy towarzystwo przeszło do drugiego pokoju, gdzie miano rozłosowywać fanty.

— Nie cierpię go.

– To mamy takie same upodobania. Ale co się pani tyczy, to stało się to dopiero ostatnio.

– Nie, nigdy go nie znosiłam.

Pani Berg zrobiła zdumioną minę i chciała dopiero coś powiedzieć, ale zamiast tego, ujęła Karen pod brodę i spojrzała jej badawczo w oczy. Karen uniosła powieki i odpowiedziała szczerze na jej spojrzenie, lecz jej wargi lekko zadrżały.

– Nie, ona w każdym razie nie kłamie – pomyślała pani Berg.

Podczas wykupywania fantów, pani Berg zdawało się, że Aage Hermansen dużo żartuje z Mette, która głośno się śmiała i uderzała go po rękach, aż się rozlegało. – Czy pragnie, aby która z nas była zazdrosna, czy traktuje to naprawdę poważnie? – myślała. Nie można było nic zrozumieć, gdyż kiedy rozmawiał z kobietami robił to szeptem. Ale Metta śmiała się dyszkantem, wykrzykując: Ach głupstwo!

Pani Berg, sprawująca urząd podziału fantów, uważała, że ze sprawy Jörgen Rag — Helga za mało się jeszcze kpiło i nabrała ochoty podręczyć trochę córkę, za to, że uciekła. Była w posiadaniu fantu, o którym wiedziała, że należał do Helgi, szepnęła więc coś „sędziemu”, na co ten oświadczył, że właściciel fantu musi „odgadywać całującego”. Helgę, z zawiązanymi oczami, posadzono na krześle w środku pokoju, a po obu stronach stanęli; Karen i Jörgen. Karen pocałowała ją mocno w usta i prędko się usunęła, pani Berg dała Jörgenowi kułaka w kark, ażeby się pochylał. Kiedy Helga zerwała sobie z oczu opaskę, stał nad nią na wpeł pochyłony, ze swym głupim uśmiechem. Helga wydała przeraźliwy okrzyk i uderzyła go w twarz, tak, że przestraszony usunął się znów do swego kąta. Wtedy zaczęła szlochać i wybiegła do sypialni.

Nikt nie był usposobiony do śmiechu, a ponieważ zrobiło się późno, zaczęto się przygotowywać do odejścia. Pani Berg odprowadziła gości do furki.

–Och, jak śnieg pada – rzekła – będziesz miała przykry powrót, Metto, masz tak daleko.
– Nie – rozległ się głęboki głos Metty już z gościńca. – Aage Hermansen powiedział, że mnie odprowadzi.

XIII.

Pan Halvor Purgsenius, który właściwie urodził się pod nazwiskiem o wiele mniej wspaniałym – Nielsen, był jedynym dzieckiem biednych wyrobników z zachodniej Jutlandii. Już od wczesnego dzieciństwa zdradzał niepospolite zdolności i w wiejskiej szkółce uczył się tak dobrze, że bardzo wczesnie zaczął płynnie czytać i organista mógł mu powierzyć nauczanie młodszych dzieci. A kiedy przyjeżdżał proboszcz na wizytację, Halvor musiał zawsze służyć jako dowód tego, co udało się osiągnąć. Organista, który w przeciągu całego swego urzędowania, nie spotkał jeszcze tak dzielnego chłopca, nie ukrywał, że nie może go już niczego więcej nauczyć – tak daleko chłopiec już zaszedł. Wokoło, w zagrodach opowiadano sobie o zdolnościach chłopca z lekką przymieszką zazdrości, albowiem był tylko synem wyrobnika. Rodzice byli szczęśliwi, że im się to przydarzyło, i to tak niezasłużenie. Kiedy przychodzili goście, chłopiec musiał im czytać i popisywać się kunsztem pisarskim. Gość mógł sam otworzyć biblię albo inną książkę, i nie było ani jednego takiego ustępu, którego by chłopiec nie potrafił odczytać. Numer popisowy, który sobie chowano na zakończenie, polegał na tym, że chłopiec odwracał książkę do góry nogami i czytał krótki urywek – temu nikt nie mógł się oprzeć. Następnie ojciec opowiadał gościowi dosłownie, co mówił o chłopcu proboszcz i organista i co ludzie opowiadali między sobą.

Wszystkie te honory uderzyły chłopcu do głowy i, skoro tylko ktoś przychodził, zasiadał z lubością przed książką i czytał półgłosem albo pisał na swej tabliczce i patrzył z ukosa, czy to zostało zauważone.

Przyzwyczajenie ojca odczytywania co wieczór biblii ostatecznie przeszło na niego. Starzejący się komornik sprzedał od ręki swe okulary, otrzymawszy za nie prawie pełną sumę kosztu – cóż za błogosławieństwo posiadanie takiego dziecka! Tak więc mąż i żona siadywali wieczorami na ławce pod oknami, przysłuchując się jak chłopiec czyta, i kiwali do siebie głowami; słowo Boże w ustach dziecka! tak, tak, a nie inaczej być powinno.

Oboje rodzice nosili go na rękach i trwożliwie czuwali nad tym, żeby mu się nic nie stało. Nie wolno mu było wykonywać żadnej roboty, częściowo dlatego, że coś im się majaczyło, jakoby mądre głowy nie powinny używać rąk, częściowo zaś – że nie mogli by znieść tego, ażeby pracował.

Po confirmacji, dalej przebywał w domu; codzienny trud był nie dla niego, a na kształcenie rodzice nie mieli środków. Tę drobną sumkę, którą zaoszczędzili, zużywali na to, ażeby go przyzwoicie ubierać i dobrze odżywiać i zdarzało się często, że dla nich samych zostawało niewiele. Kiedy zaś ludzie radzili im, ażeby chłopca kazali uczyć, czegoś praktycznego, uśmiechali się pobłaźliwie – była to czysta zazdrość.

Ostatecznie zrozumieli, że coś stać się musi i postarali się dla niego o miejsce w zarządzie dóbr; ale po upływie miesiąca powrócił do domu, skarżąc się na bóle w krzyżu – nie mógł znieść tej pracy. Rodzice byli zachwyceni powrotem syna i nie ponawiali już dalszych starań. Został więc w domu, rósł i fantazjował. Obnosił się z szerokimi planami, które objaśniał rodzicom, a zacni ludzie byli po prostu wniebowzięci. Później porzucał te plany i tworzył nowe, a ograniczone pojęcia staroświeckich wyrobników ulegały wskutek tych ciągłych zmian, takiemu zamieszaniu, że nie rozumieli już nic absolutnie. Lecz to wzmacniało jeszcze ich podziw dla syna. Tymczasem stał się on wysokim, silnym, przystojnym młodzieńcem, cieszącym się szczęściem u dziewcząt.

Wszystkie córki gospodarzy w całej okolicy marzyły o nim, a uczucie to rzucało szczególny blask na ciężkie życie biednych wyrobników. Również we wzroście i fizycznym rozwoju trzymał prym przed innymi. Mając siedemnaście lat, zaręczył się z dziewczyną z okolicy,

której rodzice zmarli podczas epidemii, zostawiając jej dziesięć tysięcy marek. Proboszcz, będący jej opiekunem, dał jej swe błogosławieństwo, ze słowami, iż Pan Bóg widocznie wybrał ją do tego, ażeby wyzyskała skarb, który inaczej leżałby odłogiem. A gdy w gorących słowach opowiedziała o zdolnościach swego ukochanego i jego planach na przyszłość, prosząc pastora, jako swego opiekuna, o pozwolenie na to, żeby Halvor pojechał do miasta i kształcił się za jej pieniądze – pobożny człowiek widział w tym palec Boży i postawił tylko jeden warunek – ażeby Halvor studiował teologię. Warunek ten pokrywał się z życzeniami dziewczęcia; na tym więc stanęło.

Mając lat dwadzieścia, powrócił z Aarkus jako student, z przeciętnym jedynie świadectwem swej szkoły. Proboszcz był tym troszkę rozczarowany – ale cóż to znaczyło, na ogół wzięwszy egzamin nie był znów tak niezmiernie ważny. Rodzice nie czynili takich małostkowych różnic – dla nich student był studentem; patrzyli nań codziennie jak, w małej, zabawnej czapeczce na pięknych lokach, promenował dumnie; byli szczęśliwi. Narzeczona uważała, że jest jeszcze ładniejszy. Praca nie przyniosła uszczerbku jego pięknemu kształtom, zaś miejskie powietrze tylko przytłumiło nieco zdrowe rumieńce. Przy tym, stał się bardziej wymownym, obecnie panował zupełnie nad słowem, głos nabrał głębokiego, męskiego dźwięku, a dialekt ustąpił mowie klas oświeconych.

Po szczęśliwym lecie, które spędził na tworzeniu wielkich planów, podczas kiedy ona słuchała go i oszałamiała się tym – spakował kufry i pożegnał się, dając uroczyste przyrzeczenie, że prędko skończy, i o ile to w ogóle leży w ludzkiej mocy, powróci.

Przybywszy do stolicy, wynajął duży, jasny pokój, aby móc lepiej pracować, i zaczął swe uniwersyteckie studia. Wierny przyrzeczeniu danemu narzeczonej, zaryzykował próbę zapisania się na wydział filozoficzny, po bardzo pobieżnym przygotowaniu z różnych przedmiotów; liczył na to, że szczęście dopisuje wiernym. I poszczęściło mu się.

Ale teraz trzeba było porządnie, poważnie pracować. Jego koledzy byli to wytrwali, gruboskórni synowie wieśniaków, których popchnął do teologii zmysł praktyczny, ponieważ proboszczowi w domu żyło się lepiej i wygodniej niż ich ojcom. Idąc za ich przykładem, ugiął się pod jarzmem, a gdy go zanadto uciskało, stawiał sobie przed oczy swych towarzyszy. W ten sposób przewycięzał ochotę zrzucenia jarzma. Ale po trzech kwartałach ciężkiej pracy, odezwały się znów dawne bóle w krzyżu, tak, że był zmuszony – przez pewien czas – pracować mniej usilnie.

Miał skłonności do marzeń i gdy leżał na kanapie, myśli jego ulatywały daleko od słowników i gramatyki, i wtedy próbował wyobrazić sobie swą przyszłość. Najróżnorodniejsze obrazy zaludniały jego fantazję, lecz najbardziej ulubionym był obraz proboszcza w dobrej parafii, – wiernej żony przy boku, w otoczeniu dobrej i uległej gminy, która by składała przed świętami swą daninę, a od czasu do czasu – drobne dary w formie drobiu i jaj. Widział proste, poczciwe twarze w niedzielę przed swą amboną, widział jak zawiśli wzrokiem na jego ustach, ażeby nie stracić słowa i móc je dalej powtórzyć tym, którzy nie byli w kościele, zmuszeni pozostać w domu. I serce jego zaczynało bić goręcej dla tych ludzi, odczuwał palącą potrzebę stania się im potrzebnym.

Ale w teologii droga do tego celu była uciążliwa. Suche, długoletnie studia mogły odebrać ochotę nawet najodważniejszym; a przy tym wszystkim tak łatwo przekraczano właściwy cel. Młodzieniec, najbardziej pełen nadziei i zapału, musiał stać się płaski i nudny po wkuciu tych wszystkich dogmatów. Z punktu widzenia doświadczenia życiowego, na pewno już obecnie był tak dobrym mówcą, jakim mógł być w ogóle, a doświadczenia życiowego nie nabywa się za pomocą studiów martwych języków, lecz przez obcowanie z żywymi ludźmi. W najlepszym razie można by powiedzieć, że przyszłemu głosicielowi słowa bożego teologia nie szkodzi. To też skłonny był dołączyć się do głosów tych, którzy dowodzili, że urząd pastora nie powinien być zależny od studiów teologicznych i następujących po nich egzaminach, lecz – od osobistego powołania. A powołanie czuł w sobie.

Ideał stanowił więc wolny, wykształcony przez samo życie głosiciel słowa bożego, który przemawiał zależnie od powołania jakim Bóg Ojciec go obdarzył. Jedynie wzgląd na żonę i dzieci powstrzymał go od pójścia tą drogą; należało zapewnić im przyszłość, zanim się jeszcze je w ogóle posiadało. Gdyby nie to, przyjąłby ubogie, ale prawdziwsze stanowisko kapłana-laika.

Tak, życie należało znać, ażeby móc głosić żywe słowo, ale studiowanie teologii było tak jednostronne, prawie zabójcze, że teolog, nie poprzestający na martwych językach i skamieniałych dogmatach, pragnący również poznać samo życie, musiał zabierać się do tego jak przestępca.

Student teologii Halvor Nielsen, coraz bardziej unikał swych gorliwych kolegów i szukał kontaktu z takimi, którzy studiowali estetykę. Ludzie ci, nie tkwili w życiu głębiej niż niejedni niedojrzały teolog, ale mieli tę przewagę, że nie potrzebowali się z tym ukrywać, gdyż studia ich właśnie wymagały zapoznania się z wieloma przejawami życia. Jak mieli na przykład, oceniać literaturę piękną, skoro nie rozglądali się w życiu i nie robili doświadczeń.

W tym czasie przyjął nazwisko Purgsenius, do stworzenia którego pomógł mu znający języki przyjaciel, i zaczął się starać o prawne zatwierdzenie. W dążeniu swym do czegoś wyższego, myśl o niskim pochodzeniu dokuczała mu nieraz, i starał się stłumić wszelkie wspomnienie o niej. Skoro chciało się założyć własną rodzinę, nie powinno się dać jej zatonać, wśród tysiąca innych Nielsenów.

Halvor Purgsenius zdobył wkrótce kółko inteligentnych przyjaciół; wychodził z nimi wieczorami i studiował to co nazywali „wyższym i niższym życiem ludu”. Stopniowo uświadomił sobie, że właściwą jego dziedziną jest estetyka, i pewnego dnia ostatecznie pożegnał się z idyllą plebani – rozumiał, że była już nie do uratowania.

Jednocześnie jednak rozumiał również, że w jego wiadomościach z dziedziny literatury były poważne luki – mianowicie w nowszej literaturze. Rzucił się chciwie na te studia i przedsięwziął sobie przeprowadzić porównanie między szkołą Öhlenschlaegera a naturalizmem, który właśnie wtedy torował sobie drogę. Z tych okoliczności wypływało, że studiował głównie literaturę nową, – öhlenschlaegerowską przeważnie znał, albo z pierwszej albo z drugiej ręki.

Porównanie wypadło bezwarunkowo na korzyść Öhlenschlaegera; wywody swoje ujął w małą rozprawkę i posłał ją narzeczonej, z prośbą przekazania jej proboszczowi. Do rozprawki załączony był list z żywym opisem walk i wątpliwości, przez które musiał przejść, zanim zdobył swój nowy światopogląd i wypływający z tego wybór zawodu. Jednocześnie, prosił o podwyższenie mu miesięcznej pensji, gdyż nowe studia, które obecnie wybrał, muszą być droższe, jeżeli mają zostać uwieńczone powodzeniem.

Kiedy przez dłuższy czas leżał na kanapie, myśli jego układały się rytmicznie, i pewnego dnia napisał drobny poemat. Przeczytał go wieczorem, na głos, swoim przyjaciółom; nie szczędzili mu pochwał i namówili, ażeby opowiedział im, jak nawiedziło go natchnienie.

Wiersz został również posłany narzeczonej, z prośbą, aby go nikomu nie pokazywała. Ona zaś, choć wzięła się już w myśl zostania żoną pastora i była w tym wyobrazeniu wprost rozkochna – wybiła sobie wszystko to z głowy i z zachwytem godziła się na jego nowe pomysły i plany. Płakała z radości nad jego rozprawką i gotowa była widzieć w nim wielkiego nawet największego – krytyka. Wprawdzie nie miała jasnego wyobrażenia o tym, na czym właściwie polega wielkość krytyka; ale za tym unosiły się w jej świadomości, niby we mgle, słabe zarysy profilu poety, i to ją czyniło szczęśliwą.

Pastor nie był wcale tak bardzo zachwycony. Ale i on również uważał rozprawkę, z jej licznymi napaściami na surowość i brutalność nowoczesnej literatury, za doskonałą, i aczkolwiek stało się to pewnym drobnym hm!... zgodził się jednak podwyższyć sumę „kieszonkowego”.

Pokój pana Halvora stawał się powoli miejscem zebrań przyjaciół; tam zbierano się w wolnych godzinach, dyskutowano, ćwiczano się w krytyce, słuchano wierszy Halvora i pozwalano się przez niego ugaszczać. Większość miała niezaprzeczalną wprawę w łączeniu bachanalii ze studiami i przywiązywała wagę do posiadania takiego miejsca, gdzie można by się zbierać. Ale ich własne „budy” były z tego wyłączone. – „Mój pokój jest za mały” – mówił jeden, gdy omawiali punkt zborny; gospodyni drugiego była chora i nie znosiła hałasu. Halvor przejrzał ich, ale im wybaczał. Przecież wszyscy oni byli karierowiczami, ludźmi, których przyszłość tak samo zależała od egzaminów, jak przyszłość teologów, i ostatecznie musieli mieć miejsce, gdzie mogliby spokojnie się uczyć. Jego położenie było inne; nie miał potrzeby wkuwać suchych literackich dat. Samo życie miało mu przynieść to, co mu było potrzebne do sławy. Przyznanie tej różnicy leżało w tym, że przyjaciele nadawali mu często miano „poety”; był dumny ze swego jedyne prawa do odgrywania roli gospodarza.

Poza tym, byli dla niego zbyt radykalni w swych poglądach. To też nie przeczytał im swojej rozprawki, ażeby nie wywołać niepotrzebnej kłótni; a jeżeli im nie oponował, działał się to z tego samego powodu.

Już dwa razy przez okres letnich wakacji, nie był w domu – nowe projekty i studia absorbowwały go tak bardzo, że nie miał czasu na wakacyjne wywczasy. Ale skoro na trzecie lato nie zjawiał się również, proboszcz stał się nieufny, zaczął coś podejrzewać, i pewnego pięknego dnia stanął niespodziewanie w pokoju Halvora.

Stary proboszcz skostniały w dogmatach nie był dość ruchliwy ażeby zrozumieć, jakie są kanony rozwoju niezależnego ducha na wolności, wobec czego uciał krótko wszelkie układy i postawił go przed alternatywą: albo – albo. Halvor ma podjąć znów przerwane studia teologiczne, albo wszelka pomoc zostanie cofnięta. Jeżeli ma zdolności poetyckie, to już potrafią one upomnieć się o swe prawa; a kiedy dana jest poecie bogatsza i piękniejsza sposobność do rozwinięcia się i otrzymywania bodźców, jeżeli nie wtedy, gdy jest pomazańcem bożym, na dodatek jeszcze głosicielem Jego słowa? Było dosyć poetów-kapłanów, mogących służyć za przykład i czyż nawet wolnomyślna literatura nie szukała przytułku w Piśmie świętym, łaknąc natchnienia.

Halvor, skruszony, przyznał się do swego wielkiego błędu i na wszystko się zgodził, zaś pastor wrócił do domu, uprosiwszy przedtem swego starego przyjaciela, profesora teologii ażeby dawał baczenie na młodego człowieka.

Znów nadszedł dla Halvora okres ciężkiej pracy; był naprawdę pilny i w godzinach odpoczynku, krzepił duszę obrazami poetów-kapłanów, którzy w długich surdutach wędrują drogami i polami, tworząc obrazy poetyckie w proroczym widzeniu, na pozór prozaiczni, istotnie jednak, na orlich skrzydłach swego ducha, ponad obłoki, wzniesieni. Ale wreszcie praca stała się dlań nieznośna. A kiedy sobie uświadomił, że nawet przy nadludzkich wysiłkach i pośpiechu, pieniądze jego narzeczonej nie wystarczą na opłacenie całych jego studiów i że w ten sposób pozbawi ją wszelkich środków, nie osiągnąwszy tego, czym mógłby jej to wynagrodzić – postanowił ostatecznie porzucić teologię. Od czasu do czasu zjawiał się jeszcze na wykładach i w ten sposób udało mu się w ciągu pół roku zasypywać piaskiem oczy smokowi, który w postaci starego profesora stał na straży. Ale i to stało się dla niego ciężarem i w końcu przestał w ogóle się pokazywać. Po tym fakcie nastąpiły listy z pogrózkami starego proboszcza, ale gdy jednak nie odniosły skutku – pomoc ustała.

Po raz pierwszy w życiu został pozostawiony sam sobie. Położenie wydawało mu się dość pikantne, zwłaszcza z początku, kiedy miał jeszcze parę groszy. Dopiero gdy i to źródło wyschło i większość przedmiotów, nabytych przez szereg lat dla własnej wygody, została sprzedana, położenie stawało się uciążliwe. Dopominał się u swoich przyjaciół o sumy, które im pożyczył w okresie swej świetności, i nabierał ich na dalsze drobne pożyczki. To, oraz pieniądze przesyłane mu przez narzeczoną, za plecami proboszcza, stanowiły wszystko, z czego się utrzymywał.

Kiedy siedział w domu głodny, napadała go nieprzewyciężona ochota fantazjowania na temat wielkich liczb. Zaczął obliczać, co w przeciągu tych kilku lat pożyczył od swej narzeczonej – pożyczył było śmiesznym wyrażeniem jeżeli chodziło o nich, ale wszystko jedno – jednak pożyczył. Wynosiło to ściśle 7870 marek i 50 fenigów. W obliczeniu pożyczki, dokładnie co do grosza, leżało pewne zadowolenie, które wzmacniało jego poczucie prawa; było coś pociągającego w operowaniu liczbami dokładnie, nawet nieraz drobiazgowo dokładnie. Pożyczką, jak to było powiedziane, nazwać tego nie było można, raczej kapitałem obrotowym. Dla niej była to siejba, mająca przynieść bogaty plon: całe życie w wygodzie, bez trosk o chleb powszedni. Nie chciał jednak zapomnieć, że był jej winien wdzięczność, zarówno za te 50 fenigów, jak za 7870 marek. Wielkość sumy nic tutaj nie znaczyła; to co cenił tak wysoko, była to dobra wola.

Między tym, leżały ciche godziny cichego smętku, w których głód stawał się niejasnym uczuciem żalości, nad cierpieniami, nie własnymi tylko, lecz całej ludzkości; wtedy zajmowały go idee humanitarne, zmierzające do uszlachetnienia rodu ludzkiego. Uniwersytety ludowe zaczynały wówczas skupiać uwagę szerokich kół, i Halvor, między innymi, nosił się z planem założenia wyższej uczelni na wielką skalę. Miała być zbudowana przez akcyjne towarzystwo, i – takiego typu, że najlepsza młodzież kraju znalazła by w niej miejsce. Dość już nasłuchiwał się o tych uczelniach, by móc przypuszczać, że nie będzie mu trudno stanąć na czele takiego przedsięwzięcia. Ażeby zostać dyrektorem takiej szkoły, trzeba było umieć śpiewać, przy każdej sposobności cytować Grundtwiga i Björnsona i umieć głośno odczytywać Jonasa Lie. Ze śpiewem i czytaniem dałby sobie radę, gorzej było z cytatami dzieł Grundtwiga; ale i ta trudność mogłaby pewnie zostać pokonana.

Kiedy rozwijał przed przyjaciółmi swe idee humanitarne, dodawali mu otuchy, a ich uznanie dobrze nań działało. Tylko jeden z nich, ten, który mu, w swoim czasie, pomógł przy zmianie nazwiska, człowiek niezadowolony i usposobiony krytycznie, który zawsze był w opozycji i nigdy nie oceniał go należycie, uśmiechał się sceptycznie. Halvor nigdy go nie znosił i zadawał się z nim jedynie dlatego, że musiał. Albowiem inni cenili go bardzo i nazywali swoim nieczystym sumieniem. Kiedy jednak zaczął swą obrzydliwą krytyką druzgotać humanitarne plany Halvora, pragnąc dowieść z całą gwałtownością, że są puste i samolubne, inni zagłuszyli go tupaniem i okrzykami. – Zostań aktorem – mówił wtedy do Halvora kąśliwie – jedynie w tym kierunku masz zdolności. Albo zostań tym, czym jesteś – estetyzującym próżniakiem. – Była to w jego ustach najgorsza obelga.

Im dłużej myślał Halvor o projekcie szkoły, tym większe przeszkody wyrastały, które przeoczył w pierwszej gorączce rojeń. Większość ludzi, uczęszczających do tego typu uczelni, byli to – jakby ich określić? – zwykli zjadacze chleba, oczywiście nie w znaczeniu moralnym tego słowa. Same przez się, dzieci ludu były, rozumie się, równie dobrym materiałem, jak dzieci ludzi wytwornych, ale czystość ich nie sięgała poza oblicze i dłonie i naturalnie raz w tygodniu – poza – szyję. Z daleka już można było ich poznać po odorze, gdy występowali gromadnie. I z nimi właśnie trzeba by było przebywać codziennie, tykać się z nimi i ujmować ich pod ramię...

Wpadł na inny pomysł, który mu bardziej odpowiadał: założyć pismo popularnoestetyczne. W ten sposób można było wpływać na masy, nie stykając się z nimi bezpośrednio, i jednocześnie mieć możliwość opublikowania własnych utworów. Przyjaciele głosowali bezwarunkowo za pismem i obiecali pomoc.

Chodziło tylko o zebranie potrzebnych środków! Narzeczonej będzie miała wkrótce prawo do rozporządzania własnym majątkiem – szkoda tylko, że był tak niewielki. Jeżeli siedem tysięcy osiemset siedemdziesiąt, dla okrągłości sumy – siedem i pół tysiąca, odjąć od dziesięciu tysięcy – pozostanie jeszcze dwa i pół tysiąca, a łącznie z narosłymi procentami jeszcze tysiąc; albowiem od zaręczyn narzeczonej nie zdecydowała się, ażeby procenty użyć dla siebie, lecz objęła posadę gospodyni, za utrzymanie i małe wynagrodzenie. Za trzy i pół tysiąca

marek powinno dać się coś zrobić! Zasiadł natychmiast do pisania i zaczął jej wyluszczać swój projekt.

Ku swemu zdziwieniu i – niezadowoleniu otrzymał odpowiedź odmowną. Tęskniła za nim i była niepokieszona z powodu jego losu; prosiła go, ażeby natychmiast wrócił do niej, by mogli wspólnie coś obmyślić. Do projektu pisma nie miała zaufania i nie odważyłaby się wejść na tę drogę, więcej jeszcze przez wzgląd na niego niż na siebie. – Wróc więc do domu, tęsknię za tobą tak bezgranicznie! Kupimy sobie mały domek i urządzimy pięknie życie. – Tym kończył się list.

Wątpiła zatem o jego projektach, nie miała do nich zaufania. Ale skoro nie miała zaufania do jego planów, nie mogła też mieć zaufania do niego samego. Popadł w smutek i gniew. Była to degradacja, degradacja tego, który w niej pokładał największe zaufanie; złożył swą przyszłość w jej ręce.

Takie słabe były ręce kobiety, i im miało się powierzać swe życie, swe powodzenie! I w ogóle, czym była miłość? Czy kochała go w ogóle, skoro mogła go opuścić? Zadawał sobie pytania, czy byłby nieszczęśliwy, gdyby z nim zerwała? Bez wątpienia! A jednak byłoby najlepiej dla obu stron, gdyby to zrobiła. Pierwszy krok przecież już uczyniła. Kto to powiedział, że kobieta zawsze przeszkadza mężczyźnie w jego górnym locie, robi z niego balon na uwięzi, i że skoro ktoś stawia sobie wyższe cele niż zdobywanie chleba powszedniego, nie powinien wiązać się z kobietą, lecz widzieć w niej tylko falę, która go unosi, przybliżając trochę do celu, poczym zapada w otchłań, ażeby nigdy się już w życiu mężczyzny nie pojawić.

Postanowienie zostało powzięte; pan Halvor pragnął zerwać umowę. Te 7870 marek 50 fenigów będą dlań długiem honorowym, za którego spłatę ręczył życiem. Ale nikt nie powinien, z powodu pieniędzy, upierać się przy obłudnym stosunku.

Jednakże listu z zerwaniem nie chciał pisać; było w tym coś gruboskórnego, co go odstręczało. Wybrał więc łagodniejszą formę — nie odpowiadania na jej listy.

Pewnego dnia przypomniał sobie nagle, że jego nieżyczliwy przyjaciel w swych zgryźliwych uwagach przyznawał jednak, że Halvor jest urodzonym aktorem; postanowił więc zgłosić się do teatru i poddać się próbie. Nie opanował jednak roli i kazano mu powrócić. Po dwukrotnej próbie, o podobnym wyniku, zgodził się z dyrektorem teatru, że prób nie należy ponawiać. Warunki zewnętrzne, głos i mimika były niezłe, ale nie mógł uczyć się ról — nie posiadał pamięci.

Stopniowo, twarz jego stawała się bledsza i chudsza. – Potrzebne ci jest wiejskie powietrze — orzekli przyjaciele i pewnego dnia złożyli się dla niego na bilet do Jutlandii i wepchnęli go do wagonu. Był za słaby, ażeby stawić opór i pozwolił robić ze sobą, co chcieli. Niedostateczne odżywianie odebrało mu siły do tego stopnia, że nie miał już ani jednej wielkiej idei. Głowę miał pustą, tylko gdzieś w najgłębszej głębi świeciła słaba nadzieja jakiejś zmiany. Jeżeli to się nie stanie, pojedzie do domu.

Stanął na jutlandzkiej ziemi, bez jakichkolwiek widoków dla siebie; nie było więc innego wyjścia jak dom rodzinny.

Ale myśl o zjawieniu się w stronach rodzinnych, była mu niezmiernie przykra. Znał zbyt dobrze tamtejszą ludność, z jej ograniczonymi pojęciami; nie tylko nie mianoby dostatecznego zrozumienia dla trudności, z jakimi musi walczyć człowiek taki jak on, ale patrzono by na niego takim samym wzrokiem, jak na nieudanego prosiaka, i przytaczano przypowieść o marnotrawnym synu.

W rozpacz, przyszła mu do głowy pewna myśl. Proboszcz domowy opowiadał, swego czasu, o starym przyjacielu, który był pastorem w południowej Jutlandii; miał być podobno oryginałem, mającym zawsze zrozumienie dla ludzi niecodziennych. Jego właśnie chciał odwiedzić i przynieść mu pozdrowienie od swego dobroczyńcy, powierzając resztę Panu Bogu. Proboszcz-oryginał na pewno nie posiadał spadkobierców, a kto mógł wiedzieć, a nuż...

Drogę tę musiał odbyć pieszo i udał się w nią natychmiast. Dzięki jutlandzkiej gościnności po upływie krótkiego czasu był znów odrodzony na ciele i duszy i mógł ze swą zwykłą, ufną czupurnością, wkroczyć do małej wioski.

XIV.

W „Klatce szpaków” jeden dzień podobny był do drugiego; obie kobiety grywały trochę, trochę czytały, zmieniały się w domowych zajęciach, gawędziły i cieszyły się nadejściem lata. Uważały, że zima była dotychczas dosyć ostra, chociaż zaledwie przekroczyła próg Nowego Roku; ale obie miały zdolność odkrywania we wszystkim stron najbardziej pociągających, co pomagało im znosić nudne przebywanie w domu i przetrwać niekończące się wieczory. Został im również dobry humor, aczkolwiek obie nie były tak ożywione, jak w lecie.

Obcy gość stanowił również źródło rozrywki. Dawał powód do rozmaitych przypuszczeń, raz, tyjących się jego poszukiwań w książkach kościelnych, innym razem – dotyczących jego samego. Kim był właściwie? Uczonym – ci na pewno nie szperają w księgach kościelnych. Jednego z pierwszych dni widziały jak udawał się do kościoła, trzymając w ręku mały notesik – może szukał wiadomości o swoich przodkach.

Pani Berg początkowo brała go za aktora, świadczył o tym cały jego wygląd oraz talent głośnego czytania; ale był zbyt nieśmiały i skromny. Aktorzy, których znała byli wymowni i pretensjonalni i nie mogli znieść, gdy inni przewodzili rozmowie, lub gdy mówiono o innych, a nie o nich; on jednak różnił się od nich – bardzo niechętnie wspominał o sobie.

Nie mogły oprzeć się pokusie, by pewnego razu podczas jego nieobecności, nie rzucić okiem na jego pokoje. Mały, zresztą pusty szkicownik, leżący na stole, mógłby wskazywać na to, że zajmował się rysunkami; poza tym nie znalazły nic, co byłoby w stanie dać im jakieś wyjaśnienie. Prócz szczotek do włosów i paznokci oraz grzebienia, w pokoju nic więcej nie było. Albo nie rozpakował wcale swego tobołka, albo też nic więcej nie przywiózł. Ale tobołek, płaski i chudy, leżał skromnie w kąciuku.

– Musi mieć bardzo spartańskie przyzwyczajenia – rzekła pani Berg, kiedy schodziła na dół.

Pobyt jego przeciągał się dłużej, niż przewidywał, uważał więc za stosowne wyjąkać jakieś usprawiedliwienie pełne żalu. Ale pani Berg zapewniała, że każda zwłoka jest jej bardzo miła: — Jakże byśmy zabijały długie wieczory, gdyby nam Pan Bóg nie był zesłał pana?

W połowie stycznia zdarzyła się taka mile widziana zwłoka, w postaci strasznej burzy śnieżnej, która pogrzebała wioskę w masach śniegu, uniemożliwiając wszelką komunikację.

To wniosło zmianę w bytowanie obu pracowitych kobiet. Pewnego dnia pracowały na dworze, zgarniając śnieg przy pomocy mioteł i łopat od węgla. Pan Halvor pomagał, choć nie miał wielkiego pojęcia o tym, jak się obchodzić z tymi narzędziami; oczyszczali dróżki, wiodące do drzwi kuchennych na zewnątrz domu i od frontowych drzwi do furtki. To ostatnie było zupełnie zbyteczne, gdyż gościniec, na którym śnieg leżał aż po szczyty domów, był nie do przebycia, ale zrobili to, niezależnie od tego. W ten sposób nie czuli się tak zamknięci, mówili. Następnego dnia wszystko było znów zasypane i zawiane, tak, że trzeba było zaczynać od początku. – To właśnie stanowi przyjemność – odpowiedziała pani Berg na uwagę pana Halvora o bezużyteczności tej pracy.

W ogrodzie, gdzie śnieg był specjalnie wysoki, przekopywali krecie przejścia, które miały być tak rozszerzone, żeby objąć wszystkie ogrodowe ścieżki i kończyć się w grocie. – Zrobimy sobie prawdziwy kryształowy pałac z zimowym ogrodem – powiedziała Helga. Pan Halvor był tym planem zachwycony i zabrali się z ochotą do dzieła, każdy ze swojej strony, ażeby się przekonać, kto pierwszy dosięgnie altany, gdzie miała znajdować się grotka. Ale wkrótce osłabły mu ręce i musiał przestać kopać, a i obie kobiety też porzuciły pracę i zamiast tego, obrzucały się śniegiem.

W tym okresie, z powodu silnych opadów śnieżnych, wyrobница nie mogła przyjść i pani Berg musiała sama sprzątać w pokojach pana Halvora. W ten sposób mogła wejrzeć głębiej w jego stosunki i skonstatowała, jak mało posiadał najpotrzebniejszych przedmiotów codziennego użytku – widocznie był biedny. Doznała wzruszenia, skoro przekonała się, jak starannie ukrywał swe ubóstwo – jak gdyby bieda była przestępstwem! Garstka bielizny znajdowała się w oplakanyim stanie i pani Berg rozważała, jakby oddać ją do praczki, bez urażenia właściciela.

Wszystkie jego rzeczy były przesiąknięte zadawnioną wonią tabaki – musiał być namiętym palaczem. Tę samą woń wydawało jego ubranie, dziwiła się więc, że nigdy nie widziała go palącego. Teraz znalazła wyjaśnienie – nawet na to nie starczyło mu środków. W składzie rupieci znalazła kilka fajek, w swoim czasie używanych przez jej męża; położyła je na stoliczku w pokoju pana Halvora, i gdy tylko można było wyjść, posłała do kupca po paczuszkę tabaki.

Pewnego dnia, gdy wstały, zobaczyły pana Halvora, stojącego przed drzwiami i badającego stan pogody; palił przy tym fajkę z morskiej pianki, z widocznym upodobaniem.

– Może pan sobie śmiało oszczędzić tego wypatrywania; nie może być mowy o tym, żeby pan zdołał wyruszyć przed trzema tygodniami – powiedziała pani Berg głosem prawie macierzyńskim.

I to się zgadzało.

Opady śnieżne trwały bez przerwy i dopiero w końcu lutego można było poważnie myśleć o przebicciu dróg.

O zmroku pan Halvor najczęściej schodził na dół i spędzał wieczór w towarzystwie kobiet. Prędko nabrał do nich zaufania i stał się mniej powściągliwy, jeżeli chodziło o jego prywatne sprawy.

Ciekawe było słuchać jak opowiadał o swym ruchliwym życiu i obie kobiety wdzięczne były warunkom atmosferycznym, dzięki którym pobyt jego w domu wciąż się przedłużał.

Podziwiała zwłaszcza miłość pełną czci, z jaką wyrażał się o swych biednych rodzicach oraz delikatny sposób, z jakim prześlizgiwał się po brakach ubożego domu, gdzie na pewno nieraz głodował, choć nigdy o tym nie mówił.

– Sądziłam, że pan jest synem pastora. Miałam wrażenie – nie rozumiem dlaczego – że pański ojciec był pastorem i dobrym przyjacielem starego proboszcza, który tu mieszkał – rzekła pani Berg.

– Nie, ojciec mój jest biednym wyrobnikiem w zachodniej Jutlandii, okoliczność, która stanowi dumę mego życia. Nieporozumienie prawdopodobnie powstało na tym tle, że mój protektor, proboszcz domowy, był tak bliski memu sercu, że czasami doznaję uczucia, jak gdyby był moim rodzonym ojcem. On właśnie był przyjacielem tutejszego dziwaka.

I mówił dalej; o miłości swych rodziców, o swym szczęściu w szkole, o pobycie w stolicy, gdzie z pomocą dobrych ludzi mógł się dalej kształcić. Były jednak miejsca w jego opowiadaniu, w których stawał się powściągliwy i ponury, i kobiety doznawały wrażenia, jak gdyby coś rzucało cień na jego życie. Wtedy, trwało zawsze dłuższą chwilę, zanim podejmował znów opowiadanie, w którym powstawała mała luka. Na pewno miało to jakiś związek z kobietą, i dałyby wiele, ażeby dowiedzieć się, co to było

Kiedy, po takim opowiadaniu o sobie, siedział milczący, przybierał wyraz takiej melancholii, jak gdyby był najnieszczęśliwszym ze śmiertelników. A gdy prosiły go wtedy, żeby im coś przeczytał, wyraz ten natychmiast zniknął i po upływie krótkiego czasu, Halvor wcielał się całkowicie w postacie, o których czytał.

Holberga czytał po mistrzowsku, ale niechętnie. Tutaj nie mógł tak całkowicie zapomnieć o sobie i o wszystkim innym i zlać się w jedno z opowiadającym – zbyt wielki naturalizm przyprawiał go o rumieniec. Skądinąd był zbyt sumiennym lektorem, aby coś opuszczać.

Najwięcej lubił tragedię i lirykę złotego wieku, zaś nastrojowi poematów poddawał się tak bardzo, że głos załamywał mu się w szlochu i musiał na chwilę przerywać czytanie.

W ogóle było zdumiewające, jak dalece był wrażliwy i ulegał wpływom. Pani Berg zauważyła, że często przez całe godziny żył dalej życiem ulubionego bohatera, w którego wcielał się czytając; czasami działanie tej lub owej postaci dawało się u niego odczuwać przez szereg dni.

Tak samo w rozmowie był wrażliwy i łatwo ulegał wpływom. Przejmował się gorąco jakąś sprawą, skoro tylko miała względnie dobrego orędownika, a kiedy pani Berg broniła tego lub owego, czemu był przeciwny, nieświadomie stopniowo przechodził na jej stronę. A później, z reguły, nie przypominał sobie, że początkowo oponował.

– Na pewno dużo cierpiał – powiedziała Helga, kiedy kładły się spać.

– Tak, w nim coś nurtuje, może jakaś kobieta igrała z jego uczuciem. Potrzeba mu kogoś, przed kim mógłby się wypowiedzieć i ulżyć sobie – odparła pani Berg gorąco.

XV.

Pan Halvor był całkowicie ze swej przeszłości zadowolony. Żałował tylko jednego, że w swej młodzieńczej bucie, zaparł się niskiego pochodzenia i przyjął obce nazwisko. I gdyby się to dało zrobić, chętnie sprzedałby nazwisko Purgsenius za tę samą cenę, którą zań zapłacił. Musiał się zadowolić tylko tym, że go unikał, a ponieważ nazwisko Nielsen nie odpowiadało mu ze względów estetycznych, nazwał się po prostu Halvorem, tak jak brzmiało również imię jego ojca. W ten sposób, mówiąc bezustannie o pełnych miłości ofiarach pocziwych wyrobników, mógł wystawić swego kochanego staruszka w najlepszym świetle.

Pan Halvor, stosunkowo, bardzo prędko zadomowił się u pani Berg, zwłaszcza, wzięwszy pod uwagę, jak bardzo powściągliwy był początkowo.

Pani Berg uważała, że posiadał godną uwagi zdolność przechodzenia do porządku nad drażliwymi punktami, jak gdyby nic nie zaszło – tak na przykład, zabierając mu bieliznę, obawiała się, że go to dotknie. Daleki od tego, ażeby odczuwać to, jako natrętność, od tej chwili sam odkładał swą brudną bieliznę, tak, że łatwo ją można było znaleźć.

Drobne przysługi przyjmował, jak rzecz najnaturalniejszą w świecie, i sam ułatwiał ich wykonanie obydwom kobietom. Widziało się wyraźnie, że opieka sprawia mu rozkosz, uśmiechał się z zadowoleniem i widział świat w różowych barwach.

Wydawało się to obu kobietom prawie zabawne. – Po prostu poluje na to, ażeby być psutym – mówiła pani Berg.

Rzeczy przybrały, oczywiście, inny obrót, skoro kilka dni z rzędu siadywał od wczesnego rana w bawialni, z fajką. Pani Berg uważała to za zbyt familiarne i poprosiła by tego zaprzestał. – Właściwie nie mam nic przeciwko dymowi tytoniowemu, ale wie pan przecież, że lubi się wyczuwać w pokojach własną atmosferę. Mam nadzieję, że pan mi nie weźmie tego za złe?

Pan Halvor wycofał się, przeprosiwszy. Wkrótce potem wyszedł i nie wrócił na obiad. O zmroku nie zeszedł na dół, jak zwykle, ale słychać go było wędrującego po pokoju, tam i z powrotem.

– Przypomina mi trochę rozniewanego lwa w klatce – rzekła pani Berg.

– Na pewno się obraził.

– To już jego sprawa. Dlaczego więc nie udaje w swoją drogę?

Tak, istotnie, dlaczego nie udaje się w swoją drogę? Obecnie już goście były wolne od śniegu, i od tygodnia można było po nich wędrować; ale dopiero w danym momencie wpadło jej na myśl, dlaczego właściwie jeszcze został.

Na kolację nie zjawił się również.

– Widocznie chce nas ukarać – powiedziała pani Berg – Przypomina mi to zupełnie dąsy dziecka. Ale nie mam zamiaru błagać go na kolanach. Gdy będzie głodny, sam przyjdzie.

Z przekorną radością myślała o tym, że Halvor na pewno nie ma pieniędzy, wobec czego nie może jadać w wiejskiej gospodzie. Była na niego zła nie tyle za roszczenie sobie pewnych praw, ile za sposób, w jaki przyjął jej uwagę. Helga twierdziła, że niesłusznie jest pozwolić mu głodować; ale i ona nie miała ochoty pójść na górę i prosić go do stołu.

Kiedy skończyły jeść, zaskrzypiały schody pod krokami i pan Halvor zapukał. Stał w drzwiach i z powagą prosił o rachunek za pranie.

– Rachunek za pranie? – powiedziała pani domu zdumiona.

– Niech pan pozwoli bliżej.

Wszedł. – Chcę mianowicie wyjechać jutro, lub najpóźniej pojutrze i dlatego pragnę uregulować należność.

— Naprawdę nie mogę panu przedstawić żadnego rachunku. Adelona pierze pańską bielinę razem z naszą, a jeżeli pan czuje się pod tym względem zobowiązany, to musi pan załatwić już z nią samą – odparła pani domu, uśmiechając się ironicznie.

Pan Halvor był trochę zaskoczony, oczekiwał innego działania swych słów.

– Czy nie dotrzyma pan nam towarzystwa? – dodała pani Berg zaraz po tym. – Niestety, zaczęliśmy już jeść, gdyż przestałyśmy liczyć na to, że pana dziś zobaczymy.

Pan Halvor odrzekł, że jadł, pomimo to jednak usiadł przy stole, głównie ażeby im dotrzymać towarzystwa. Rozmawiali o podróży i pani Berg prosiła, aby oddał ukłony tym i owym znajomym w stolicy. Jednakże nastrój pozostawał chłodny, i Halvor wkrótce udał się na górę.

– Widocznie myślał, że nam zaimponuje swoim rachunkiem za pranie – powiedziała pani Berg, gdy opuścił pokój.

Po tym, jaki obrót wzięły sprawy w ostatnich dniach, kobiety nie miały nic przeciwko temu by odjechał. Nie mógł przecież siedzieć tu wiecznie.

Nie odjechał jednak ani nazajutrz, ani dni następnych. Ciągłe pojawiały się przeszkody. Za to przychodził punktualnie na posiłek, był miły i zajmujący. Dziwiły się temu trochę, a skoro już raz o tym pomyślały, pragnęły co dzień z większą niecierpliwością, go się pozbyć.

Wydał im się po prostu darmozjadem i to uczucie wzrastało w nich ciągle, aczkolwiek zachowanie pana Halvora nie było obecnie inne niż w pierwszych dniach. Jego wymowność nudziła je, zaś jego uprzejmość stała się dla nich istną plagą.

– Coś w nim przypomina rzemieślnika, który odwiedził nas latem, z wielkim apetytem i z małym p. – powiedziała Helga, a pani Berg przyznała jej słuszność.

Ostatecznie pani Berg wzięła na odwagę i poszła do niego, sama się z nim rozmówić i rzecz wyjaśnić. Zaczęła od pogody i zapytała go, czy jest zadowolony z rezultatu swych poszukiwań w księgach kościelnych.

To ostatnie pytanie pomyślane było ironicznie, ale on odpowiedział serio, że rezultat jest tylko umiarkowany, gdyż tego rodzaju praca, jeżeli ma być wykonana gruntownie, wymaga wiele czasu.

Przelekła się tej ostatniej uwagi, i zaznaczyła, że wobec poprawy pogody, spodziewa się lada dzień gości ze stolicy i wtedy zrobi się u nich ciasno. Pan Halvor nie zrozumiał.

Doprowadzona do rozpacz, zmierzała wprost do celu:

– Jeżeli zatrzymuje pana tutaj brak pieniędzy, z przyjemnością pożyczę panu na podróż. Odeśle je pan przy sposobności, gdy przyjdzie panu ochota napisać do nas, jak mu się powodzi.

– O tym nie może być mowy – odrzekł dumnie, z podniesioną głową. – Okoliczności tak się złożyły, że nadużyłem gościnności pani, w większym stopniu niż tego pragnąłem; ale broń mnie Boże, ażebym miał uciekać się jeszcze do pani kieszeni. Jeszcze dwa dni i przestanę być dłużnikiem jej cierpliwości. – Głos mu drżał lekko, a cała postać nosiła piętno prawdziwie męskiego oburzenia.

– Czy sprawiłoby panu wiele kłopotu przeniesienie się na te kilka dni do wiejskiej gospody, ażebyśmy mogły uporządkować pokoje dla naszych gości? – powiedziała pani Berg, nie ufając już jego terminom. Że sprawa gości była drobnym kłamstwem, o tym wiedział równie dobrze jak ona, i to ją cieszyło. W ten sposób mógł się przekonać, że pragnęła go się pozbyć za wszelką cenę.

Zwróciła na niego spojrzenie, które uniemożliwiało wszelkie wybiegi.

Załamał się nagle w sobie. – Nie posiadam złamanego grosza.

– Przecież chcę panu pożyczyć – rzekła usposobiona łagodniej jego żalonym tonem.

– I żadnego miejsca na świecie, dokąd mógłbym się udać – głos mu drżał – żadnego kąta, gdzie mógłbym złożyć głowę. – Zatrzymał się, ukrył twarz w dłoniach i zaszlochał. Nie mógł

już dłużej panować nad sobą, kiedy wszystko rozpadało się w jego oczach, i sam już nie wiedział w jaki sposób ma egzystować. Całe ciało jego wstrząsane było łkaniem.

Pani Berg nie przypuszczała, że sprawa przyjmie taki obrót.

Czuła, że ten stan skruchy jest prawdziwy; tak udawać nikłby nie potrafił. Ale nie rozumiała tego, że młody człowiek może być tak bezgranicznie nieszczęśliwy, dlatego, że nie ma zabezpieczonego utrzymania – to jakoś nie licowało z młodością. Musiało być tam jeszcze coś innego, musiało to być uczucie osamotnienia, które go tak zmogło.

Jej surowość była częściowo sztuczna, teraz to się w niej załamało i uczucie macierzyńskie wzięło górę. Serce się rozdzierało, gdy patrzyło się jak taki silny, młody człowiek płakał, położyła więc rękę na jego ramieniu i pocieszała go. Gdyby wiedziała, że jego położenie było tak rozpaczliwe, nigdy by go nie namawiała do opuszczenia jej domu. Prosi go, ażeby zapomniał o tym incydencie i został u niej tak długo, dopóki nie znajdzie się jakieś wyjście. – Człowiek o takich zdolnościach i możliwościach jak pan, musi przecież prędzej czy później się wybić – powiedziała pocieszająco.

W niemej wdzięczności uściśnął jej rękę.

Kiedy się już do pewnego stopnia opanował, spojrzął na nią swym szczerym, ufnym wzrokiem i rzekł:

– Nic nie szkodzi, że widziała mnie pani płaczącego! W ten sposób dowiedziała się pani, co znaczy dla mnie znalezienie, choćby na krótko, przytułku w walce z życiem. Ból, jakiego doznaję, na myśl o konieczności opuszczenia tego domu, w którym spędziłem najlepsze chwile mego życia, powie pani więcej o mojej wdzięczności, niżby to były w stanie uczynić słowa.

Pani Berg zeszła na dół, a pan Halvor zbliżył się do stolika z tytoniem, ażeby po tym wstrząsie uraczyć się fajką.

Pani Berg śmiała się, zdając Heldze sprawę z wyniku swej misji:

– Jest się baranią głową, dając się powodować sercem. Teraz, prawdopodobnie nigdy go się nie pozbędziemy. Ale co to pomoże? Nie można go przecież wygnać stąd i pozwolić mu zginąć w przydrożnym rowie.

– To, co robi matka zawsze jest słuszne – odrzekła Helga.

XVI.

Była połowa marca.

Od Bożego Narodzenia kobiety prawie nie wychodziły poza próg. Przez miesiąc blisko, masy śniegu czyniły drogi niedostępnymi. Ale nawet wtedy, kiedy pogoda pozwalała na wyjście, zostawały w domu, gdyż lodowaty wiatr przeciągający całą zimę nad wzgórzami, przenikał je do szpiku, skoro tylko wytykały nos poza ochronny żywopłot, zmuszając do natychmiastowego powrotu.

Ale teraz nęciły je pierwsze zwiastuny zbliżającej się wiosny, rozpoczęły więc znów swe codzienne przechadzki.

Nocami jeszcze trwały przymrozki, ale w dzień słońce miało przewagę; z dachów zaczynało kapać, śnieg w ogrodzie topniał. A kiedy się odgarnęło śnieg z pod ogrodzenia, widniały tam już duże, białe pączki konwalii. Jedna z rodzin szpaków już wróciła i, dzień w dzień, prowadziła dziką wojnę z wróblami, które objęły w posiadanie skrzynię.

Helga się też zmieniła.

Nie była już tak zrównoważona jak dawniej, lecz potrafiła być zdenerwowana, lękała się byle czego i była skłonna do płaczu. Matka uważała to za anemię i przypisywała wiośnię.

Przedtem Helga nigdy nie miewała snów. Sen jej był tak zdrowy, że nie stanowił żadnej części jej istnienia; gdy się budziła rano, zdawało jej się, że dopiero co zamknęła oczy i często budząc się, kończyła zdanie, którego wieczorem nie dopowiedziała.

Ale teraz zaczęła miewać sny, i sny te były zawsze nieprzyjemne. W okresie zimy, zdarzało się nieraz, że we śnie jęczała i stękała, tak, że matka musiała ją budzić. Wtedy najczęściej śniło jej się, że jest żoną Jörgena Raga, lub, że on stoi przed nią i chce ją pocałować. Wiedziała przecież, że wówczas pocałowała ją Karen, a nie Jórger, i w dzień śmiała się ze swych snów. Ale przestach przeniknął jej w krew, to też było dla niej prawdziwą ulgą, że nie widziała Jörgena od Bożego Narodzenia. Codziennie oczekiwała jego wizyty i z przerażeniem spoglądała w jego okna, ale ciągle jeszcze były pokryte lodowymi kwiatami. Widocznie wyjechał, może nigdy nie wróci. Myśl ta bardzo ją uspakajała.

Jörgena istotnie nie było. Przez pierwsze dwa miesiące po Bożym Narodzeniu, w warsztacie nie było nic do roboty, i majster uważał, że zbyt drogo kosztuje żywienie chłopca, który włóczy się tylko z rękami w kieszeniach. To też użyczył mu wakacji, ażeby odwiedził swych krewnych. Wakacje te były postrachem chłopca. Daleko, na zachodnich ugorach mieszkali ubodzy krewni jego matki; tam znalazł nędzny przytułek, gdzie dostawał ogryzki kości. W zamian za to, musiał łątać wszelkie obuwie i uprząże, jakie tylko zdołali zebrać w okolicy, i wykonywać wszelkie możliwe roboty. To też kiedy powrócił z tych wakacji, był jeszcze chudszy i bardziej wyczerpany niż przedtem.

Ażeby zwalczyć blednicę, Helga robiła długie przechadzki.

Pewnego ranka przedsięwzięła sobie pójść bardzo daleko. Rowy i kałuże pokryte były cienką warstwą lodu, ale w lesie leszczyna obwieszona była żółtymi kotkami, tak wrażliwymi, że wznosił się nad nimi obłok kwiatnych pyłków, skoro tylko ktoś dotknął palcem łądygi. Tu i ówdzie, na czubkach pączków, widniały drobnutkie ciemnoczerwone kwiatuszki, podobne do rozwartych pyszczków. Wiedziała, że te kwiatuszki wsysały pył kotków i przyglądała im się ciekawie. Na pewno, w tym roku będzie urodzaj na orzechy, jeżeli tylko nocne przymrozki nie będą zbyt ostre. Na polach, śniegu już prawie nie było, natomiast ciągnęły się długie, kopulaste pasma ziemi, które kret wykopał pod śniegiem w ciągu zimy.

Była już daleko po drugiej stronie lasu, gdy spostrzegła jakąś męską postać, huśtającą się na wysokim żywopłocie. Mężczyzna miał tłumoczek na plecach, a jego długie ramiona

chwiały się w powietrzu. Zatrzymała się i zaczęła mu się przyglądać. Płot był taki wysoki, że cała postać profilowała na tle błękitu; tłumok wyglądał jak duży garb, zaś długie, rozhuśtane kończyny przypominały karykaturę i pobudzały Helgę do śmiechu. Ale nagle spostrzegła, że był to Jörgen Rag i, że przywoływał ją do siebie; przeleżała się i zaczęła biec.

Patrząc z ukosa, widziała, że biegł również. Nogi grzęzły mu w tłustej ziemi, a tłumok tańczył na jego plecach – musiała się więc znów śmiać, ale był to śmiech rozpaczony i przerażenia; przyśpieszyła biegu. Spódnice obijały się jej o nogi, co wywoływało wrażenie, że Jörgen już depce jej po piętach. W lesie zaczepiła się o kolczaste krzewy i wówczas zdawało jej się, że Jörgen ją schwycił i ciągnie w zarośla. Krzyknęła nieprzytomnie i zaczęła uciekać w dzikim pędzie; nic nie widziała ani nie słyszała, o niczym nie myślała, cała jej świadomość skupiała się tylko na jednym: wymknąć mu się.

Dopiero, gdy położyła rękę na klamce ogrodowej furtki, przyszła do siebie i obejrzała się. Wcale nie było go widać. Zawstydzona się i zaczęła chodzić po ogrodzie, w tę i tamtą stronę, ażeby uspokoić bicie serca. To była po prostu histeria — fe!

Weszła do domu; matki nie było. Przebiegła wszystkie pokoje, wołając: „Matko, Madame, pani matko, Anno!”

Poczuła ochotę do śpiewu i tańca, wzbierało w niej uczucie wiosny i, nucąc szukała czegoś w nutach. Gdzie się podziało „Przebudzenie wiosny”? Oto jest.

Zacząła grać i śpiewać.

Pan Halvor zszedł na dół.

– To ładna melodia i dobrze leży w pani głosie – rzekł i nachylił się nad Helgą, ażeby odczytać słowa pieśni. – Wiersz jest także dość miły, może w układzie słów zbyt zbliżony do prozy. Ale zakończenie zupełnie mi się nie podoba, sprawia wrażenie nieumotywowanie cyniczne.

– Nieumotywowanie cyniczne?

– Tak, albo rozmyślnie ordynarne. Czuje się w tym to coś wyzywającego, charakterystycznego dla modernizmu. Öhlenschlaeger nigdy nie zakończyłby pieśni o wiosnie w ten sposób. Według mnie, powinna pani ostatnią zwrotkę przekreślić lub jeszcze lepiej całą pieśń spalić.

I zaraz dodał:

– Poezja jest – a w każdym razie być powinna – środkiem, w ręku wybranych do wygrwania na strunach serc ludzkich uczuć najlepszych i najwznioślejszych. Ja sam, przy swoich ograniczonych możliwościach, starałem się zawsze mieć przed oczami tę złotą zasadę, zaś teraz więcej niż kiedykolwiek, należy trzymać wysoko sztandar idei.

– Więc to prawda, że pan pisuje wiersze?

– Wedle skromnych możliwości.

Helga i jej matka często widywały na jego stole papier z rozpoczętymi wierszami, ale gdy o to pytały, odpowiadał wymijająco. Dzisiaj, po raz pierwszy przyznał się otwarcie do swej żyłki rymotwórczej.

– Czy pan pisuje również opowiadania?

Zaprzeczył, z pobłażliwym uśmiechem.

Po jej twarzy przemknął cień rozczarowania.

– Czy pani woli opowiadania od wierszy?

– Tak, naturalnie.

– Ale wiersze są wyższą formą sztuki, zaś opowiadania tworzy się, jeżeli mogę się tak wyrazić, z odpadków poezji. Dopiero po wierszach poznaje się prawdziwego poetę; na przykład Christian Winter. Czy pani sądzi, że jego opowiadania przyczyniły się do jego sławy? Raczej mu zaszkodziły.

Helga milczała. Miała wielki szacunek dla poetów i wiedziała, że stoją ponad wszystkimi innymi istotami. Ale wiersze...

Kiedy pani Berg wróciła, Helga pobiegła jej naprzeciw, z okrzykiem:

- Mamo, czy mogę rzucić do pieca pieśń wiosenną?
- Nie skądże! Co też ci wpada na myśl?
- Pan Halvor mówi, że jest niestosowna.
- Co będziesz jego słuchała, on mówi niejedno.
- Ależ on sam jest poetą.
- Tak, ale jednym z mniejszych – wyraziła opinię pani Berg.

XVII.

Sąd kobiet o gościu, obecnie, kiedy jadł łaskawy chleb, był zupełnie inny. Jego oplakane zewnętrzne stosunki, wpływały na ich opinię o nim jako o człowieku; nie mogły już odnosić się do niego z dawnym szacunkiem, chociaż to nie wpływało na ocenę jego zdolności. Powinno go się traktować jako zapoznanego geniusza, lub coś w tym rodzaju.

Ciężarem dla nich właściwie nie był, gdyż nowy układ stosunków sprawił, że wyzbyły się wszelkich uciążliwych względów, wołając go, gdy pragnęły jego towarzystwa, i dając do zrozumienia, żeby się usunął, gdy miały go dosyć.

Było im przyjemnie mieć w domu coś w rodzaju wykształconego niewolnika, dostarczającego duchowej strawy, kiedy się nudziły! A nie dało się zaprzeczyć, że był zajmujący. Opowiadał świetnie, czytał dobrze i śpiewał bardzo ładnie, choć zbyt przy tym tremolował; pani Berg nazywała to „szmalcem”. Ale dawało to efekt komiczny i było miłym równoważnikiem dla sentymentalizmu wybieranych przez niego pieśni. Poza tym posiadał bogactwo idei, prawdziwie pięknych idei o uszlachetnieniu rodu ludzkiego; i tok jego myśli nigdy nie był ordynarny, czym się wyróżniał głównie z pośród innych mężczyzn. Ale i to może wywodziło się z jego pożałowania godnego braku energii.

On ze swej strony, zdawał się całkowicie uznawać taką sytuację i niczego nie wymagał, przyjmował jednak odpadki, które mu się należały. Był zawsze uważający i usłużny, starając się przypodobać obu kobietom.

Może czasami jego sytuacja była dlań bolesna, ale godził się z nią i tłumił zjawiające się okolicznościowo próby podniesienia głowy i wykazania męskiej godności. Na razie trzeba było zrezygnować i czekać na lepsze czasy.

Że kiedyś nastąpią, nie wątpił ani przez chwilę. Nawet w momentach najbardziej poniżających, czuł, że obie kobiety nie mogą całkowicie usunąć się z pod jego władzy. Zostaje przecież zawsze szacunek, który kobieta mimo woli żywi dla rodzaju męskiego, nie mogąc się nigdy z tego otrząsnąć. Szacunek mógłby zresztą być większy – uważał – i bywał taki przedtem. Ale i tutaj nowoczesne prądy w literaturze, grzebiące wszelkie atawistyczne przejawy szacunku, wyrządziły niepowetowaną szkodę.

Skutecznym środkiem do uniknięcia zbyt nie uprzejmego traktowania były jego częste ataki melancholii. Miał najmocniejsze przekonanie, że w głębi swej istoty był melancholikiem i że trzymał się tylko dzięki wielkiemu wysiłkowi. Czasami sam mówił o swych nieumotywowanych atakach przygnębienia i temu przypisywał udział swój w walkach i cierpieniach ludzkości. Nawet wtedy, kiedy jego melancholia wypływała z uczucia poniżenia, smutek jego przybierał wyraz takiej bezinteresowności, że obydwie kobiety odczuwały skrucę. Czasami zdawało im się, że w jego nieumotywowanym przygnębieniu, wyczuwają skutki wielkiego cierpienia na tle sercowym, i to działało na nie silniej niż jego troski o ludzkość; wtedy traktowały go ze specjalnymi względami.

Przy bliższym rozpatrzeniu, sąd ich o nim, z tego powodu właśnie, był dosyć różnorodny.

Matka była tą, która odnosiła się do niego bardziej sceptycznie i najuporczywiej twierdziła, że jest podupadłem indywiduum, gdy tymczasem Helga, której nie traktował z tak wyszukaną grzecznością, zachowała dlań jeszcze trochę ukrytego podziwu.

Ale pani domu również chwiała się ostatnio w swoim sędzie. Jeżeli naprawdę był poetą, a niektóre rzeczy wskazywały na to, to ten fakt wyjaśniał wszystko. Poeci – nie ci nowocześni, którzy jednocześnie sprzedawali sól i ryby lub dawali klapsy dzieciom szkolnym, lecz prawdziwi, dawni poeci, których pan Halvor tak wysoko stawiał – wszyscy, zanim odnaleźli siebie, przeszli przez okres burzy i naporu, w czym nie różnili się od zwykłych osobników i

próżniaków. Urywki, które przypadkowo widziała na jego stole, zdradzały również to lubowanie się cierpieniem, właściwe prawdziwym poetom.

Pewnego słonecznego, ciepłego popołudnia, w końcu kwietnia, obie kobiety siedziały przy południowej stronie żywopłotu, grzejąc się na słońcu.

– Jeszcze nie jest dostatecznie ciepło ażeby się położyć – powiedziała pani Berg i po raz siódmy wzięła do ręki robotę na drutach. Ale gdy zdjęła oczka z połowy drutu, odrzuciła robotę, dysząc z wyczerpania.

– Jesteś zbyt niestała, moje dziecko – powiedziała Helga, naśladowując głęboki głos matki. – Już czas, żebyś się wzięła w kupę i przestała być dzieckiem.

Matka wysunęła koniuszek języka, między czerwonymi wargami, i spojrzała na nią przekornie.

Helga chciała mówić dalej tym samym tonem, ale nagle zerwała się. Przy furtce spostrzegła Karen Petersen, więc pobiegła jej naprzeciw. Na ogród kładły się już cienie, udano się więc do domu.

Jens właśnie wrócił ze szkoły i Karen przyszła zaprosić matkę i córkę na uroczystość zaręczyn jego z Mettą.

– Więc targ został jednak ubity! A co mówi Jens?

– Oh, pozostawia decyzję ojcu.

– Posłuszny syn – powiedziała pani Berg, lekko drwiącym tonem i spojrzała na Helgę, która się zaczerwieniła.

Pani Berg była zawiedziona. Czy Helga naprawdę nie brała sobie tego już do serca?

– Dziękujemy, chętnie przyjdziemy, jeżeli tylko nic nam nie stanie na przeszkodzie – rzekła.

Karen przyciągnęła sobie mały stołeczek i usiadła u nóg pani Berg, oparłszy się łokciem o jej kolana i wspierając podbródek na dłoni. Lubiła siedzieć w tej pozycji, patrząc z podziwem w twarz młodej wdowy. Było w niej tyle do podziwiania; piękna, dumna postać, mądrość, zaczepne spojrzenie, a przede wszystkim to, że była mężatką.

Zaś pani Berg lubiła patrzeć w dół na to oblicze, o pełnym a jednak ładnym owalu, ujętym w ramy ciemnych, gładkich włosów. Spojrzenie jej spoczywało na pięknie zarysowanych łukach czarnych brwi, na ciemnej cerze prześwietlonej żarem krwi, przypominającej ciemnofioletowy aksamit, na niebieskich, trochę smutnych oczach, patrzących tajemniczo, jak ciche wody leśne, gdyż nie mogło się przeniknąć do dna, które być może znajdowało się tuż, a może – bardzo daleko. W myślach nazywała ją „pokutnicą”. Panią Berg dziwiło, że Karen miała tak mało przyjaciółek. Dziewczęta utrzymywały, że lubiła pochlebiać i narzucać się, aczkolwiek nigdy nie szukała towarzystwa innych, lecz przyjmowała je tylko, gdy się samo nadarzało. Może inne były zazdrosne, gdyż miała wielkie powodzenie u mężczyzn. Niejedna przyjaciółka oskarżała ją też o to, że stała między nią a jej ukochanym, ale Karen przyjmowała to milcząco, jak jagnię ofiarne, i tylko patrzyła smutnie swymi naiwnymi oczami.

Pani Berg знала te oskarżenia, i wielokrotnie, gdy zachodziło coś podobnego, próbowała wycisnąć z Karen wyznanie. Ale Karen stale patrzyła na nią wzrokiem, z którego promieniowało zupełnie oddanie się.

– No, jak stoją sprawy z ukochanym? – spytała pani Berg i pogładziła ją po włosach, macierzyńskim ruchem. – Czy przeprosił się z ojcem?

– Tak, ojciec zgodził się na nasze małżeństwo i Rudolf dostanie gospodarstwo.

– Więc kiedy będziemy mieli przyjemność stroić pannę młodą? Bo to uważam za swoje prawo.

– Po żniwach. Bo stary nie chce przekazać gospodarstwa, zanim żniwa się nie skończą. Chce sam zebrać plon, z tego co zasiał.

– Patrzcie, patrzcie, ależ umie liczyć. Więc jesteś pewnie zadowolona?

– Tak.

W twarzy Karen nie drgnął ani jeden rys, mogący dać wyraz jej szczęściu, jedynie wargi nabrały wilgotnego połysku i zdawały się pełniejsze.

– Jakże ona przypomina roślinę – pomyślała pani Berg – piękną, soczystą kalinę. Czy w ogóle jest istotą myślącą? Na pewno nie myśli tak jak my, ona jedynie odczuwa. Nie, nie jest Magdaleną, w każdym razie nie pokutującą.

– Może sprowadzimy pana Halvora, mógłby nam coś zaśpiewać – powiedziała Helga.

Nudziła się.

– Naturalnie, pobiegnij na górę i sprowadź go.

Pan Halvor zszedł i przywitał się z kobietami. Pani Berg spostrzegła, że Karen pozostawiła mu rękę w dłoni, dopóki jej nie wypuścił, poczym ręka opadła jak martwa.

– A zatem w stosunku do mężczyzn...? – pomyślała.

Pan Halvor miał znów swój okres melancholii. Zaśpiewał „Es war ein König in Thule”, ale z mniejszą dozą „szmalcu” niż zwykle jak się zdawało pani domu.

Zapalono lampy. Helga chciała, żeby przeczytał coś wesołego, ale przeprosił i złapał się za skroń.

– Powinien pan przeczytać jakiś własny utwór, w ten sposób spłaciłby pan dawne zobowiązanie – zaproponowała pani Berg. – Nie można stale chować światła pod korcem i zwozić bliźnich wykretami.

Pan Halvor siedział przez chwilę niezdecydowany. – Robię to bardzo niechętnie – rzekł wreszcie – lecz życzenie szanownej pani jest dla mnie rozkazem. – I udał się na górę.

– Jest poetą – powiedziała Helga do Karen.

Matka uśmiechała się niedowierzająco.

Pan Halvor zszedł znów na dół z kajetem i zaczął przerzucać kartki. Usiadł trochę na uboczu i czytał.

– To jest, naprawdę porywające – powiedziała pani Berg, gdy skończył, spoglądając nań z uznaniem.

– Czy pan to, rzeczywiście, sam napisał? – spytała Helga.

Uśmiechnął się pobłaźliwie.

Pani Berg siedziała przez chwilę zamyślona.

– Czy to... czy to jest wiersz osobisty? – spytała.

– Tak i nie! Proszę zwolnić mnie od odpowiedzi na to pytanie.

Pan Halvor czytał w ich oczach podziw, ale przyjął go z ujmującą skromnością. A ponieważ pani Berg nie mogła się powstrzymać od wyrażenia mu swego podziwu dla głębokiego nastroju, płynącego z poematu, zarówno w opisach przyrody, jak w stanach duchowych, – zaczął opowiadać o swych starych rodzicach, którym zawdzięczał wszystko, co dotychczas osiągnął. I gdyby doprowadził kiedykolwiek do czegoś większego, im należało się podziękowanie, zwłaszcza matce, gdyż po niej odziedziczył uczucie, podczas gdy rozum pochodził od ojca. I nie wdając się w bliższe osobiste szczegóły, starał się dowieść, że także w związku z poezją można powiedzieć: „Ręka poruszająca kołyskę, porusza ziemię!” – gdyż historia wykazuje w wielu wypadkach, że matki wielkich poetów posiadały bogate życie uczuciowe...

Trzy kobiety przysłuchiwały się, oczarowane, jego mowie i każda z nich widziała się w duszy matką wielkiego poety.

XVIII.

Pewnego upalnego czerwcowego popołudnia, Helga położyła się pod drzewami w zachodniej stronie ogrodu. Słońce piekło; ale nad wałem, na którym siedziała, wznosiło się sklepienie z listowia, w kilku kondygnacjach – olchy, jawory i wreszcie, na spodzie, niski krzak bzu w pełnym rozkwicie. Tworzył on rodzaj altany, z której można było widzieć pola i lasy. Trawa, na przestrzeni tej groty, była chłodna i świeża, a kiedy się w niej przebierało palcami, ziemia pod nią była zupełnie wilgotna. Cała przestrzeń, jaką Helga mogła objąć wzrokiem, była podzielona na pasy, jaśniejsze lub ciemniejsze, zależnie od tego, czy było to zboże, czy koniczyna, trawa czy pastwisko z łaciatym bydłem. Wprost przed nią leżało pole mieszanki, z którego codziennie przynosiło się coś do stajni na pokarm, a skoszone było już tak wiele, że można było przejść z „Klatki szpaków”, poprzez rżysko, aż do wyschniętego dna strumyka.

Matka poszła odwiedzić chorą Marję-polewaczkę, i Helga nudziła się. Wycinała scyzorykiem kępki trawy, przesadzała je i na chwilę zamykała oczy, ażeby później odszukiwać je z zapalem. Zwykle odnajdywała to miejsce, ale udawała przed sobą, że znaleźć go nie może, ażeby w ten sposób zabić czas. Właściwie była to zabawa we dwoje; jeden przesadzał kępki trawy, a drugi ich szukał.

Nagle odkryła, że powietrze wypełniał jeden długi brzęczący dźwięk. Prawdopodobnie istniał on cały czas, tylko nie spostrzegła tego wcześniej. Że też można było tak długo być głuchą na te dźwięki, i nagle zaczynało się je słyszeć.

Spojrzała w górę. Krzak bzu, nad jej głową, cały był usiany owadami, które pokrywały kwiaty, pełzały po nich, wlatywały w górę i znów siadały, tworząc wielokształtne rojowisko. Jakże były zajęte! Niektóre stały na głowach w głębi kielicha, wysysając słodki płyn, poczym zwolna wyciągały górną część tułowia, pokrytą całkowicie żółtym pyłkiem kwiatnym. Komar usiadł Heldze na ręce. Próbowwała go zdmuchnąć, ale komar usiadł znowu i uczepił się mocno przy pomocy czegoś, co było tak nikłe, że Helga wcale nie mogła tego dojrzeć. Pozwoliła mu pozostać, ale gdy ją ukłuł, zadusiła go.

Gdyby tak mieć coś do ogryzania! Tam wśród mieszanki rósł również zielony groszek, ale trzeba by było wstać i udać się po niego. Żeby już zwieziono żyto po drugiej stronie strumyka, można by było dostać się do lasku, idąc na przelaj, i oszczędzić sobie nudnego okrażania.

Żar migotał nad polami i fale gorącego powietrza przyływały do Helgi. Raz dolatywał powiew z góry, przynosząc zapach bzu, to znów przemykał pod drzewami, przywiewając zapach róż z ogrodu, lub uderzał w nią z drugiej strony, z daleka, gdzie wyrobnik z powagą nawoził swe pastwisko. Było to dosyć daleko, ku zachodowi, ale można go było wyraźnie widzieć; miał pałkowate nogi i krzywe łokcie, z białymi łatami na rękawach. Był zupełnie podobny do małego jamnika.

Pusty wóz po sianie toczył się polną drogą od strony folwarku, tłuste klacze biegły bokiem z rozwianymi grzywami, odepchnięte od dyszla przez swe grube brzuchy, a długonogie źrebie dążyło za nimi, z wiejącym ogonem. Wysoko na wozie siedział parobek i dziewczucha, rzucani w górę i w dół, przy silnych wstrząśnięciach, którym podlegał wóz, na wyboistej drodze.

Zatrzymali się tam, gdzie żęto mieszankę; parobek zszedł z wozu i pomógł zejść dziewczusze, której spódnice fruwały. Helga stwierdziła ze zdziwieniem, jak była lekko ubrana. Żrebak natychmiast podbiegł do matki i uderzył ją mocno pyskiem w wymię, kołysząc przy tym równomiernie ogonem. Parobek ostrzył kosę, aż rozlegało się po polach, i żął zamaszystymi ruchami zielone zboże, podczas gdy dziewczyna zniknęła w łożysku strumyka. Znowu się ukazała otrząsając spódnice, i oboje zaczęli ładować.

Kiedy chcieli pojechać dalej, nie mogli oderwać źrebięcia od wymienia matki, więc parobek uderzył go drzewcem wideł po grzbiecie. Skoczyło w bok, wierzgnęło kilka razy swawolnie i zaczęło galopować po polu, aż ziemia wylatywała mu z pod kopyt, wielkimi bryłami. Potem nagle zatrzymało się, powstało chwilkę z podniesioną głową, rozglądając się bacznie i ruszyło spokojnym kłusem w kierunku stoku, na którym siedziała Helga. Ostatnie kroki zrobiło, płasząc poważnie i kiwając przy tym głową, Helga odpowiedziała mu również kiwnięciem, zdobyła się na odwagę i zerwała trochę trawy. Jadło z jej ręki, skubało zwisające liście i targało ją za ramię. Poczym poruszyło wargami i chuchnęło na nią ciepłym oddechem, zmieszonym z zapachem trawy, wprost na twarz i odsłoniętą szyję. Śledziła błyszczącymi oczami wszystkie jego ruchy, klepała go po szyi, i pozwoliła łechtąć się miękkim pyskiem po dłoni. Ale nagle, źrebię spostrzegło, że wóz odjechał, wparło wszystkie cztery nogi w ziemię, tak mocno, że bryłki ziemi prysnęły Heldze na fartuch, i puściło się galopem.

Wodziła za nim oczami, dopóki nie przepchnęło się przed wozem przez wrota.

Potem podniosła się, otrząsnęła suknię, tak jak to widziała u dziewczyny nad strumieniem, spróbowała chwytać wargami liście, jak źrebię i namyślała się, czy ma jeszcze wejść w zboże, na poszukiwanie strączków. Na twarzy jej ukazał się rys zastanowienia.

Usiadła z powrotem i z roztargnieniem spoglądała na szpaki, które w poszukiwaniu liszek i owadów przemykały nad polami. Co chwila jakiś szpak przelatywał nad jej głową, upał przynosił jej ledwie dostrzegalne, prostopadle zwisające przedziwo, które kładło jej się na twarzy i szyi, powodując uczucie mrowienia. Na jedynym źdźbłe owsa przykucnął trznadel, kołyszając się w górę i w dół. Szpak tuż przed nią wypuścił coś białego, wznosił się i opadł, zataczając dwa długie łuki; słońce błyszczało na jego szarych i błękitnych, metalicznie lśniących piórkach. Poczym odleciał, znacząc swą drogę prostą linią.

Gdyby tak umieć fruwać, unosząc się spokojnie na skrzydłach, zawisnąć w miękkim przestworzu i spoglądać na dół. Pofrunęłaby na lipę i zajrzała, co porabia pan Halvor.

Że też przy takiej pogodzie, mógł siedzieć na górze i czytać wiersze lub je sam tworzyć, zamiast zejść na dół. Nic sobie nie robiła z jego wierszy, brzmiały tak samo, jak wszystkie inne, jak pappe-lappe, itte-ditte, jak paplanie małych dzieci. Wiersze były zresztą dobre, matka je przecież chwaliła, a gdy czytał, spoglądał zawsze tak, jak gdyby był w kościele.

Był na górze, słyszała jak suwał krzesłem, kiedy się podnosił, ażeby splunąć przez okno. Mężczyźni spluwali zawsze, to musiało pochodzić z nadmiaru siły. Naprawdę, nie był ani trochę grzeczny, wiedział przecież, że ona jest w domu i nudzi się.

Siedział pewnie, z ręką zagłębioną w pukle włosów, i tworzył lub myślał coś pięknego, albowiem zawsze myślał o rzeczach pięknych. Mogła dokładnie widzieć jego kark, na który opadały loki, oraz pełną szyję, znikającą w kołnierzyku; czasami miała ochotę dotknąć jego szyi, tylko troszeczkę, kiedy przechodziła obok jego krzesła. Ale – było to naprawdę zadziwiające – w danej chwili wcale nie umiała wyobrazić sobie jego twarzy.

Byłoby zabawnie wrzucić mu coś przez okno i napędzić w ten sposób strachu. Jeżeliby chodziło o nią, na pewno by się odważyła, tylko matka... chociaż matka, phi... matka też ostatecznie nie była taka surowa.

Nagle zadrżała. Szpak wydał ostry krzyk przerażenia, widocznie do szpaleru zakradł się kot. Wybiegła na drózkę, ażeby go przegnać.

Kota nie było nigdzie widać, ale na jednej z lip siedział szpak z nastroszonymi piórami, rozstawionymi skrzydłami i otwartym dziobem, krzyk jego rozbrzmiewał jak skrzywienie drewnianej śruby. Przyczyną tego zdenerwowania były szerokie plecy pana Halvora, zasłaniające cały otwór okna. Helga spojrzała w górę, poczym powlokła się ścieżką ogrodową, mimo woli naśladując chód Halvora. Wyprostowana, z nieco pochylonym karkiem, przechadzała się małymi poważnymi kroczkami po ogrodzie, schwyciła się z pewną przesadą za szyję, jak gdyby chcąc wyczuć, czy kołnierzyk trzyma się jak należy, i śmiejąc się znów wbiegła do grotty.

Tutaj posiedziała chwilę, gruchając jak gołąb, dąsała się, gdy jej właśnie wpadło na myśl, że jest w złym nastroju, lub wyglądała przez dziurę w płocie, ażeby się przekonać, czy pozna przechodzących, po nogach.

Poczym usłyszała, jak pan Halvor chrząkał i pluł. Bu-ums!... Na-aaa-prawdę, więc on pluje przez okno! Uff, tego nie mogła znieść, przecież mógł komuś napluć na głowę. Ale matka uważała to za coś ujmującego; wie się przynajmniej, że w domu jest mężczyzna, mawiała. Wkrótce Helga usłyszała jego kroki na schodach; wyskoczyła z groty i zaczęła zajadać zielony agrest z krzaków.

Pan Halvor podszedł do niej: – Smakuje? – spytał.

– Niech pan spróbuje.

Wyciągnął rękę po jagodę.

– Nie, nie tak! Proszę otworzyć usta.

Namyślał się chwilę; poczym stanął przed nią i otworzył szeroko usta.

Odstąpiła parę kroków i celowała kilkakrotnie, ale opuszczała rękę, nie rzuciwszy. – W pana twarzy jest coś tak szczerego – rzekła, rzuciła jagodę na ścieżkę i zaniósła się śmiechem. Zmarszczył brwi i milcząco poszedł swoją drogą.

Ale później żałowała. Gdyby był się nie rozgniewał; ale nie mógł znieść, kiedy się z niego śmiano.

Przekładała sobie, jak to urządzić, żeby się z nim pogodzić, a siebie ukarać. Może, przez uproszenie go, ażeby odczytał jej któryś ze swych wierszy? Nie, to już lepiej wolała wziąć jego kurtkę i, bez jego wiedzy, zeszyć rozdarcie pod rękawem. Wtedy nie będzie mu to już przeszkadzało; teraz trzyma zawsze jedną rękę w ten sposób, jak gdyby była sztywne, ażeby nikt nie spostrzegł tego rozdarcia.

Furtka ogrodowa zaskrzypiała i Helga pobiegła naprzeciw matce. Natychmiast opowiedziała jej zajście z panem Halvorem. – Czy powinno się obrażać z powodu każdego żartu?

– Jest i tak dość drażliwy – powiedziała gospodyni – i widzi obrazę tam, gdzie jej niema. Ale same jesteśmy winne jego nieufności, gdyż często nie miałyśmy dla niego względów, których wolno mu było wymagać. Musimy teraz uważać, żeby nie zamykał się zbyt w sobie; wrażliwe natury czynią to często.

XIX.

Tego wieczoru trzeba było dwa razy wołać pana Halvora do stołu, zanim usłyszał. Przy stole był milczący, zaś oczy jego miały uduchowiony, cierpiący wyraz. Wyglądał, jak gdyby myśli jego błądziły w wysokich, chmurnych regionach, i matka i córka tłumiły swą wesołość. Nie towarzyszył im też, jak to bywało ostatnio, na wieczorną przechadzkę, lecz udał się zaraz na górę.

Helga odetchnęła z ulgą. – Na pewno jeszcze ciągle się gniewa – rzekła.

– Albo tworzy, albo myśli o czymś pięknym – dodała matka. Było to ich zwykłym sposobem wyrażania się, zawsze, kiedy Halvor był w nastroju podobnym do dzisiejszego.

Helga wyszła pierwsza, ale natychmiast wbiegła z powrotem. – Przed furtką znowu stoi zwariowany chłopak od szewca – rzekła z odcieniem strachu i zdziwienia w głosie. – To jest po prostu szaleństwo, sądzę, że zaczyna na mnie formalnie polować.

– Niech sobie stoi – rzekła matka uspokajająco. – Wkrótce mu się to znudzi.

Przed furtką stał Jörgen i szczyrzył zęby przypochlebnie. Wobec złego spojrzenia pani Berg, cofnął się na drogę, ale szedł za nimi w pewnej odległości, przez spory kawał pola.

– Na szczęście, jest tchórzliwy – powiedziała pani Berg.

– Tak, kiedy ty jesteś przy tym; ale kiedy indziej podchodzi do mnie zupełnie blisko i robi najokropniejsze miny. Jest przekonany, że mnie zachwyca. – Helga, pomimo to, musiała się śmiać.

– To się wkrótce skończy. Wczoraj rozmawiałam z jego majstrem; powiedział mi, że będzie musiał wkrótce oddalić tego chłopca, gdyż w ostatnich czasach nie można na nim wcale polegać, a czasem nawet zupełnie psuje robotę, i to tylko ze złej woli.

Wyszły na drogę. – Mamo, sądzisz, że pan Halvor będzie kiedyś wielkim poetą?

– Tak, na pewno.

– Jego charakter pisma jest tak śmiesznie okrągły – powiedziała Helga w zamyśleniu.

Tarcza słoneczna dotykała na północno-zachodzie skraju lasu; była okrągła i płaska, jak gdyby naprawdę opierała się na kancie lasu. Nie rzucała już cieniów, lecz żarzyła się płomiennie, niby okrągły węgiel. Można było teraz swobodnie w nią spoglądać, ale gdy się kierowało wzrok w drugą stronę, gdzie pola tonęły już w mroku, wszędzie pływały małe, złote słońca na fioletowym tle.

Kobiety szły szybko naprzód, Helga z rozchylonymi ustami. – Zamknij usta dziecko – rzekła matka.

– Inaczej serce ci wystygnie – dokończyła Helga. – Nie, spójrz jakie to niezwykle! – Wskazała przed siebie.

Powietrze zdawało się stawać coraz jaśniejsze, tylko tuż przy ziemi było ciemno. Przedmioty były widoczne dopiero w pewnej odległości od powierzchni ziemi, zaś przejście od ciemności do światła było tak ostre, że wyglądało, jak gdyby przedmioty wynurzały się z czarnej cieczy.

Naprzeciw nim szedł ktoś; poznały po zarysach, że była to kobieta. Od kolan wzwyż postać jej jarzyła się w czerwonym odbłasku, rzucanym przez zachodzące słońce. Gdy znalazła się w pobliżu nich, pani Berg poznała ją po kołyszącym chodzie. „La Madeleine” – szepnęła do Helgi.

Odwróciły się i ujęły ją z obu stron, dotrzymując jej towarzystwa. Ale krok Karen stał się dla Helgi wkrótce zbyt powolny, puściła jej ramię, zużywając uzyskany czas na małe wycieczki, to w jedną, to w drugą stronę.

– No, jak tam się powodzi ukochanemu? – spytała pani Berg, gdy Helga je opuściła na chwilę. Nie wpadło jej na myśl, że nigdy nie mówiła z Karen o niczym innym.

Wobec tego, że Karen milczała, pani Berg powtórzyła pytanie, myśląc, że dziewczyna nie dosłyszała. Ale gdy Karen dalej nie odzywała się i spuściła głowę, domyśliła się czegoś niedobrego; stanęła, ujęła twarz dziewczęcia obiema rękami i przybliżyła do swojej twarzy. Karen spojrzała na nią oczami konającej sarny.

– Skończone? – spytała pani Berg żalnym głosem.

– Tak. – Było to zaledwie tchnienie.

– Zupełnie, zupełnie skończone? Ależ dlaczego?

– Już mnie nie chce – szepnęła Karen.

– Staraj się go odzyskać, staraj się by cię znów pokochał. Jesteś przecież piękna – w takich wypadkach ryzykuje się wszystko, słyszysz – w s z y s t k o! – Pani Berg była podniecona.

Karen odwróciła twarz.

– Tak więc jest z tobą – rzekła pani Berg cicho. – Biedne dziecko! – i pocałowała ją. Karen stała z opuszczonymi rękami i pozwalala się całować, patrząc jej tylko w oczy ze smutkiem.

Pani Berg czuła, że Karen potrzebna była pociecha, ale nie wiedziała, co ma powiedzieć. Poczwała ulgę, kiedy doszły do furtki i Karen się pożegnała.

– Sądziś, że jest nieszczęśliwa? Jest taka dziwna, taka... już wiesz. I nigdy nie cofa ręki, kiedy mówi dobranoc. W końcu było mi zupełnie głupio, tak jak gdyby ta ręka miała upaść na ziemię, gdy się ją wypuści. Jest strasznie miła – i śliczna. Uważam, że jest najładniejsza po tobie. Ale wiesz, jest taka, jak gdyby rozglądała się za jakimś miejscem, gdzie mogłaby się położyć. – Helga mówiła dalej w tym sensie, kiedy zapalały lampy.

Pan Halvor, naprawdę, był obrażony, dlatego nie chciał pójść razem na przechadzkę. To jest, właściwie, uważał się tylko za zasmuconego. Czuł ból nie ze względu na siebie samego, lecz – na pannę Helgę, jej matkę, i stopniowo cierpienie jego obejmowało całą ludzkość. Ach, tak – było jeszcze dużo, dużo do przezwyciężenia.

Doznawał pragnienia samotności – przebywania z samym sobą. Uległ jednemu ze swych ataków „Weltschmerzu” i serce jego przepelniał nastrój liryczny. Schwycił za pióro i papier. I z piórem w ręce, pochylony nad pustą kartką papieru, siedział i myślał o czymś pięknym.

Myślał o panie Heldze i jej matce – dwóch najlepszych kobietach, jakie zdarzyło mu się spotkać w życiu, o przytulnym małym domku, który stanowił ich własność i o tym jak wiele tysięcy nazywały swoimi. Były serdecznie dobre, miały prawdziwą kulturę serca, ale nie posiadały życiowego doświadczenia. I jak lekkomyślnie obchodziły się z pieniędzmi! Rozdawały je bez wyraźnego powodu, kiedy im się zachciało. (Między innymi było to też zachowanie się ich względem niego, które upoważniało go do podobnego myślenia, ale na to, oczywiście, nie wpadł). Potwierdzały złotą zasadę, że kobietom nie powinno się powierzać pieniędzy...

Panna Helga, w gruncie rzeczy, była niezwykle dobrą dziewczyną, ale wymagała wychowania, odpowiedniego kierunku. W domu brak było mocnej męskiej ręki. Zresztą, robiła postępy, i nawet znaczne. Tutaj leżało zadanie, piękne zadanie, dla mężczyzny, który nie stawia sobie w życiu wyższych celów. Jego samego mogłoby to nęcić, gdyby nie fakt, że dla niego oznaczałoby to wymianę jego wartości na zdawkową monetę.

Ale pokora nie szkodzi, nikt nie powinien być tak wielki, ażeby nie móc wyobrazić sobie siebie na skromniejszym stanowisku. I pół żartem, pan Halvor zaczął rozmyślać o rozwiązaniu tego zadania.

Pierwszym założeniem byłoby poślubić panią Berg, ażeby panie Heldze dać ojca, którego od dawna potrzebowała. Ale Helga była dość dorosła, by móc usunąć się od wpływu domowego ogniska, i co wtedy? Nie, w tym wypadku, jedynym rozwiązaniem byłoby poślubić ją samą. Dopiero wtedy, osiągnęłoby się właściwy wpływ na nią i dałoby się treść jej życiu

motyla. Daleko i wysoko by ją zaprowadził! Jak wiele mogłaby z nim dzielić! I w ten sposób pieniądze byłyby należycie zastosowane, jako środek do celu.

Niektórzy nie uważali tego za rzecz godną mężczyzny żyć z pieniędzy kobiety – i musiał przyznać im słuszność. Rozpatrywane jako rzecz sama w sobie, wydawało mu się to ordynarne, nawet – brutalne. Co się tyczyło jego, mógł przecież pracować, przyjąć jakieś przyjemne stanowisko społeczne, które przynosiłoby znacznie więcej, niż im dwojgu potrzebne było na życie. Ale wtedy dzień mijałby w ciężkiej pracy poza domem, i zadanie musiałoby być zaniebawiane. Bez względu na to jak małostkowe byłoby małżeństwo dla pieniędzy, równie naganne byłoby unikanie go, przez wzgląd na możliwość fałszywego tłumaczenia. Zaś codzienne obcowanie stawało się koniecznością, o ile się pragnęło, ażeby nasza osobowość wywierała wpływ na otoczenie.

Następnie, ująć mocno cugle i zrobić koniec z tym niemoralnym wyrzucaniem pieniędzy, na prawo i lewo, bez sensu i zrozumienia. Pieniądze powinny być środkiem do dostarczania piękna i wygody, wina na stół i zimowych podróży do stolicy – może na południe. Zaś dla siebie samego pragnął jedynie futra na zimę i długich fajek, innej na każdy dzień tygodnia, ażeby można je zmieniać.

Pomału nastrój jego poprawiał się. Było to właściwie śmieszne, że duch, ażeby wypocząć, musiał zajmować się takimi niedorzecznymi drobiazgami! Ale nie dawało się zaprzeczyć, że było coś niebezpiecznego w oddawaniu się w podobny sposób w moc tych realistycznych rojeń. Czuł, że natura mniej silna niż jego, w takim wypadku, nie zwalczyłaby pokusy.

Słyszał jak kobiety w przedśionku śmiały się i gawędziły, zszedł więc na dół.

– Och, powinien był pan widzieć nadzwyczajną grę światła dzisiejszego wieczoru, w sam raz coś dla poety. Po prostu nadzwyczajne! – i pani Berg zaczęła opisywać mu zachód słońca.

– Co też pan robił przez cały taki cudowny dzień, panie Halvor? – spytała Helga.

Pan Halvor spojrzał na nią znacząco.

– Oczywiście, pisał – odpowiedziała matka. – Czy nie można by usłyszeć pańskiego utworu, panie zdobywco niebios?

– Tym razem przeczytam go paniom tym chętniej, że czuję, iż szczęście dopisało mi w stopniu niezwykle wysokim. I to pomimo, że próbowałem nowego dla siebie i trudnego rodzaju. – Poszedł na górę.

Kiedy powrócił i usadowił się wygodnie w fotelu, zaczął opowiadać, w jakich okolicznościach powstał utwór; był to wstęp do zrozumienia go. Przez całe popołudnie czuł, że nadciąga poważny atak przygnębienia, a nad wieczorem uległ nastrojowi gniotącej melancholii. Wtedy napisał wiersz:

– I to panu ulżyło? – spytała pani Berg.

Pan Halvor nie znosił tego wyrażenia: „ulżyć sobie”, przypominało mu to zanedo zatarzenie.

– Spisałem sobie ciężar z duszy – powiedział. – Właśnie skończyłem, kiedy panie przyszły.

– A Helga myślała, że pana obraziła.

– Obraziła? Bynajmniej, Ale zgodzę się, że powinienem był pozostać wśród swoich czterech ścian. W takim stanie, człowiek czuje się między ludźmi tak, jak pies w kręgielni.

Poczym czytał:

– „Kto wędruje nocami...”

– Czy to są wiersze? – spytała nagle panna Helga.

– To jest liryczna proza – odparł, z lekka marszcząc czoło.

„Kto wędruje nocami, nie wędruje samotnie – tysiące sympatii towarzyszy mu wśród ciemności, niby hufiec straży niebieskiej.

„Kto wędruje nocami, nie jest opuszczony – wszystkie istoty przeczuwają go, oddychając łagodniej, wprzegają go w swoje sny.

„Pozdrowiony niech będzie ten, kto nocami płacze i modli się. Gwiazdy niebieskie płaczą z nim razem, a modlitwa jego zaniesiona zostaje przez ciszę przed tron Przedwiecznego. Albowiem Bóg jest wśród wielkiej ciszy wszystkich nocy.

„Błogosławiony niech będzie ten, kto nocami się smuci! Duchy nocy ukoją ból jego duszy, a serce jego napęlnią harmonią tęsknoty. Gwar dnia rozprasza obciążonego cierpieniem, zaś cisza nocy zamienia smutek w szlachetny czyn. Z cierpienia powstają najwznioślejsze chwile życia.

„Biada temu, kto nie zna cierpienia – nie wie on też nic o radości. Tylko głębią cierpienia można zmierzyć słoneczne szczyty radości! Bądź pozdrowiony, bólu! nie boję się ciebie nigdy; dusza moja drży w oczekiwaniu twego przyjścia, jak kochanek drżący w nieskalanej tęsknocie za ukochaną. Ty, stoisz surowy ale czysty w moim wspomnieniu!

„I tylko niewielu znało cię tak jak ja. Po nocach, kiedy sen mnie odbiegał, rzucaliśmy się na posłanie, ja i ty. Mocnym uściskiem objęci, walczyliśmy, a ja przyciskałem cię z szaleńczą siłą, w próżnej nadziei wydarcia ci jedynej rzeczy, której dać nie jesteś w stanie – radości. Walka była ciężka.

Ale ty wychodziłeś z niej cało. – Bądź pozdrowione, cierpienie! Ty jedynie widziałeś upadek moich ideałów; inni widzieli tylko ich groby, po których deptali. Pozostajesz surowe, ale nieskalane w mej pamięci!

„Wspomnienie jest promieniem słonecznym, przedzierającym się przez zieleń liści i śpiew ptasząt na dno lasu, ażeby ucałować delikatną młodą roślinkę i wysuszyć łzy jej oczu.

„Wspomnienie jest cichą, przytłumioną melodią strumyka leśnego, sączącego się poprzez wilgotne kamienie i długie chłodne cienie – hen, do szczęśliwego kraju przeszłości.

„A czasami jest ono również hymnem, marszem zwycięstwa i radosnym pochodem – grzmiącą pieśnią bojową, zagrzewającą do nowych pochodów krzyżowych. Takim trójdźwiękiem rozbrzmiewała nieraz pieśń wspomnienia w otwartych ranach serc ludzkich.

„Ale wspomnienie o tobie, ty, mego serca towarzyszu, jest nocą pod ciemnoszafirowym niebem – jedną z tych nocy, kiedy rozsądek drzemie i elfy wiodą taniec! Noc, z księżycową poświatą i migocącymi gwiazdami, połyskującymi poprzez śpiące lasy bukowe i gałęzie jodeł. Zaś na dnie spoczywa kwietnik mej duszy, bujny i chłodny, spoczywa i czuwa, oczekuje i przeczuwa. Słowik słodko śpiewa w zaroślach, a woń kadzidła unosi się z kwiatów i łądyg.

„Potem spływasz ty na szerokich, do białości rozpalonych skrzydłach i rosa znów pada, gdzie przynosisz swój cień, a niema skarga ludzi unosi się w cichych poruszeniach twych skrzydeł. Ale czoło twe jaśnieje błogością, ptaszkiwie leśni siadają na twych rozpostartych skrzydłach a anemony obejmują i całują twe mlecznopalce stopy. A ja rozwieram ramiona, w tęsknocie za tobą, ty wybrańcze mojej duszy.

„Potem pochylasz się nade mną, i całujesz me usta. I w duszy mej otwiera się zrozumienie misterii nocy i ukrytych cierpień głębi. Słyszę, jak ciemności rosną, słyszę modlitwę pyłu i westchnienia żyjących, kiedy we śnie przewracają się na posłaniu. Rozumiem dreszcz przebiegający poprzez drzemiący las, i przed moimi czuwającymi oczyma tańczą wokół smukłych pni, zagadki świata, wyzwolone, w całej swej nagości.

„Bądź pozdrowione, cierpienie! To, co w moim życiu jest najlepsze, zawdzięczam jedynie tobie!"

Gdy skończył, zaległa głęboka cisza. Pani Berg wydawała się wzruszona, Helga walczyła z czymś! – Co to jest mleczone palce? – wyrwało jej się nagle.

– Mlecznopalce... jest to poetyczne wyrażenie dla określenia białości stóp. – odparł Halvor z godnością.

– Utwór jest piękny – powiedziała pani Berg – tylko taki beznadziejny, taki tęskny. Czy nie może pan pisać o czymś jasnym i miłym, co przecież też na świecie istnieje – poemat o radości? Ale pan na pewno kiedyś bardzo cierpiał!

– Gdyby zależało to ode mnie, łaskawa pani, pisałbym tylko ku czci i chwale radości. Ale czy mogę przeszkodzić temu, że walki i cierpienia ludzkości znajdują oddźwięk w mej duszy i czynią mnie smutnym? Jest to jak z przyływem i odpływem; kiedy księżyc po oceanach ciągnie wód głębie i zwały, w najodleglejszych nawet zatokach odczuwać się daje wznoszenie i spadek.

– Czy pan przypuszcza, że cierpienia ludzkości znajdują oddźwięk w każdym człowieku?

– Nie, niestety. To wymaga jasnowidzącego, czujnego umysłu, A karierowicz, praktyczny zjadacz chleba, który uważa siebie za ośrodek bytu, jest obowiązkowo na tym punkcie przytępiony. Stąd tyle brutalnego egoizmu!

– A jednak, dlaczego „niestety” – dodał zaraz potem. – O wiele szczęśliwiej i spokojniej żyją ludzie, których dusza kryje jedynie codzienne troski i drobne potrzeby.

Czy wiele cierpiałem, pyta pani? Tak, dlaczegóż bym nie miał się przyznać, że w życiu moim istniał, wielki, błogosławiony ból. Wobec tego, że rana jest już od dawna zamknięta i mogę o niej myśleć bez goryczy, wolno mi nazwać to zdarzenie zbawieniem, aczkolwiek chodzi o kobietę, która była bliską memu sercu, i wszystko co jest we mnie najlepszego i najdelikatniejszego pewnego dnia bezpowrotnie porzuciła.

Byłem wtedy jeszcze młody i bardzo niewinny, a ona była ładna, co dla mnie było równoznaczne z dobrocią. Wtedy byłem jeszcze tak niedoświadczony! Według zwykłych pojęć, była ona pewnie dobra i wierna – i przeżyliśmy ze sobą jedno szczęśliwe lato. Potem, udałem się do stolicy i doznałem nowych wrażeń; pojęcia me uległy całkowitej zmianie i prędko oswodziłem się z tego, co odziedziczyłem po przodkach – zacząłem samodzielnie myśleć. Ale wtedy okazało się, że ona nie mogła mi dotrzymać kroku. Nie miała odwagi opuścić wszystkiego i pójść za mną, przeciwnie – zgadzała się z chórem starców, gotowych zawsze przepowiadać młodzieży nieszczęścia, skoro tylko szuka ona nowych dróg, zamiast wstępować w ich ślady.

– I wtedy wycofała się?

– Do tego zbrakło jej odwagi, chociaż w rzeczywistości ona rozwiązała ten stosunek. Zerwałem powierzchowne więzy i zwróciłem jej wolność.

Pan Halvor zamyślił się. Po chwili znów ciągnął dalej:

Była to dla mnie klęska. Zewnętrznie godziło to tylko w moją młodzieńczą próżność, ale biorąc rzecz głębiej – podrywało moje zaufanie do ludzi. Pomimo to jednak, nikt nie może z większą słusnością mówić o błogosławieństwie klęski. Wraz z cierpieniem, trysnęły źródła mojego wewnętrznego ja; był to dla mnie chrzest ognia, wyświęcenie mnie na kapłana poezji. Przedtem składałem rymy, ale dopiero od tej chwili odnalazłem w płodach mego ducha niezaprzeczalny ton prawdy.

– Otrzymałem dar cierpienia i stałem się skaldem – powiedziała pani Berg cicho. Na twarzy jej malował się wyraz wzruszenia i przejęcia, jak gdyby oczyma duszy przenikała zewnętrzną skorupę i jak gdyby ukryte przyczyny leżały przed nią obnażone, jasne jak słońce.

Pan Halvor zdawał się nie słyszeć jej uwagi. – I gdy dojrzałem w tym palec Opatrzności, nietrudno mi już było odzyskać zaufanie do ludzi.

Pani Berg „zbudziła się”. – Więc pan wierzy w Opatrzność? – spytała.

Tak, wierzę – odrzekł pan Halvor z jasnym uśmiechem. – Bywały okresy, kiedy rządziło mną jałowe zwątpienie. Ale już obecnie, gdy spoglądam wstecz na swoje życie, mogę w nim rozpoznać kierowniczą rękę Boga. Jeżeli tak wiele talentów, mego pokolenia, samych przez się wybitnych, nie wyszło jeszcze z chorób dzieciństwa, lecz dalej brodzi w zwątpieniu i przeczeniu, to – według mnie – powodu szukać należy w tym, że życie jeszcze ich dostatecznie nie schwyliło za kark. U niektórych, może dlatego, że sami są zbyt powierzchowni. Brak powagi jest w ogóle chorobą naszego wieku.

– Ale pan nie chodzi przecież do kościoła – zaproponowała Helga.

– Kościół, panno Helgo, obliczony jest na masy, na najszersze warstwy, którym potrzebna jest podpora i kierunek. Intelktualista uznaje znaczenie kościoła dla ludu, sam jednak woli chwalić Boga w ukryciu.

Zaczynało już dzień, kiedy podnieśli się, ażeby udać się na spoczynek.

– Spójrz tylko, jak jest jasno – rzekła Helga, gdy zgasła lampę.

– Tak, on jest czarodziejem – odpowiedziała pani Berg – ale jak bardzo musiał cierpieć!

XX.

Pani Berg stała przy furtce i kiwała głową Halvorowi i Heldze, którzy, trzymając się pod rękę odchodzili gościńcem. On ubrany był w ładny, jasny letni garnitur, zaś Helga była cała w bieli. Czasami podskakiwała z nadmiaru młodzieńczej wesołości, opierając się ufnie na jego ramieniu i uśmiechając się do niego; od czasu do czasu, odwracała szybko głowę, jak gdyby coś jej się nagle przypominało, i odpowiadała matce skinieniem. Skinęli jej raz jeszcze oboje i zniknęli za zakrętem drogi. Pani Berg z westchnieniem zamknęła furtkę i weszła do ogrodu.

Twarz jej nie była tak ożywiona jak zwykle – widziało się to zwłaszcza po wyrazie oczu – i chód jej nie był tak elastyczny. W ostatnich czasach, skarżyła się na ból w plecach i męczyło ją trzymanie się prosto. Kiedy, jak w tej chwili, bywała sama, poddawała się zmęczeniu i trochę się opuszczała. Wiedziała, że nie sprawia to dobrego wrażenia, ale przy tym tak się wygodnie wypoczywało.

Upały w tym roku były również przytłaczające, człowiekowi tak szybko robiło się gorąco i brakło mu tchu. Zeszłego lata doskonale znosiła długie spacerunki przy najsilniejszym słońcu. A przy tym, Adelona mówi, że w tym roku nawet w przybliżeniu nie jest tak gorąco, jak było w zeszłym!

I wszystko jest takie nudne; gościniec, zarośla, chaty wyrobników i pola, takie wyschnięte słoneczną spiekotą i takie zakurzone! Z pewnością człowiekowi potrzebna była zmiana, powinien na pewien czas otrząsnąć się z wiejskiego powietrza. A gdyby tak podróż do Kopenhagi!

Usiadła pod krzakiem bzu i obserwowała ludzi, zajętych zwożeniem jęczmienia. Zeszłego lata żniwa były takie wesołe, ona i Helga były codziennie poza domem, to we wsi, to na górze u Karen Petersen, której pani Berg pomagała przy wiązaniu i zwożeniu snopów. Ale w tym roku nic się z tego nie zrobiło a teraz lato już prawie minęło. Te zwariowane zaręczyny wszystkim pokrzyżowały plany.

Czasami zaręczyny nastrajały ją żałością. Nie, żeby nie cieszyła się z tego związku – nie mogła oddać córki w lepsze ręce. Pomimo jego lekkomyślności w drobnostkach oraz braku energii i zmysłu praktycznego, można by długo szukać człowieka wytworniejszego. Ale czuła się tak, jak gdyby od jednego razu posunęła się o wiele szczebli na drabinie lat.

Wymówiła sobie, ażeby nie nazywał jej teściową. Halvor na pewno miał słuszość, mówiąc, że chociaż była matką długie lata, ale córka jej nigdy przedtem nie nasunęła myśli, że się starzeje. Wprost przeciwnie, w towarzystwie dziecinnej Helgi czuła się zawsze na pierwszym szczeblu dojrzewającej młodości.

Ale teraz, Helga starała się wszelkimi siłami nie być więcej dzieckiem. Halvor ją wychowywał, i śmiesznie aż było patrzeć, jak gorliwie stosowała się do jego wskazówek. Jako córka stała się inna, poważniejsza i więcej pełna szacunku, przez co podkreślała prawdziwy stosunek. Trochę niedorzeczny ale zabawny język, jakim się posługiwały, prawie jak dwie przyjaciółki, został poniekąd, i pani Berg czuła, że – bezpowrotnie.

Helga była o wiele za młoda, wcale nie robiła wrażenia dziewczyny zaręczonej. Według zdania pani Berg, nie było żadnego pośpiechu, ale wobec tego, że młoda para doszła do porozumienia, nie było powodu, trzymania światła pod korcem. Dlatego odrzuciła propozycję obojga, ażeby fakt ten z początku trzymać w tajemnicy. – „Więc czego chcesz, właściwie?” – spytała Helga, kiedy matka wspominała o zbyt wczesnych zaręczynach. Tak, czego chciała? Właściwie niczego. Uważała jedynie, że mogli być trochę zaczekać z zakochaniem się w sobie – przynajmniej do końca lata.

– Ach, człowiek się starzeje – mówiła do siebie, w komicznej rozpacz, kiedy coraz bardziej zagłębiała się w smutku nad zmienionymi stosunkami – starzeje się i staje się zbytecznym.

Istotnie, wyobrażała sobie, że w swym własnym domu jest zbyteczna, aczkolwiek nie zachodził najdrobniejszy fakt, który mógłby podtrzymywać to przypuszczenie. Wychodziła z tego założenia, jak gdyby to było samo przez się zrozumiałe i zachowywała się, jak gdyby to był fakt, z którym musiała się godzić. Pytała się, czy nie przeszkadza, lub w milczeniu usuwała się, broniła się przed braniem udziału w spacerach itd. – czyniąc to zresztą w sposób bardzo miły. Mimo to, jednak inni odczuwali to boleśnie.

W upartym przeświadczeniu, że jest piątym kołem u wozu, dzisiaj również odprowadziła młodą parę tylko do furtki. Pomimo wszelkich przekonywań i gorących zapewnień, że bez niej ani w połowie nie jest tak przyjemnie, została, kiwając im głową z uśmiechem, z którego przebijała samoudręka.

Uczucie samotności podziało na nią w ten sposób, że zaczęła myśleć o swoich przyjaciółach. Jak się powodziło Karen Petersen? już dawno jej nie widziała. A może i ona puściła ją kantem?

Słuchy o tym, że zaręczyny Karen Petersen zostały zerwane, krążyły po wsi już od dłuższego czasu, ale ciągle były inaczej komentowane. Pani Berg знаła wszelkie warianty od wyrobniczy Adelone. Z początku, nazywało się, że Karen zerwała, potem, że on zrobił z nią koniec, bo nie była mu wierna; wreszcie, że ostatecznie mu się znudziła, gdyż w miłości swej ku niemu była zbyt mało powściągliwa. – Jest zbyt szczodra, nikomu nie może odmówić. Naprawdę, chętnie by oddała ostatnią koszulę. Ale biedna dziewczyna nie powinna wszystkiego oddawać, zanim nie dowie się, co dostanie w zamian. Albowiem kto oddaje zbyt wiele, a sam cierpi nędzę, ten nie zasługuje na współczucie – mówi przysłowie.

Pani Berg w ogóle dużo rozmawiała z Adelone, kiedy ta rano przychodziła do „Klatki szpaków” sprzątać. Chociaż i ona była opuszczoną przez ukochanego, zyskała przynajmniej tyle, że nauczyła się patrzeć głębiej w serca swych bliźnich.

Biedna Karen! Właśnie rozeszła się wieść, że jest przy nadziei. Panią Berg opanowała po prostu chęć, by zmęczeniu stawić czoło i iść ją odwiedzić.

Ale droga była daleka, i pani Berg była przekonana, że Karen sama by do niej przyszła, gdyby pogłoski miały być prawdziwe. Wołała pójść na pola do żniwiarzy; ale – dziwne – w tym roku żenowała się.

Tam pracowano w najlepszych humorach, dziewczęta w cienkich bluzkach, pozwalających widzieć zarysy kształtów, parobcy tylko w spodniach i koszulach, które rozdymały się ponad skórzanymi paskami. Byli tak całkowicie nieskrępowani – rodzaj półdzikich ludzi – i czuć ich było potem. Pomału polubiła ten odór. Widziała przed sobą wyraźnie, jak pot występował najpierw pod pachami i stopniowo rozprzestrzeniał się w wielkich plamach, tworzących się na piersiach i plecach, plamach obramowanych silnie zabarwionym brzegiem – niby mapa. A po obliczach spływał pot strugami i zmywał kurz. Podobny był prawie do małych strumyków, przepływających przez prawdziwy krajobraz. A barczyste plecy wyglądały jak nagie, kiedy cienkie, zwilgotniałe płótno oblepiało skórę! Pochylali się rytmicznie przy koszeniu lub odsłaniali rozwinięte mięśnie, kiedy trzeba było podeprzeć widłami wielki stóg zboża. Jakże ci ludzie byli silni! Ale jak ciężko pracowali i jak się pocili i zapijali kwaśne piwo, a pomimo to byli weseli.

Musiała pomyśleć o Aage Hermansenie; w danej chwili była gotowa zaliczyć go do swoich przyjaciół. Właściwie, czy był gorszym od innych mężczyzn? Wobec niej był zawsze pełen szacunku – składał jej hołdy, ale czy było w tym coś złego? Niestety, nie było go w polu, bo wyszły do niego.

„Stoi różyczka w czerwonym wieńcu
My się kłaniamy jej po „księżęcu”

Ty różyczko dobrze wiesz
Kogo kochasz tego bierz..."

Gdzieś na wiejskiej drodze śpiewały i tańczyły małe dziewczynki. Pani Berg przysłuchiwała się wesołym, dźwięcznym głosikom. Dzieci! potrafiły wyglądać tak mile, że miało się ochotę je miętosić, a najchętniej – zjeść. Zwłaszcza te zupełnie maleńkie, ale nawet i takie, które mogły już bawić się i skakać w kręgu innych. Wpadło jej na myśl, że przecież ona sama miała kiedyś takie małe dziecko. Ale to było dużo za wcześnie, wtedy sama była jeszcze dzieckiem! Nie, powinno by to było być teraz; teraz czuła, że mogła takie stworzonko kochać dla niego samego, bez względu na to, czy robiłaby sobie coś z ojca, czy też nie. Tak, nawet gdyby w ogóle nie miało ojca! I ona chciała oskarżać Karen Petersen, jak gdyby to było coś straszego mieć taką małą, kochaną istotkę, i to ona, która właściwie życzyłaby sobie być na miejscu Karen. – „Budujemy mosty...” – śpiewały dzieci. Zdawało się, że widzi je skaczące, na krótkich nóżkach, brudne, z zasmarkanymi noskami i rozpromienionymi pyszczkami, co chwila pociągające nosem, gdyż nie nauczyły się jeszcze używać palców. Najchętniej przeprowadziłaby je do siebie i mocno wyściskała.

Pojazd potoczył się po drodze i zagłuszył śpiew, widocznie zatrzymał się przed furtką. Pani Berg udała się na front, ażeby zobaczyć, czy to do niej. Wóz zatrzymał się przed domkiem szewca. Jakiś pan w czapce ze złotym, lampasem, siedział w pojeździe, wydając polecenia policjantowi, który wszedł do wnętrza domu. Wkrótce potem powrócił, wlokąc wraz z szewcem opierającego się z całych sił, Jörgena Raga, na którego twarzy malował się wyraz idiotycznego przerażenia. Musieli zadać sobie wiele trudu, ażeby umieścić go w pojeździe, ponieważ czepiał się swymi długimi nogami kół i wszystkiego, czego się dało. Stał się jeszcze bardziej chwiejny niż był przedtem i dziwacznie zataczał oczami. Pani Berg nie zdawała sobie jasno sprawy z tego co się działo, ale złowrogi i pełen grozy wyraz chłopca, w związku z brutalnym obchodzeniem się z nim, wstrząsnął jej i tak podrażnionymi nerwami, wywołując w gardle uczucie dławienia, jak gdyby była bliska płaczu.

– Co się stało? – zapytała majstra, patrzącego w ślad za odjeżdżającym pojazdem.

– Pójdzie do więzienia... co najmniej do więzienia – odrzekł majster.

– Ależ dlaczego? – Głos jej drżał. Chłopiec zawsze wzbudzał w niej żal.

– Dlaczego? Ach, tego wcale nie można opowiedzieć, jest takie nieludzkie, takie zwierzęce. Niech pani sobie wyobrazi...z... Fe, nie...e...! – Ruchem ręki wskazał łąki. Pani Berg spojrzała w tym kierunku, ale nie widziała nic, prócz pasących się zwierząt, które tam były uwiązane. – Co to być może? – myślała. Majster mówił dalej: – Już dawno podejrzewałem, że miał skłonności do czegoś podobnego, ale dziś rano przyłapałem go na gorącym uczynku, za płotem folwarku.

Wszystko dziwnie zakotłowało się przed oczami pani Berg i pod jej stopami; zadrzała, doznając podobnego uczucia jak podczas choroby morskiej i musiała chwycić się sztachet. Wszystko zlało się przed jej wzrokiem w zielone, zbałwanione morze, z którego wyłaniała się idiotyczna, wykrzywiona strachem twarz szewskiego chłopca, przypominająca topielca: – Ależ to wariat – tylko tyle mogła jeszcze powiedzieć.

– On, wariat? Nie większy od mojej starej babki. Nie, zły jest po prostu. Czy nie pociął mi wczoraj na kawałki najnowszej uprzęży? A myślałem, że go z tej choroby wyleczyłem. Jest wstrętnym zwierzęciem – rujnować biednego rzemieślnika! Ale teraz nikomu już nie sprawi przykrości – zasłużył co najmniej na więzienie – jeżeli nie na szubienicę. – Majster istotnie podejrzewał, że chłopiec ma anormalne skłonności, ale nie mógł się bez niego obejść. I dopiero teraz, kiedy chłopak pociął mu uprząż i dowiódł, że jest niemożliwy, majster poczuł się zmuszonym wydać go w ręce policji. W ten sposób uniknął dostania się na ludzkie języki, za to, że go wyrzucił na bruk.

Pani Berg musiała położyć się na sofie; czuła się zboląła na całym ciele i doznawała takiego uczucia, jak gdyby miała zwymiotować. Jakie wstrętne i odrażające było całe życie, skoro

mogło dziać się coś tak ohydneho. A stawiała Jörgena kiedyś, żartem, obok własnej córki, Boże, jak strasznie! Jak mogła! Wybuchnęła płaczem i długo leżała, szlochając. Wreszcie opanowało ją wyczerpanie i zasnęła.

Śniła:

Parami spacerowało się po ogrodzie, po wszystkich zakrętach ścieżek, coraz dalej i dalej, w nieskończoność; Helga i Jörgen Rag szli na przedzie, ona z Halvorem – za nimi. Helga i Jörgen wzięli się pod rękę, ona i Halvor – również. Dziwiło ją to, ale nagle przypomniała sobie, że byli przecież małżeństwem – obie pary. Z ciekawością przyglądała się parze, która szła przed nią i była zdania, że partii tej nie można było nic zarzucić; ale świadomość była jej przykra, czuła niejasno, że na dnie musi być jakiś błąd, nie mogła tylko odkryć, na czym polegał. I Halvor bezustannie przeszkadzał jej skupić się, skarżąc się na jej chód. Ale czy mogła coś na to poradzić, że szła kaczkowato, skoro spodziewała się dziecka. Nierozwiązane pytanie dręczyło ją bezustannie – jak komar, którego brzęczenie słyszy się nad głową w ciemnościach i oczekuje się, że lada chwila siądzie na twarzy – wszystko to razem silnie ją podnieciło. Wtem, Helga odwróciła się i rzekła: „Może się zamienimy?” Pani Berg czuła, że obowiązkiem jej jest poświęcić się dla córki, uczepliła się więc mocno ramienia Halvora, ażeby móc się oprzeć temu uczuciu. Nie powinna przecież, dla dobra dziecka, które nosiła pod sercem. Chyba na wypadek, gdyby Helga również... to nie mogło stać się pod żadnym pozorem, w żadnym razie...

– A więc powiedzmy to... – usłyszała jakiś głos odpowiadający i otworzyła oczy. Halvor przechodził przez frontowy pokój i zatrzymał się na progu.

– Tak, niech więc przy tym zostanie – rozległ się głos Helgi w przedsionku.

– Miałaś zamiar uciąć poobiednią drzemkę?

– Tak, upał mnie zmęczył. – Pani Berg obejrzała się. Sen majączył jej ciągle jeszcze przed oczyma, właśnie chciała podać rękę Halvorowi i prosić, żeby usiadł obok niej. Wpadła Helga:

– Mamo, musisz usłyszeć cośmy przeżyli! Widzieliśmy jak zabijano krowę i zakopano ją w lesie.

W jednej chwili znów wszystko odżyło we wspomnieniu pani Berg i znów opanowały ją mdłości. Ale radość z tego powodu, że Helga stała przed nią, nie jako żona Jörgena, lecz – narzeczona Halvora, wzięła górę, i o tym co ją przedtem tak bardzo poruszyło, mogła teraz myśleć prawie obojętnie.

Przy tym czuła się tak zmęczona, tak rozkosznie bezsilna.

XXI.

Dni upływały mieszkańcom „Klatki szpaków” spokojnie i harmonijnie.

Pan Halvor był szczęśliwy i patrzył w przyszłość ufniej, niż kiedykolwiek. Nie był to stan miłosnego oszołomienia, w jego uczuciach nie znajdowało się nic z dzikiego pożądania nieposkromionej młodości, nic burzliwego, żadnej tęsknoty. Zamiast tego, występowało niewzruszone przekonanie, że szczęście mu dopisuje, i to napępniało go spokojnym zadowoleniem.

Chwalił sobie Opatrzność, która go obdarzyła ładną, dobrą i bogatą narzeczoną, mającą tylko jedno życzenie: być całkowicie jego – oraz biorącą do serca jego napomnienia prawie aż nazbyt gorliwie. Był zadowolony z siebie samego. Jak łatwo rozwiązał to zadanie – wychować narzeczoną! Już się tak bardzo zmieniła, nie pytała się o wschód, kiedy mówiono o zachodzie, prawie nigdy nie śmiała się przy poważnej rozmowie i nauczyła się słuchać. Temu ostatniemu mianowicie przypisywał wielkie znaczenie. Sztuka słuchania była prawdziwym kluczem do kultury duchowej, ale czy wiele kobiet sztukę tę posiadało!

Jak słusznym było, że każdy dobry czyn zawierał w sobie nagrodę, także nagrodę materialną. Nie cenił zbytnio tych męczenników ludzkości, którzy musieli głodować, dlatego, że pracowali bezinteresownie dla jej dobra; ich praca nie była wiele warta. Gdyż życie samo było pełne optymizmu i nigdy nie pozostawiało bez należytej nagrody, czynu naprawdę wartościowego. A chociaż i on przeżył okres przygnębienia, czuł jednak, że w głębi swej istoty zachował wiarę w zwycięstwo dobra, a zatem był optymistą.

I jak to było znakomicie urządzone, że nagroda za szlachetność składała się z dóbr ziemskich. Bez chleba i piwa bohater był niczym, i rycerz ducha – również niczym. Takie bagatelki, jak przyzwoite ubranie, zaspakajanie drobnych skłonności do zbytku i temu podobne, – same w sobie marność – nabierały znaczenia, wzmacniając wiarę w sprawiedliwość, i zabiłając pojawiające się wątpliwości we własną wartość człowieka. Obecnie już miał odwagę snuć plany, którym dawniej nie ośmieliliby się poświęcić jednej myśli. Powziął postanowienie stworzenia monumentalnego dzieła: „Nowoczesna literatura i zdziczenie obyczajów” – miało to zapoczątkować nową erę, a może nawet ugruntować szkołę. Teraz nie było odpowiedniego spokoju, ale skoro tylko się ożeni, zaraz się tym zajmie. Ażeby oddać się takiej pracy, trzeba było zupełnie unormowanych stosunków; i dlatego najlepiej było urządzić wesele możliwie najwcześniej.

Helga również była szczęśliwa i tęskniła do ślubu. Kochała Halvora silnym i gorącym uczuciem; jego ładna twarz i włosy, silna, lekko pochylona postać, głęboki, dźwięczny głos, zwiastujący zawsze piękne myśli i wzniosłe zasady – wszystko to w nim wielbiła, ciesząc się, że nadejdzie wreszcie dzień, kiedy będzie mogła, bez przeszkód, korzystać z jego miłego towarzystwa i kiedy wolno jej będzie nazwać go na wieki swoim. Dla niej miłość naprawdę była podobna nadejściu wiosny, przyszła z całą siłą pierwszego poważnego zakochania, rozciągając bogactwo cielesnego i duchowego uroku, dla którego Halvor nie miał zupełnie zrozumienia, nie potrafiąc się w nim zatapiać, ani się nim rozkoszować. Dla niego określały narzeczoną dostatecznie tylko dwa słowa; ładna i dobra, przy czym to ostatnie było dlań równoznaczne ze słowem – uległa.

Zaś ona rozwijała się i czuła swe bogactwo, ciesząc się z tego – dla niego. Rano wychodziła mu naprzeciw, z kwitnącymi policzkami i kwiatem w swych bujnych włosach, szczęśliwa świadomością swej urody i łatwo doznawała rozczarowania, widząc go tak niewzruszonym. Ale winowajczynią była tu widocznie ona sama, myślała. Stał o tyle wyżej od niej, żyjąc wśród swych wielkich myśli i planów; wiedziała przecież, że kochał jej treść, a nie jej kształty

i pragnęła dążyć do doskonalenia się. Nie mogła zrozumieć, że ona, taka głupia, mogła być czymś dla niego, i jak potrafiła wygnać z jego serca całą ponurość, tak że był teraz zawsze pogodny i wesoły. A jednak tak było.

Była szczęśliwa! Ale pani Berg musiała zaniechać zamiaru nauczania jej prowadzenia gospodarstwa, licząc tylko na to, że to jakoś samo przyjdzie, gdy już będzie mężatką. Helga chodziła jak we śnie, z cichym uśmiechem szczęścia na twarzy; dniem i nocą była pełna jego i tylko jego, i nie było co z nią począć.

Pani Berg jakoś pogodziła się ze swym nowym stanowiskiem i prawie odzyskała swój dawny, dobry humor. Oboje „młodzi” robili wszystko, ażeby jej sprawić przyjemność, a gdy od czasu do czasu miewała swe migreny, dotrzymywali jej wiernie towarzystwa, chłodząc dłońmi jej skronie. Zwłaszcza ręce Halvora miały dziwną właściwość rozpraszania bólu głowy; musiały posiadać magnetyczną siłę.

Czasami tylko popadała w „humor wisielca”. Wtedy sama się nazywała teściową i przesadzała w podkreślanii swego stanowiska, odgrywając rolę starej kobiety i zachowując się wobec młodej pary zakochanych, z pieczołowitością babki. Ale to zwykle prędko mijało.

Im bliżej poznawała Halvora, tym bardziej zyskiwał w jej oczach, również jako człowiek. Był tak serdecznie dobry i dziecięco naiwny, zaś jego wdzięczność dla niej była wprost wzruszająca. Nazywał ją swą drugą matką, chociaż niewielka była między nimi różnica wieku. Ale nie można było gniewać się na niego.

To też przedsięwzięła sobie być matką dla obojga, o ile to tylko leżało w jej mocy, biorąc żywy udział we wszystkich ich planach na przyszłość. Znajdowała jedynie, że mówić o wyprawieniu wesela w zimie było przedwczesne. Helga była za młoda, miała zaledwie siedemnaście lat skończonych. Nie łatwo było jednak znaleźć ważkie powody; przecież sama nie była starsza, gdy wyszła za męża. I tu ponadto istniał warunek podstawowy: miłość.

Jedną okoliczność bardzo przemawiała za tym, żeby urządzić wesele, teraz w zimie, zamiast na przyszłe lato. Młoda para miała wybrać się w podróż na południe. Helga już dawno marzyła o takiej podróży, a kto mógł wiedzieć jakie znaczenie mógł mieć wyjazd za granicę dla rozwoju poetyckiego talentu Halvora! Wobec tego najodpowiedniej było wyjechać na okres zimowy i wrócić wraz z rozkwitającą wiosną. Jak to musi być cudownie, po prostu wykreślić jedną zimę ze swego życia i przez półtora roku bez przerwy mieć lato! Pani Berg zawsze tęskniła za południem, i tym razem obie z Helga pragnęły podróżować. Ale właśnie przeszkodziły im zaręczyny. I pomimo zapewnień, że nie udadzą się w podróż bez matki, postanowiła stanowczo pozostać w domu; uważała to za swój obowiązek. Ale ciężko jej to przyjdzie.

Najczęściej, o zmierzchu roztrząsali te plany. Siedzieli we trójkę na sofie, Halvor obejmował ramionami obie kobiety, i wtedy wszyscy czuli jak u nich jest przytulnie; żaden hałas, żaden rozdzwięk wielkiego świata walk nie mógł wtargnąć do ich małego domku szczęścia.

Halvor najczęściej milczał, przysłuchując się rozległym wywodom obu kobiet i tylko, od czasu do czasu, wtrącając jakąś uwagę, ażeby sprowadzić je na właściwe tory. Często popadał zupełnie w zamyślenie i stawał się roztargniony, w chwilach kiedy opanowywało go uczucie wdzięczności za oddanie się tych dwóch szlachetnych istot. Ten wewnętrzny stan objawiał się w fakcie, że Halvor, nie uświadamiając sobie tego, przyciskał do siebie obie kobiety. Znajdowały przyjemność w tym jego roztargnieniu i naprowadzały go na to, ażeby odpowiadał im piąte przez dziesiąte.

A kiedy mówił, to o szczęściu jakim jest dla człowieka, móc trzymać w ramionach wszystko, co kocha, i wyczuwać, jak te serca biją gorąco i w tym samym rytmie, co i jego serce. Oszałamiał je pięknymi i porywającymi słowami o zbawiennym wpływie kobiety na wszystko, co piękne i wzniosłe. Nie darmo Francuzi mówili zwykle, wielokroć zdarzało się coś wielkiego: *cherchez la femme*. I jeżeli stare ludy północy, a po nich wielcy ludzie złotego okresu, cenili kobietę tak wysoko, było to w uznaniu tego samego faktu. Skoro jednak kobiety

pragną zachować swój uszlachetniający wpływ, powinny utrzymać swe wyniosłe stanowisko w kraju, jako „ciche” i – dla nędznego wawrzynu, nie rzucać się w błoto walki. Nowoczesne umysły, którym tylko o to chodzi, ażeby uczynić z kobiety uległe narzędzie do zaspokajania męskich zachcianek, ponoszą wobec ludzkości wielką odpowiedzialność, przy pomocy pustych słów o równouprawnienie i wyzwolenie zniechęcając kobiety do ich wysokiego posłannictwa i pociągając je w bagno rodzinnego życia. Na to również chciał w swym wielkim dziele zwrócić uwagę, jako na zło, które pociąga za sobą nowoczesna literatura.

I rozwijał przed nimi plan dzieła, które zostanie poświęcone duńskiemu narodowi i będzie opatrzone poetyczno-proroczym wstępem, który nie zapominał o zmarłych wielkich i zwracał się do młodzieży z wezwaniem: „Kiedy zamierzacie przejąć ich spuściznę?”.

W dzień robili długie spacerunki przez wrzosowiska lub na wzgórza, po drugiej stronie torfowiska. Często zabierali ze sobą koszyk z jabłkami i spędzali dzień w lesie, obozując na trawie, lub szukając laskowych orzechów i jabłek. Kiedy później, leżeli na polance w lesie i rozpakowywali zawartość koszyka, dziecięca Halvora występowała we właściwym oświetleniu: obrzucał ziemię matkę i córkę, stroił niewinne żarty i próbował stawać na głowie.

W tym nastroju, nie dbał o piękne i wielkie idee. Był naturalny, zgodził się z tym, że Helga nazywała go „Ernst”¹ ażeby jego imię odpowiadało więcej istocie rzeczy.

Czuł, że mógłby wyrzec się wszelkiego dążenia do czegoś wyższego w życiu, gdyby mu zawsze było tak, jak obecnie. Czy można było życzyć sobie czegoś lepszego niż poczucie pełnego szczęścia?

¹ Ernst – imię, ernst – poważny, więc gra słów.

XXII.

Okres żniw minął. Pogoda była jeszcze letnia, ciepła, las stał jeszcze w pełni zielonej krasy. Ale z pól znikło ostatnie żdźbło i tu, i ówdzie, pług zaczął już przeorywać nagie, żółte rżyska. Jasne noce pełnego lata minęły, wieczory zaczynały stawać się długie. Uczucie, że ma się już ku zimie, działało na ludzi przygnębiająco, pomimo letniego słońca i stale błękitnego nieba.

W „Klatce szpaków”, po miłej letniej gnuśności, wszyscy zaczęli być czynni i zajmować się przygotowaniami do wesela, mającego się odbyć w listopadzie. Wiele było do załatwienia i trzeba było ekonomicznie obchodzić się z czasem. Przede wszystkim było wiele przygotowań w domu; następnie Helga i Halvor chcieli pojechać do jego rodziców; Helga pragnęła poznać swoich przyszłych teściów, a Halvor aż zbyt chętnie godził się zjawić znów na ojczystym widnokręgu. Czuł, że nie będzie już uważany za marnotrawnego syna. I wreszcie czekała ich jeszcze podróż do stolicy; co ona miała za znaczenie, tego pani Berg nie chciała zdradzić, uśmiechając się tylko tajemniczo, w odpowiedzi na zapytania.

Czas był zatem wypełniony i Halvor denerwował się, na myśl, że może się nie zdąży, ciągle też przynaglał do pośpiechu. Chętnie pojechałby natychmiast ze swą narzeczoną do domu, ale za tydzień miał się odbyć we wsi doroczny jarmark i, ani matka, ani córka nie chciały z niego zrezygnować; nigdy przedtem nie były na jarmarku. Musiał więc uzbroić się w cierpliwość.

Pewnego dnia, kiedy obie kobiety siedziały razem, haftując monogramy na wyprawowej bieliźnie, zaś Halvor zabawiał je, zaciągając się fajką, Adelona przyniosła wiadomość, że Karen Petersen została wygnana z rodzicielskiego domu i znajduje się w jednej z chat wyrobników w okolicy. Ojciec jej, powiadomiony od dawna o gadkach, krążących o jej odmiennym stanie, nie brał sobie tego do serca, gdyż przypuszczał, że w razie ich stwierdzenia, Rudolf będzie zmuszony konkurować o Karen; a przeciwko temu nie miał nic, albowiem Rudolf był jedynym spadkobiercą dużego gospodarstwa. Kiedy skonstatował rzecz na własne oczy, kazał zaprzęgać i wsiadać córce, ażeby z nią udać się do rodziców Rudolfa. Ale Karen nie chciała. Na pytania dlaczego, nie odpowiadała, Wtedy rozgniewał się i w rozdrażnieniu wypowiedział podejrzenie, że Rudolf może wcale nie ponosi winy, a gdy Karen w milczeniu opuściła głowę, wpadł we wściekłość i wygnał ją za wrota.

Pani Berg podniosła się i włożyła płaszcz.

– Dokąd idziesz? – spytał Halvor.

– Odszukać Karen i zabrać ją do siebie, oczywiście.

– Powinnaś sobie to dwa razy przełożyć – rzekł Halvor. – Nie zapominaj, że masz ognisko domowe i córkę, której powinnaś strzec! Nie wspominam już o sobie, chociaż i ja mógłbym wymagać pewnych względów, przy wyborze towarzystwa dla nas.

Pani Berg spojrzała nań, zdziwiona. Jakim pewnym siebie i belferskim tonem przemawiał.

– Więc w ten sposób bierzesz udział w cierpieniach innych? – rzekła zjadliwie.

Halvor spostrzegł natychmiast, że popełnił błąd.

– Zrozum mnie dobrze, moja kochana – powiedział łagodnie. – Na pewno nikt nie jest skłonniejszy ode mnie do uznania twojej szlachetności i dobroci, widzę też wielkość w chęci podania dłoni cierpiącym, bez wglądania w to, w jaki sposób popadli w nieszczęście. Ale tutaj, jestem zdania, że wypadek przedstawia się inaczej. Przypuśćmy, że stawianie na pierwszym miejscu względu na nas i twój dom było niesłuszne, jakkolwiek spowodowane raczej troską o ciebie niż o kogokolwiek innego. Mój niepokój był zbyt uczynny, możesz z czystym

sumieniem przeciwstawiać się opinii publicznej i niezależnie od tego wymagać dla twego domu pełnego szacunku, który mu się należy.

– Sądzę, że za mało znasz tutejszą opinię publiczną – przerwała pani Berg potok jego wy-mowy. – Przeciwnie, czyn mój będzie tutaj bardzo ceniony.

– Tak, ludność tutejsza nie odznacza się wysokim zmysłem moralnym. Ale twoja własna opinia, twój własny głos wewnętrzny, – jak to nazywał ten stary filozof – co on mówi? Czy ośmielasz się przyjąć odpowiedzialność wobec społeczeństwa, jeżeli pośrednio popierasz coś podobnego? Mimo woli, przez dobroć serca, zachęcasz do nierządu.

– Więc sama też uprawiam nierząd, prawda? – spytała pani domu z szyderczym uśmiechem. – Chyba nie wyobrażasz sobie, że młodzi ludzie w porywach namiętności, tak praktycznie zapatrują się na daleką przyszłość?

– W każdym razie powinniśmy tak czynić. – Nagle zatrzymał się i zaczerwienił.

Pani Berg roześmiała się: – Wtedy dopiero byłby powód do przebaczenia.

– Dobrze rozumiesz, co mam na myśli – powiedział zgnębiony – że jeżeli to nawet nie ma wpływu na postępowanie jednostki, jednakże może zyskać znaczenie jako doświadczenie pokolenia. W każdym razie nie można nagradzać nierządu, zdejmując wszelką odpowiedzialność z bark winnego – również i dlatego, że pozwala się sobie uzurpować przywileje Opatrzności, która jedynie ma prawo potępiać i karać. Mogę stwierdzić z zadowoleniem, że na tym punkcie podzielam zdanie naszych najszlachetniejszych i najhumanitarniejszych teologów, którzy w debacie nad szpitalem podrzutków utrzymywali, że nie wolno nagradzać występku, dbając o jego owoce, a przede wszystkim nie wolno, przez niewskazaną czułość, usunąć ze świata odwetu, podczas gdy grzech jeszcze istnieje. – Uśmiechał się zadowolony z siebie, patrząc na panią Berg z wycięsko.

Helga miała łzy w oczach. Nie mogła rozstrzygnąć, kto miał słuszość; bolało ją tylko, że się sprzeczali – przecież oboje tak bardzo kochała. Ale czy, biorąc ściśle – Halvor nie miał słuszości?

Pani Berg miała na ustach odpowiedź, ale przełknęła ją. Niekończące się wywody Halvora wywierały na nią pewien wpływ, chociaż nie czuła się bynajmniej przekonaną. Wiedziała dobrze, że postępuje właściwie i nie c h c i a ł a dać się przekonać. Poza tym, rósł w niej sprzeciw. Pragnęła, istotnie, raz móc postąpić samodzielnie! Ci dwoje wyjadą, ażeby się ba-wić, i ją zostawią samą, nie powinni jeszcze, ponadto, pozbawiać jej jedyne go towarzystwa, które jej przypadało do gustu! Pomimo wszystko, lubiła Karen i chciała ją wziąć do siebie – w każdym razie na czas ich nieobecności. Zatem poszła.

Gdy pani Berg wyszła, Helgą z płaczem rzuciła się na piersi Halvora; musiał ją uspokajać. Ale był zbyt zajęty własnymi myślami, ażeby poświęcać wiele uwagi jej łzom. Że też elegancki, przyzwoity dom właśnie otwierał szeroko drzwi przed nieobyczajnością i jej skutkami! Był moralnie oburzony – po prostu wstrząśnięty. To, że taka myśl mogła powstać w tym domu, gdzie tyle mówił i nauczał, było bankructwem jego uzdolnień – prawie samej moralności boskiej. Było to tak, jak gdyby ktoś posiał pszenicę, a zbierał oset.

Bogu jest wiadome, że traktował swoje zadanie poważnie. I odpowiadał naprawdę n i e k t ó r y m założeniom, aby móc je wypełnić, on, który zawsze – nawet w stolicy, pośród lekko-myślnych istot, jak nazywał obecnie swych przyjaciół – zachował siebie w czystości, w takiej czystości, że nawet pożądanie, któremu przecież podlegał każdy, w nim budziło się rzadko. Nawet teraz, kiedy siedział na sofie, obejmując ramionami obie kobiety, nie odczuwał żadnej specjalnej różnicy w swym uczuciu do nich. Nawet jeżeli chodziło o jego stosunek miłosny, wyłączył zeń cielesną tęsknotę i uczynił wybór duchowy, podczas gdy człowiek kierujący się zachciankami ciała, wybrałby, na pewno, matkę, która, oglądana z tego punktu widzenia, była w swym bujnym rozkwicie bezwarunkowo bardziej pociągająca.

Głupstwem jednak była zatwardziałość w dogmatach, zanadto się w tym grzęzło. Dość złe było już to, że teściowa postępowała na przekór jego przekonaniu; i jeżeli ta dziewczyna, po-

mimo jego obecności, zakwateruje się w tym domu, autorytet jego będzie zachwiany, niezależnie od tego, że z łatwością mogłoby wyglądać, iż ma twarde serce. A biorąc ściśle, był to tylko odosobniony wypadek, nie mogący wyrzucić żadnego specjalnego wpływu na ogólną moralność. W każdym razie, należało postarać się, ażeby wybrnąć z tego możliwie najlepiej.

Pani Berg miała wypieki na twarzy, kiedy udała się w stronę wyrobniczych chałup, ażeby przyprowadzić Karen Petersen; był to skutek dyskusji. Teraz, kiedy niebezpieczeństwo podlegania działaniu jego słów, już nie istniało, żałowała, że tak się uniosła. Naturalnie, miał słuszość, na swój sposób; mężczyźni zawsze mieli słuszość, gdy im pozostawiano na to dość czasu, a Halvor nie należał do tych, którzy występują w niesłusznej i niedobrej sprawie. Użyczała mu z całego serca tej słuszości we wszystkim; było to jej obojętne, byleby tylko mogła w spokoju wykonać swój zamiar.

Zastała Karen na dworze, przed chatą, i zaproponowała jej, ażeby odprowadziła ją do domu, zachowując się poza tym tak, jak gdyby nic nie zaszło. Chód Karen stał się jeszcze więcej ociężały i mozolny, niż dawniej, i pani Berg ujęła ją pod ramię. Karen zwiesiła głowę i pani Berg musiała ująć ją pod brodę, ażeby móc jej spojrzeć w oczy. – Na miłość boską, wyglądasz, jak gdybym prowadziła cię do rzeźni – zawołała i próbowała ją ożywić, opowiadając jej o wszystkim możliwym. Przez cały czas, miała na ustach pytanie, ale nie wypowiadała go.

Ale kiedy stanęły na progu domu, nie wytrzymała dłużej.

– Kiedy się spodziewasz? – spytała szeptem.

Karen nie odpowiadała.

– Naprawdę, nie wiesz?

Karen potrząsnęła głową.

– I naprawdę nie wiesz od kogo?

Ponowne zaprzeczenie.

– Biedne, nieświadome dziecko! – zawołała pani Berg i objęła ją uściskiem.

Halvor wyszedł naprzeciw Karen i podał jej rękę po przyjacielsku. – Witaj nam! – rzekł. Pani Berg rzuciła mu spojrzenie pełne wdzięczności. – Jest najszlachetniejszym człowiekiem na świecie – pomyślała. – Móc tak po prostu poświęcić swoje własne przekonanie!...

XXIII.

Niedaleko „Klatki szpaków”, na olbrzymiej murawie, ciągnącej się ukośnie od chałup wyrobników, panowało przez kilka dni wielkie ożywienie, w związku z jarmarkiem. Budy i namioty wznosiły się w długich szeregach, tworząc całe ulice; wzniesiono też specjalne bariery do uwiązywania bydła. Właściciele bud byli to przeważnie ludzie z innych parafii, przybyli częściowo zaprzężonym wozem, częściowo zaś tylko z wózkiem ręcznym, dla przeprowadzenia transakcji. W jednym rogu cieśla urządzał budę do tańca, zaś w środku pola, wznosiły się szkielety dwóch karuzeli, niby olbrzymie parasole bez pokrycia.

Z okien „Klatki szpaków” można było widzieć plac, i Helga bardzo była zajęta przyglądaniem się przygotowaniom, tak, że pani Berg cieszyła się, mając Karen do pomocy przy wyprawie.

Na dzień przed otwarciem jarmarku, przytoczyła się wielka czerwona buda na kołach, ciągniona przez pięć szkap i jednego osła. Helga wybiegła na drogę, ażeby jej się lepiej przyjrzeć. Buda miała prawdziwy komin i okna z brudnymi firankami; gęsto połatany trykot i zniszczony kostium pierrota, z muślinu, w wielkie kwiaty, suszyły się na zewnątrz. Z boku, znajdowały się drzwi, które się bezustannie zamykały i otwierały, wewnątrz zaś stała rozczochrana kobieta, manewrując blaszanymi naczyniami; pod dachem, można było rozróżnić kilka legowisk. Kobieta wyciągnęła nagie ramię i wylała na drogę mieszaninę brudnej wody i obierzyn z kartofli. Między jej spódnicami a ramą drzwi, ukazała się dziecięca głowa.

Że też można było tak jeździć po świecie, w prawdziwym domu – mieszkać, gotować i jeść, podczas podróży, i spać, i wszystko! Może to był mąż z żoną i małe dzieci – tym się przytrafiało niejedno!

Już wczesnym rankiem, na wszystkich drogach panował ożywiony ruch. Z zachodu nadciągali przez całe przedpołudnie starzy, zgarbieni, krzywonodzy wyrobnicy, w futrzanych czapkach. Większość z nich była prawie karlego wzrostu, ciężkie fajczysko dyndało im w jednym kącie ust, ściągając je ku dołowi. Gnali przed sobą ociężałe świny i stada owiec, nie mogąc się uporać z krnąbrnymi wołami, które co dziesięć kroków stawały. Niekiedy kobieta ciągnęła, podczas gdy mężczyzna poganiał; a kiedy bestie nie chciały iść dalej, zaczynał wykręcać im ogon, aż w nim trzeszczało.

Ze wschodu nadciągały po większej części silne krowy, okazowe woły i lśniące klacze ze źrebiętami. Były prowadzone przez parobków, a za nimi jechali wieśniacy, dobrze odżywieni i wygodnie rozłożeni w pojazdach na resorach.

Na targowisku handel odbywał się już w pełni. Handlarze, w pyłochłonnych płaszczach i wysokich butach, biegali od jednej grupy do drugiej i wypytywali o ceny, chcąc sobie wyrobić tymczasem sąd. Jeżeli znajdowali coś godnego uwagi, nadawali swym pytaniom lekceważący ton, wpełzali pod brzuch zwierząt, szczykali w nadbiodrza i wymiona, rozwierali pyski koniom, wyciągali język lub próbowali pęcina. – Ta tutaj musi być sprzedana, żeby na stare lata dobrze jej się działo. Wiele chcesz za to, żeby się jej pozbyć? – Chodziło o młodą klacz. – No, poniżej sześciuset nie mieliśmy zamiaru jej oddać – odrzekł wieśniak obojętnie. – Wiele? – Kupiec musiał przyłożyć rękę do ucha, ażeby pochwycić cenę. Chłop powtórzył swą odpowiedź, dalej niewzruszony. – Wydajecie się dzisiaj usposobieni do żartów, Jensie Kristoffersen! Ale to obojętne. Do djaska! dam za nią trzysta. Ubijmy więc targu, zanim tego pożałuję, oto moja ręka.

Naokoło handel szedł w najlepsze, i wieśniacy i kupcy uderzali pięściami w dłonie, wymieniając swoje cyfry, dopóki nie byli bliscy zgody. Ostatecznie jednak, kiedy rozchodziło się zaledwie o 2 marki żaden nie chciał ustąpić i wołano sędziego-rozjemcę. Tam i sam, chło-

pi kłócili się z kupcami o olstro za 65 fenigów; ubili targ na pięćset marek i kupiec myślał, że olstro należy do konia, wieśniak zaś uważał, że tak nie jest. Kupiec żądał unieważnienia interesu.

Tam, gdzie wieśniacy handlowali między sobą, odbywało się to spokojniej. Stali w grupkach, po czterech, pięciu, i w milczeniu oglądali zwierzę, przeznaczone na sprzedaż, Tu i ówdzie, wyjął któryś fajkę z ust, wskazał ustnikiem to lub owo i wyrzekł zaledwie jedno zdanie. Wówczas, pozostali, z rozważą wypuszczając kłęby dymu, otaczali z wolna zwierzę, polecali oprowadzać je parobkowi, i przyglądali się w milczeniu, pykając z fajek w zamyśleniu. I targ zostawał ubity, bez wielkiego zamierzania.

Mieszkańcy „Klatki szpaków” przeciskali się w tłoku, wzdłuż długich szeregów koni, zwróconych ogonami w stronę przejścia. Jeszcze ciągle była to główna arteria jarmarku, i trzeba było na znacznej przestrzeni, dać się unosić prądowi, w ciągłym niebezpieczeństwie, że zostanie się wypchniętym i przyciśniętym do końskich zadów. Halvor szedł na zewnątrz szeregów; obie kobiety od czasu do czasu kiwały doń głowami, gdy dostrzegały go pomiędzy stołami. Już przy wejściu miał tego dosyć – jakiś koń wierzgnął i dotknął podkówną jego włosów nad jednym uchem, Halvor był blady, ale uśmiechał się do matki i córki.

Od czasu do czasu, stara klacz rżała, kładła uszy i wierzgała tylnymi nogami; woda i błoto rozpryskiwały na wszystkie strony, a ludzie, śmiejąc się, uciekali. Obie kobiety podniecało chodzenie między tą masą kopyt końskich, i przenikał je dreszcz podziwu, na widok wieśniaczek, które nieustraszenie przyciskały się do zwierząt. Na drugim końcu targowiska, przywitały się z Mettą, która prezentowała kilku kupcom dużą krowę.

Halvora rozboleła głowa i ciągnął do domu, wobec czego obie natychmiast zrezygnowały z przyjemności i towarzyszyły mu z zasmuconymi twarzami. Szli wzdłuż chałup. Każda z nich była zamieniona na gospodę i wewnątrz dostrzegało się ludzi z jarmarku, siedzących przy kawie i wódce, podczas gdy wyrobnicy z zakasnymi rękawami odgrywali rolę gospodarzy.

Po południu kobiety znowu wyszły. Halvor nie chciał pójść z nimi; przyszły mu na myśl tytuły rozdziałów do jego wielkiego dzieła, pragnął więc popracować. – Trzy kobiety poszły zatem same.

Pogoda była sucha i słoneczna, i nad targowiskiem, rojącym się od ludzi, unosił się tuman kurzu, rozciągający się na całą wieś i nabrzmiały nieustannym brzęczeniem mrowiska ludzkiego. Miało się prawie wrażenie, że hałas przybrał kształt i drapał w gardle, gdy się nim zaciągało. Z pośród szumu i wrzasku wznosił się chwilami urywek melodii z karuzel, ażeby znów zostać zagłuszonym. Tu i ówdzie, wybuchał jak rakietą ochryply ryk wywoływacza, i rozpryskiwał się pod obłokami. Albo też kołyszące się rozfalowane kłębowisko hałasu i kurzu, woni i światła słonecznego rozplaszczało się przy ziemi i ściekało cienkimi strugami, wzdłuż gościńca, towarzysząc odjeżdżającym pojazdom. Ale już w następnej chwili, z większą siłą jeszcze wzdymało się nad targowiskiem, zawisało nad nim nieruchomo, znów wznosiło się, opadało, i rozwiewało w wolnych kręgach, po obydwu stronach, jak gdyby unoszone na potężnych skrzydłach...

Pocieszne w tym hałasie było to, że go się przestawało słyszeć, skoro się samemu znalazło w jego obrębie, zniknął przed pojedynczymi dźwiękami – śpiewem parobków, piskiem dziewuch na karuzelach lub huśtawce, ujadaniem bawiących się psów, kłótnią kobiet, oraz chłopaka, targującego się o „prawdziwe Christianfeldzkie pierniki”. Większość bydła ostatecznie zniknęła, a z nim i kupcy; ostatni handlarze i wielkorolni chłopci siedzieli w jarmarcznym szynku i robili obliczenia, w oczekiwaniu obiadu, który przygotowywano na trójnogu, poza namiotem – smażony węgorz i zupa ze skwarkami. Psy zakradały się do trójnoga i zlizywały zupę, stojącą na wolnym ogniu, podczas gdy węgorze się piekły.

Cały jarmark zmienił wygląd od przedpołudnia. Większość ludzi starszych odjechała do domów, lecz na miejscu każdej czcigodnej pary małżeńskiej, która zniknęła, pojawiło się dziesięć młodych, służba i młodzież wiejska z parafii położonych poza torfowiskiem.

Przy „siłomierzu” stał Jens i mozolił się z żelaznym drążkiem. Zrzucił surdut i pot spływał mu po ciele. Na widok trzech kobiet, Jens zebrał wszystkie siły, nie mógł jednak doprowadzić drążka do mety. Dał więc za wygraną i umknął. Co chwila spotykały Aage Hermansena, który miał wiele znajomych – zwłaszcza wśród kobiet – i był bardzo zajęty. To siedział z jedną na huśtawce, to znów jeździł z drugą na karuzeli, lub, w namiocie, pił z trzecią lemoniadę. – Że one pozwalają na to – powiedziała pani Berg. Chciała mówić dalej przypomniała sobie jednak Karen i zamilkła.

Trzy kobiety bawiły się znakomicie. Obejrzały sobie „najmniejszego człowieka” i „najtęższą kobietę”, która mogła unieść dorosłego człowieka na swych obnażonych piersiach, i syrenę, która „niestety” właśnie umarła – Helga była zdania, że przypomina wyschniętą świnkę morską.

Widziały też „najslawniejszy cyrk świata”. Wynędziały szkapę, które wczoraj ciągnęły budę, kłusowały na zmianę w manezu, podczas gdy kobieta w trykocie wykonywała wraz z małym chłopcem na grzbiecie konia, rozmaite sztuki. Helga, ku swemu zachwytowi, rozpoznała zarówno kobietę jak dziecko i oklaskiwała ich z zapałem. Potem wystąpił mężczyzna, który skakał z dużej wysokości na trapez, zawisając na nim zębami. Osioł balansował dwa razy wokół manezu, na toczącej się beczce, na koniec znów wystąpiła kobieta, ofiarując 50 marek kobiecie, która ją pokona. A wobec tego, że nikt się nie stawił, przedstawienie zakończono.

Kiedy spotykali się znajomi, odmiennych płci, początkowo sztywno stali naprzeciw siebie.

– No, Metto, przyszłaś także? – No, pewnie, pewnie! A pewnie i ty też przyszedłeś, Jensie Peter? – No pewnie, a co poza tym, Metto? – No, rozumie się, Piotrze Jens. – Później znów postali chwilę, patrząc na siebie nieruchomo, zanim się nie rozeszli. Chłopcy i dziewczęta przeciągali oddzielnymi gromadami.

Od strony budy ze szkłem, gdzie sprzedawano oprawne szklane tabliczki ze złotymi napisami, ciągnęli zataczając się, dwaj podochoceni wyrobownicy, trzymając się za ręce. Na piersi każdego wisiała tablica. „Pan jest moim pasterzem” brzmiał napis na jednej; zaś na drugiej: „Nie ma tak wielkiego grzechu, którego by ci Bóg nie odpuścił”. Prawdopodobnie były to upominki z jarmarku dla żon. Oczy im błyszczały zadowoleniem, szli ciężkimi krokami, przez pola, do domu.

Odświętna radość i obficie użyty alkohol, wraz z zapadającą ciemnością, wywoływał stopniowo coraz swobodniejsze formy obcowania, widziało się więc dziewczyny i parobków krążących pod ramię lub zabawiających się na uboczu. Karuzele i huśtawki były przepelnione, do tego stopnia, że jedni drugim musieli siedzieć na kolanach, zaś w budzie przeznaczonej do tańca, dziewczętami tak okręcano, że gubiły trzewiki.

Tu przystanąły trzy kobiety, przyglądając się tańcom. Halvor nie przyszedł po nie z zapadnięciem mroku, jak to był obiecał, więc Helga chciała już wracać. Ale pani Berg nic nie słyszała, nuciła sobie i wybijała takt nogą. Jak ludzie są źle wychowani – zawołała wreszcie niecierpliwie. – Czy nie powinni byli i nas zaprosić?

Wtedy i Helga nabrała ochoty. Karen podeszła do Jensa i poprosiła go, ażeby zatańczył z Helgą.

Nadszedł Halvor, spytać się, czy nie chcą jeszcze wrócić do domu. – Nie, chcemy tańczyć – odpowiedziały obie kobiety.

– Z... z tymi tam? – Wskazał spoconych parobków w butach z cholewami, lekko kręcąc nosem.

– Dlaczegożby nie! – odpowiedziała pani Berg.

Ociągał się i przekładał sobie. – Chcesz ze mną tańczyć? – spytał wreszcie Helgi.

- Och! tak! – Oczy jej rozbłyły.
- Umiesz tańczyć? Nie wiedziałam, – zawołała pani Berg zdziwiona.
- Nie, i ja również – rzekła Helga.

Oddalili się w tańcu, a gdy przyszedł Jens, pani Berg wzięła go w posiadanie.

Kiedy taniec się skończył, zamieniono się. Helga nie uważała, ażeby było specjalnie przyjemnie tańczyć z Jensem – teraz ją krępował. Nie był tym samym, co dawniej, – zdawało jej się, – było w nim coś mocnego, brutalnego. Sposób w jaki ją trzymał, okręcał nią i rzucał – nie! Wkrótce przerwała taniec.

Pani Berg i Halvor ciągle jeszcze tańczyli. Jaki był silny i jak dobrze prowadził! Że też potrafił tak tańczyć! Należało tylko dać się prowadzić i można było śmiało zamknąć oczy; doznawało się prawie uczucia jak gdyby się leżało i wypoczywało. – Jeszcze, jeszcze – szeptała, gdy miał zamiar przestać; i wesoło tańczyli dalej. Zamykała oczy i otwierała; tam i z powrotem prześlizgiwali się w ciżbie tupoczących parobków i niezdarnych dziewczuch, tak kołyszące, tak lekko, jak gdyby byli sami. – Jeszcze, jeszcze – i znów zamykała oczy, pozwalając się unosić, odmykała je nieco, widziała jak błyskały smugi światła i twarzy, przymykała i odmykała oczy znowu, rozróżniała twarz Helgi, trochę spłaszczoną, patrzącą w osłupieniu. Czowała ciepły oddech Halvora, którego usta były zbliżone do jej twarzy. Może był zmęczony? Czy chciał już przestać? – Jeszcze, jeszcze – szeptała znowu i zagłębiała się w jego ramionach, przymknęła oczy i pozwalała się unosić. Można było teraz zapaść w sen – i do następnego rana, tańcząc, spać!

Helga biegła wzrokiem w ślad za Halvorem i matką. Dobrze wyglądali, tańcząc ze sobą, ich kroki, wszystkie ich ruchy łączyły się tak cudownie. Ale że mogli to wytrzymać! Już prawie nikt prócz nich nie znajdował się w kręgu. Jakże byli rozpaleni, a ona przyciskała się zupełnie do jego piersi – była zmęczona. I przymykała oczy, uśmiechając się tak dziwnie, prawie niesamowicie, uważała Helga. Córka patrzyła na nią ze zdumieniem, nigdy przedtem nie widziała matki takiej, oby tylko nie była chora. I jak bez końca mogli tak tańczyć ze sobą! Teraz muzyka przestała grać, byli więc wreszcie zmuszeni przerwać!

W milczeniu wracali do domu. Kiedy przechodzili przez furtkę, usłyszeli rozdzierający krzyk od strony żywoptów, leżących poza targowiskiem. – Oh, to brzmiało prawie jak śmiertelny krzyk – rzekła pani Berg.

Byli zmęczeni i wkrótce udali się na spoczynek. Helga zasnęła natychmiast, ale pani Berg długo nie mogła zasnąć. Hałas jarmarczny, światła w tanecznej budzie, muzyka i przytupywanie chłopców, do taktu tańca – wszystko to chaotycznie przemykało jej w myślach i nie pozwalało usnąć.

XXIV.

Nazajutrz, po jarmarku, Halvor wyjechał z Helga do swoich rodziców.

Pani Berg brak ich było już po upływie dwóch dni, właściwie nie tyle przyczyniała się do tego ich nieobecność, ile myśl o tym, jak będzie się dla niej przedstawiała cała długa przyszłość. Będzie pusto, tak pusto, że wprost nie mogła o tym myśleć – tak jak gdyby stało się w pokoju czarnym, jak smoła. Ci dwoje, stanowili przecież, każde na swój sposób, całe jej życie.

Dobrze, że miała Karen Petersen, o którą mogła się troszczyć. Troska i czuwanie nad nią wpływało dodatnio na jej humor.

Pani Berg, z żalnym uczuciem układała sobie przyszłość. Sama wyprowadzi się na górę do pokoiw gościnnych, parter odda młodym. Tu, na górze można się przytulnie urządzać – w każdym razie przytulnie dla kobiety, której udziałem jest już tylko starość. Stare meble weźmie dla siebie, na górę, Helga dostanie nowe, jako ślubny podarunek. To był cel tajemniczej podróży do Kopenhagi. Chciała sobie też urządzać, tu na górze, małą kuchenkę, ażeby w razie potrzeby, być zupełnie niezależną.

Myśl o pożegnaniu się ze światem, wywoływała w niej dreszcz. Zdawało jej się, że słyszy swoje własne, utykające kroki na schodach, prowadzących ze strychu, gdy będzie schodziła, ażeby zajrzeć do młodych. A oni będą siedzieli może w pokoju, nad słuchiwali jej kroków i mówili; „No tak, teraz spokój już przepadł”. Stanie się takim starym, tłustym utrapieńcem, w najlepszym razie gadatliwą, starą mateczką, której słucha się tylko jednym uchem, z litości i z łaski – może w dodatku stanie się gderliwa, pewien rodzaj smoka. „Stary smok” – jak niesamowicie brzmiało to w jej uszach.

Istniały przecież inne wyjścia, nie tylko zapadnięcie w sen zimowy. Świat był duży, a ona nie tak znów strasznie stara. Ale ilekroć myślała o jakimś wyjściu, myśli jej przybierały poprzedni kierunek, znów dręczyła się złą radością, wyobrażając sobie wszystkie szczegóły smutnej przyszłości.

Włoży białą czepek, miękkie filcowe pantofle i okulary, oraz wydostanie skądś jakieś bajki i nauczy się ich na pamięć. Kto może wiedzieć, czy przed upływem roku nie zostanie babką. Bajki były odpowiednie – również i okulary; wnuki będą chwytają za nie i ściągają je z jej nosa – babcine okulary!

To ją nagle oburzyło. Nie, nie! Byle nie babka! Byle nie stara, niepotrzebna kobieta! Byle nie siedzieć na strychu i zatruwać sobie życie żółcią! Byle nie broda staruchy!

Pragnęła żyć, wyrwać się w świat, i żyć, żyć raz tylko, za każdą cenę. Dzieci mogą wziąć wille całkowicie dla siebie, ona zaś wyjedzie, do Kopenhagi na przykład, albo do jakiegoś wielkiego miasta zagranicą, gdziekolwiek, gdzie panuje radość życia.

Ale i to nie zadowoliło by jej całkowicie. Czy mogłaby wytrzymać tak długo, w rozłące z tymi dwoma jedynymi ludźmi, na których jej zależało? Czy zdoła obejść się bez Helgi, z którą była nierozłączna, skoro sama myśl o półrocznej rozłące sprawiała jej ból? A Halvor, duże, naiwne dziecko, jakim był przecież! Będzie jej potrzebował, oboje będą jej potrzebowali, byli tacy niepraktyczni...

Nie, nie mogła ich opuścić. Lepiej już nawet w trzydziestym piątym roku zostać babką. Będzie dla tych małych istotek taka dobra, będzie je tak kochała, jak gdyby były jej własne, zdobędzie także ich miłość!

Kiedy tak wyobrażała sobie swą przyszłość, wybuchała płaczem, co jej się nie zdarzało od pierwszych dni małżeństwa. I Karen, uboga w słowa, lecz tym bogatsza w pieszczoty, zapomniała o swej nieśmiałości, obejmowała ją i głąskała, z oczyma pełnymi łez. Ale nie pytała.

co jej dolega, nawet nie myślała o tym; ładna kobieta cierpiała i płakała, więc jej żałowała, ale przyczyna tego była jej obojętna. Pani Berg czuła dla niej wdzięczność za to milczenie, które przypisywała jej taktowi. Ale z drugiej strony, pragnęłaby się wynętrzyć, a że Karen nie pytała, była zmuszona zacząć sama. Wypowiedzenie się przed kimś, zawsze daje trochę ukojenia.

Już nazajutrz rano, po jarmarku, Adelona przyniosła im wyjaśnienie krzyku, słyszanego wieczorem. To Aage Hermansen został pchnięty nożem w plecy przez pewnego szwedzkiego robotnika, którego narzeczoną uwodził. Aage leżał w łóżku i widoki na jego wyzdrowienie nie były najlepsze. Niesamowitość tej nowiny początkowo bardzo panią Berg przejęła, ale pomału wydarzenie to zbladło wobec jej własnych tępych myśli.

Ale pewnego dnia posłaniec z folwarku spytał czy nie zechciałaby tam się udać; Aage Hermansen leży na łożu śmierci i pragnie ją widzieć. W jednej chwili stanęło jej we wspomnieniu wszystko, co w jego osobie ją raziło i najchętniej byłaby odmówiła, jednakże strach przed niespełnieniem woli umierającego zmusił ją do pójścia.

W pokoju siedziało kilka kobiet, między nimi też jego matka; i szyły, płacząc, śmiertelną koszulę. Matka, jęcząc, wskazała jej bawialnię, tam przeniesiono jego posłanie, kiedy się okazało, że nie będzie żył, gdyż tu właśnie miał być złożony na marach.

Pani Berg sama weszła do niego.

Gdy ją ujrzał, z trudem zablęsty mu oczy, prawie jak niegdyś, ale spojrzenie jego tylko mignęło bezsilnie i zamarło, zaś oczy patrzyły na nią, jak gdyby już nie był w stanie zatrzymać uciekającego życia.

Usiadła w nogach łóżka i współczująco spytała, jak się czuje. Ale on tylko słabo potrząsnął głową, więc przybliżyła się i znów zadała pytanie.

– To głęboka rana – szeptał. – Dobrze pchnął, w same plecy, chciał przebić pewnie nas oboje. Trzydzieści sześć... czy trzydzieści sześć jest nieszczęśliwą liczbą?... Było trzydzieści sześć... – Zatrzymał się i wykrzywił twarz z bólu.

– Pan nie powinien mówić – powiedziała pani Berg. – To panu szkodzi.

Jęcząc, zaczął wyliczać na palcach: – Elza... Ana... Marja... Karen... Metta... nie, nie mogę sobie wszystkich przypomnieć. Ale było ich trzydzieści sześć... wyliczyłem to... wcześniej... Jedna na każde przykazanie... i jedna na każdego apostoła... i jedna na każdego proroka – wielkiego... i małego.

Pot wielkimi kroplami wystąpił mu na czoło. Pani Berg, uspokajającym ruchem położyła mu rękę na ramieniu, chcąc go skłonić do milczenia. Pochwyił rękę i przycisnął do serca. – Czujesz jak bije... ale byłaś dumna... zimna. Ty... nie jesteś kobietą, dlatego się oparłaś... Wszystkie je kochałem, ale ciebie nienawidziłem... nienawidzę... nienawidzę cię.

Leżał cicho i pieścił jej rękę. Mozolnie chwytał powietrze. Nagle odtrącił od siebie jej rękę, jak gdyby jego własne, pełne nienawiści, słowa dopiero teraz przeniknęły do jego świadomości.

Pani Berg czuła się okropnie, była prawie przejęta wstrętem. Odczuwała żywą chęć usunięcia się, ale myśl, że znajduje się w obecności umierającego, kazała jej przewyciężyć wstręt i pozostać.

Starał się znów pochwycić jej rękę, ale ona udawała, że tego nie spostrzega.

– Proboszcz... – jęknął i uniosł głowę, nasłuchując. – Myślisz, że przebaczy?...może niektóre, ale tak wiele?...ale nie potrzebuję opowiadać mu o wszystkich... o tych, o których nie wie, prawda?... Wie o niektórych... sam miał dziewczynę, małą, czarną, z czerwonymi... aach!

– Czy tak bardzo boli? – spytała pani Berg.

Potrząsnął głową. – Tak dziwnie kurczy się... to pewnie śmierć. – Nie chcę umierać! Nie umierać! Najpierw ciebie... później umrzeć! Powiedz, powiedz, że mogłabyś, że byłaś bliska tego, że czułaś trochę, troszeczkę miłości...

Potrząsnęła głową, szukała pretekstu, żeby odejść! Po prostu wstać i opuścić umierającego, opuścić go obrażonego przecież nie mogła. Więc miała tu siedzieć, aż wszystko się skończy?

Wpatrywał się w nią prosząco, czepiał się jej wzroku, żebrząc o przyznanie się. Widziała to i czysto mechanicznie, potrząsnęła głową.

Jego cienkie wargi wykrzywiły się gorzko. – Powiniennem... plunąć na ciebie – rzekł i chciał się podnieść; ale opadł bezsilnie z powrotem i leżał z zamkniętymi oczami.

Usłyszała głos proboszcza w przyległym pokoju i wstała, ażeby odejść! Przez chwilę zawahała się, poczym pochyliwszy się, przycisnęła wargi do czoła umierającego. Było jej go żal tak bardzo, gdyż był umierającym.

Nie otworzył oczu, tylko uśmiechnął się lekko, szukając jej po omacku. Ale była już przy drzwiach, gdzie spotkała się z pastorem, który uklonił się z uszanowaniem.

Na powrotnej drodze była zupełnie oszołomiona, tak samo jak wtedy, kiedy piła za dużo wina. W uszach jej szumiało i zmysły jej były jak gdyby odurzone, tak, że, nic do nich nie przenikało. Myśleć też nie mogła, cała jej istota była przejęta wrażeniem, które zdawało się przenikać jej całe ciało; mieszaniną podziwu i zgrozy.

– Jakże dziwne cele życiowe mają mężczyźni – myślała, gdy już w domu doszła do względnej równowagi. Więc to też był cel i w dodatku taki, przy którym można było ulec katastrofie. Teraz lepiej pojmowała jego wytrwałość. Całe jego zachowanie się w stosunku do niej w ciągu tych osiemnastu miesięcy, jakie tu spędziła, miało tylko ten jeden cel, o ile to dobrze rozumiała. I jak cierpliwie zgadzał się na wszystkie jej „kosze” – widziała to dopiero teraz. Była to silna i świadoma wola, która do ostatniego tchu została sobie wierna! Słyszała o mężczyznach, jednostronnie uzdolnionych w tym kierunku. W jak dziwnych dziedzinach spotykało się często uzdolnienia!

Nie osądzała, ani nie żałowała, dziwiła się jedynie.

XXV.

Helga i Halvor, po dwunastodniowej nieobecności, wrócili weseli i podnieceni podróżą. Helga była zachwycona wszystkim, co widziała i co się jej przytrafiło; okolicą, ludźmi, a przede wszystkim – dobrymi starszankami, rodzicami Halvora. Była niezmiernie szczęśliwa, opowiadając o tym wszystkim matce.

W międzyczasie, wyprawa została wykończona, plan uroczystości ułożony; ustalono też, kto będzie zaproszony i co się będzie jadło. Za tydzień od najbliższej niedzieli miały wyjść pierwsze zapowiedzi. Helga dostawała bicia serca z radości, myśląc jak bliski jest ten dzień uroczysty.

„Niedługo będziemy mogli powiedzieć pojutrze, później – już jutro, a później...” – rzuciła się matce na szyję, całując ją.

Pozostawała jeszcze do załatwienia mała podróż do Kopenhagi, nad którą Halvor i pani Berg naradzali się potajemnie. Heldze nie wolno było wiedzieć, jaki był cel podróży, bo wtedy niespodzianka by się nie udała. Helga dobrze wiedziała, co się święciło, ale udawała, że nic nie rozumie i widząc, jak tamci porozumiewawczo nachylają ku sobie głowy, natychmiast się usuwała.

Jednakże, pomimo narad z Halvorem i Karen, pani Berg nie odważała się brać wyboru mebli jedynie na swoją odpowiedzialność. Halvor ofiarował się towarzyszyć jej. Helga obiecała mieć Karen w swej pieczy, gdyby coś miało zajść, podczas ich nieobecności. Nie potrwa ona dłużej ponad cztery, pięć dni.

Już pierwszego dnia po wyjeździe, Helga udała się do karczmy, o tej godzinie, kiedy zazwyczaj przybywał dylizans. Wiedziała dobrze, że matka i Halvor właśnie mogli dopiero przybyć do stolicy, nie była więc rozczarowana, nie znajdując ich w dylizansie. Ale było to przecież rozrywką wychodzić im naprzeciw i nie spotykać ich, aby pewnego dnia zobaczyć jak z pojazdu wychylają się ku niej. To niemiędrze, że oznajmili, którego dnia przyjadą; żeby tak przyjechali dzień wcześniej lub później. Oczywiście, najlepiej wcześniej.

Poza tym, od rana do wieczora opowiadała Karen o Halvorze, o tym jaki jest mądry, i jak pięknie ułoży się ich wspólne życie; podczas tych dni, miała ochotę wywnętrzania się, ale pragnęła mówić tylko o nim i o własnym szczęściu. Była tak pełna radości, serce biło jej w oczekiwaniu i szczęście promieniowało z jej twarzy i oczu.

Tego dnia, kiedy według umowy, mieli powrócić, Helga wstała wcześniej. Nie spała w nocy i zmuszała także do czuwania Karen, – która podczas nieobecności matki, spała z nią razem – albowiem w swym podnieceniu szczęściem, bezustannie paplała lub nuciła.

Ale dlaczego wstała tak wcześniej? Dylizans przyjeżdżał popołudniu, najwcześniej, a czas dłużył się tak okropnie. Zwykle mijał szybko, ale teraz – mogło trwać całe godziny, zanim posunął się o pięć minut. Helga zabierała się do setek rzeczy, które zwykle wymagały wiele czasu, ale dzisiaj wskazówki wlokły się wprost niemiłosiernie. Wreszcie poczuła zmęczenie, weszła do domu, położyła się na łóżku i wkrótce zapadła w słodką drzemkę. Około popołudnia Karen ją obudziła. Ciesząc się, że czas tak prędko minął, Helga ubrała się i pośpieszyła do zajazdu.

Wkrótce usłyszała odgłos trąbki pocztowej, a w kilka minut później dylizans wtoczył się we wrota. Baczenie spoglądała w okna, zanim się zatrzymał, ale nie mogła nikogo dostrzec. Więc jednak spóźnili się i przyjadą dopiero jutro. Natomiast zdawało jej się, że dojrzała inną, znajomą twarz. Poczekała aż pasażerowie wysiedli, – tak to był on, to przecież Jörgen Rag! Prawie po piętach deptał mu jakiś człowiek, wyglądający na policjanta, czy coś podobnego.

– Znów mnie będzie prześladował – pomyślała Helga i cofnęła się w podcienie, gdzie stali gospodarze. Jörgen zmieszany oglądał się wkoło; skierował wzrok na Helgę i utkwiał w niej spojrzenie, wyglądało to, jak gdyby szukał we wspomnieniach. Helga całkowicie skryła się za plecami ludzi. Ale nagle przez twarz Jörgena przemknął wyraz najstraszniejszego przerażenia, odwrócił się i rzucił się do szalonej ucieczki, prosto gościńcem, a za nim biegł strażnik.

Gospodarze roześmiali się. – Na pewno już nie jest niebezpieczny – twierdzili. Helga nie знаła jego stanu.

– Tak, widzi pani, zachowywał się ordynarnie – wyjaśniali – ale nie można było myśleć o karze, gdyż jest szaleńcem. Zamknięto go w szpitalu wariatów; ale my, parafianie, nie możemy już więcej za niego płacić, więc musi tu pozostać – rozumie się, że będzie umieszczony w przytułku.

Helga udała się do domu, nieco przygnębiona. Kiedy uszła kawałek drogi, jeden z „bliźniaków”, zatrzymał ją, wręczając list, który nadszedł pocztą. Był to charakter pisma matki.

Zły nastrój Helgi od razu się ulotnił, i przyspieszyła kroku, by list prędzej odczytać, „Jedyna, najukochańsza Helgo!

Na pewno kręcisz się tu i ówdzie, oczekując nas, cieszysz się, że przyjedziemy, i nie wiesz jak zabić czas – widzę Cię przed sobą tak wyraźnie. I zamiast tego dostajesz ten list – biedne dziecko! Dałby Bóg, ażebyś zachowała się jak duża dziewczynka i nie była za smutna, ale – nie przyjedziemy.

Jak dziwnej zmianie wszystko może ulec! Zamówiliśmy wszystko, do wesela, także zapowiedzi; i następnie...droga, kochana! Postanowiliśmy z Halvorem pojechać na południe. Czy będziesz się bardzo smuciła? Tak, na pewno, wiem o tym, ale czy mi będziesz także złorzeczyła? Jestem taka nieszczęśliwa, gdy myślę o tym, że może mnie znenawidzisz, własną matkę, która zawsze cieszyła się twoim szczęściem. Albowiem tak właśnie było. Dopóki myślałam, że Halvor ciebie kocha, byłam cierpliwa i zrezygnowana, nie skarżąc się ani nie odczuwając zazdrości, chociaż go też kochałam, kochałam nie wiem od jak dawna.

Ale czy mam zrezygnować, skoro wiem, że ja jestem tą, która on kocha? Zdaje mi się, że kocham Cię tak bardzo, iż mogłabym to zrobić, dla Twojego szczęścia. Ale czy tu zachodzi ten wypadek? Skoro on Cię nie kocha?

Musisz być sprawiedliwa.

Nawet, gdyby to mogło posłużyć twemu zbawieniu, byłoby niesprawiedliwością wymagać, ażebym ja padła ofiarą tylko dlatego, że jestem Twoją matką. Jestem przecież kobietą, ja również, i mam przede wszystkim prawo, tym więcej, że najdłużej czekałam i wiernie trzymałam na stanowisku. Ty jesteś młoda. Masz przed sobą całe życie, przyjdzie wielu, wielu pięknych mężczyzn, którzy się w Tobie zakochają. Gdy tymczasem ja – ? Czy to nie byłoby tak, jak gdyby biedny oddawał bogatemu swe jedyne jagnię.

Przebaczysz mi, prawda? Wiem, że to zrobisz. Przypomnij sobie te wszystkie piękne lata, które przeżyliśmy razem.

Rozumiesz, że wyjeżdżamy. Gdy nam przebaczysz, wtedy powrócimy, osiadziemy w Kopenhadze, wszyscy troje, i będziemy razem prowadzili przyjemne życie – jest tu o wiele zabawniej niż na wsi.

Halvor jest taki nieszczęśliwy z powodu tego, co zaszło; leży na sofie i płacze i oskarża sam siebie. Jest tak poruszony, że nie może sam pisać, ale prosi, ażebyś go nie sądziła surowo, i pamiętała, że krew w nim nie płynie tak spokojnie, jak w żyłach ludzi zwykłych. Jest taki kochany, taki kochany!

Jaką pociechą jest dla mnie świadomość, że Karen jest przy Tobie. To dobra dziewczyna, bądź dla niej też dobra.

Bądź zdrowa, kochanie! Jestem taka szczęśliwa – gdybym tylko wiedziała, że Ty nie weźmiesz sobie tego zbyt do serca. Kilka słów od Ciebie, sprawiłyby mi ulgę. – Czy przypominasz sobie pałac lodowy? I piękne spacerować? Jak nam było jednak dobrze razem!

Wiele, wiele całusów!...

Twoja Anna".